

HOWARD FAST

KRÓL JEST NAGI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1958

mt

II 220 103

II 220 104

II 777 296 ~~Ar~~ Chir

KRÓL JEST NAGI

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXXII

Imprimé en France.

Wydawca: Edition et Librairie «Libella»,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

HOWARD FAST

KRÓL JEST NAGI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1958

Tytuł oryginału:

The Naked God

The writer in the communist Party

*Prawa autorskie należą do firmy wydawniczej:
Frederick A. Praeger, Inc. w New Yorku, która wydała
tę książkę w Stanach Zjednoczonych.*

„Wolność tylko dla zwolenników rządu — wolność tylko dla członków jednej partii, choćby najliczniejszej — nie jest w ogóle wolnością. Wolność oznacza zawsze wolność dla tych, którzy myślą inaczej. Powyższy problem nie wypływa z fanatycznej miłości abstrakcyjnej „sprawiedliwości” — lecz po prostu z faktu, że wszystko co w politycznej wolności jest zdrowe, światłe, oczyszczające — bierze swe źródło z wolności niezależnej. Wolność traci swe wszystkie cechy i zalety gdy staje się przywilejem...

Dławienie życia politycznego w kraju musi prowadzić stopniowo do upadku żywotności sowiektów. Bez powszechnych wyborów, bez wolności prasy, bez wolności zgromadzeń i wolności słowa — życie w każdej instytucji publicznej zamiera i staje się karykaturą. Powstaje biurokracja, która przeobraża się w jedyny decydujący czynnik. Nikt nie jest w stanie uciec przed konsekwencjami tego procesu...”

Róża Luxemburg, 1918 —
Die Russische Revolution.

1.

W którym miejscu rozpocząć tę historię? Tego typu opowieści nie mają końca dopóki samemu się ich nie skończy. A i wówczas przerwane nici podejmuje zazwyczaj ktoś inny, by nawiązać do nowego splotu wydarzeń. Gdy wędruję w pamięci od jednego miejsca do drugiego — wracam zawsze w końcu do prostej i mądrej formuły Lewisa Carroll, który powiedział, że każda opowieść winna mieć początek i od początku się zaczynać.

Miałem boga, który chodził nagi lecz nikt z moich bliskich tego nie zauważył. Albowiem tak jak w mądrej bajce Andersena — tylko ludzie głupi i nie nadający się do wysokich stanowisk nie mogli dojrzeć szat króla — tak i w moim świecie miliony dobrych i mądrych ludzi żywiło przekonanie, że tylko ci co stracili honor, godność, uczciwość i dzielność ośmielają się głosić, iż bóg, którego my czcimy za jego dostojny ubiór, w rzeczywistości jest nagi i ohydny w swej nagości.

Któż chciałby się zaliczyć do tych bez honoru, bez godności, bez uczciwości i dzielności?

W małym miasteczku w którym mieszkałem był sklepik niewielki i nieważny; stanowił on źródło utrzymania pewnego starszego pana. Ten starzec oplakuje do dziś stratę, która nigdy nie zostanie naprawiona — stratę, którą wielu moich czytelników zna zapewne z bliskiego doświadczenia. Dwadzieścia lat temu syn tego starego sklepikarza poległ w Hiszpanii, walcząc jako żołnierz Batalionu Lin-

colna za wolność ludzką i republikę hiszpańską. Leży pochowany i samotny w dalekiej hiszpańskiej ziemi. Lecz rana w sercu starego sklepikarza nie zablźniła się przez te dwadzieścia lat; krwawi tak, jakby jego syn poległ wczoraj.

Do niedawna mój znajomy posiadał pewien balsam na swoją bolesną ranę. Owym balsamem była wiara, że jego syn oddał życie za najlepszą sprawę — poległ w walce o wolność ludzkości. Lecz w roku 1956, człowiek o nazwisku Chruszczow, złożył pewne „tajne sprawozdanie”, w którym opowiedział historię Sowietów i ruchu komunistycznego. Tak ja, jak i moi przyjaciele słyszeliśmy o tych faktach uprzednio — lecz nigdy do tej chwili nie dawaliśmy temu wiary. Teraz Chruszczow dostarczył dowodów, że to co przez dwadzieścia pięć lat określało się mianem „oszczerstwa” — jest prawdą. I uwierzyliśmy mu. A między tymi, co uwierzyli — bo musieli uwierzyć — był również ów stary sklepikarz, którego syn poległ w Hiszpanii.

Pewnego dnia owego czerwca zaszedłem do jego sklepiku i zastałem go we łzach. Spojrzał na mnie i zapytał:
— W imię czego poległ mój syn?

Bo czyż ja nie głosiłem przez całe życie, we wszystkich moich pismach, że jeden syn to są wszyscy synowie tej ziemi? Nawet największa troska nie przemienia dobrego człowieka w mściciela. I dlatego stary sklepikarz nie słowami lecz spojrzaniem zdawał się mówić:

— Że ja, zwyczajny człowiek, nie mogłem tego pojąć — to nie dziwota. Lecz dlaczego ty, Howard Fast, słowem i drukiem broniłeś tej sprawy? Dlaczego? Czy możesz mi odpowiedzieć — dlaczego?

Ja do dziś nie wiem czy potrafię na to odpowiedzieć. Chciałem jakoś zacząć i znaleźć punkt zaczepienia, by móc wreszcie napisać to w zgodzie z moją najlepszą wiedzą i zrozumieniem — i wyjaśnić dlaczego — mimo iż bóg był nagi — mówiliśmy sobie i całemu światu, że jest inaczej.

Lecz jakże złożona — pełna troski i pasji, wydarzeń i wybuchów — jest moja przeszłość. Ale o ileż jeszcze bardziej złożone i skomplikowane są dzieje świata tego okresu, w którym brałem skromny udział. I dlatego wydaje mi się wprost niemożliwe układać cegły na cegle, tak, jak

dobry budowniczy i dobry pisarz powinien tworzyć swe dzieło — dbając o uporządkowany tok myśli, idei i wniosków.

W ciągu owego roku, który był świadkiem spopielenia całej budowy moich wierzeń i przekonań — nie zdołałem stworzyć jakiejś teoretycznej apologii czy obrony. Tego rodzaju apologetycznej prozy przeczytałem co najmniej pół miliona słów — od prostackich i bezczelnych idiotyzmów kremlowskich przywódców począwszy, na świetnie skonstruowanym i pięknie napisanym tekście brytyjskiego marksisty, Hyman Levy, skończywszy. Przywódcy z Kremla usiłują wyjaśnić morze krwi i bólu terminem „kultu jedności”.

Wszystkie owe apologie, które czytałem, mają dla mnie mniej istotne znaczenie niż jedna łza niewinnego człowieka, którego torturowano, by wymusić na nim przyznanie się do zbrodni, których nigdy nie popełnił. W ciągu ubiegłych dwudziestu lat mojego życia stworzyłem sobie obraz świata w oparciu o teorię wyznawaną przez tych, którzy określają się mianem „marksistów”. I wreszcie zrozumiałem surowe stwierdzenie Karola Marksa: „.... nie jestem marksistą”.

Każda teoria, jeżeli nie jest całkowicie bezwartościowa, stanowi fragment metody naukowej. Lecz jeżeli mamy choć trochę wyjaśnić i zrozumieć „bożkowatość” komunizmu — musimy rozpocząć od stwierdzenia, że w tym wypadku nie mamy do czynienia ani z socjologią ani z poglądem naukowym. Mamy do czynienia z czystym terrorem, ze straszliwą brutalnością i przerażającą ignorancją.

Przedmiotem naszych zainteresowań jest również epoka z jej wielkimi ruchami ideologicznymi i walkami. Ruchy takich wymiarów jak komunizm wykazują tendencję do bezosobowości. Lecz to nie stanowi dla mnie pokusy. Nie jestem ani bezosobowy ani obiektywny. Piszę o tym co przeżyłem i kim jestem — i nie mogę pisać bez pasji, wstydu i nienawiści. Ponieważ nie tylko ja jeden zostałem złamany i poniżony lecz całe młode pokolenie, które podjęło szturm na mury raju — a osiągnąwszy szczyt dojrzało w dole całą ohydą piekła.

To może być w pełni zrozumiałe tylko dla kogoś, kto przebył tę drogę i widział to na co patrzył każdy komu-

nista. Żadna teoria, żaden historyczny obiektywizm nie zastąpi tego doświadczenia.

Towarzysz Kedrow patrzył na to własnymi oczyma. Wówczas kiedy Kedrow żył, marzył, i piał się na te mury rajy — nie znałem go. Nie mogłem również znaleźć żadnych materiałów, które umożliwiłyby mi odtworzenie jego postaci, wieku i charakteru. Odnalazłem jego nazwisko wówczas, kiedy już nie żył — kiedy leżał martwy na owych murach patrząc w twarz piekieł. Przed śmiercią napisał jeszcze ostatnią prośbę do swego „nagiego króla-bożka”. Dowiedziałem się o Kedrowie z przemówienia, które Chruszczow wygłosił na XX Kongresie Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego. Oto co według Chruszczowa napisał towarzysz Kedrow umierając w sowieckim więzieniu:

„.... Wszystko jednak ma swój kres. Moje tortury osiągnęły ostateczną granicę. Moje zdrowie jest zrujnowane — siły i energia coraz bardziej słabną — mój koniec jest bliski. Umrzeć w sowieckim więzieniu, napiętnowany jako nikczemny zdrajca ojczyzny — cóż może być straszniejszego dla uczciwego człowieka? Jakże to wszystko jest okropne! Niewymierna wprost gorycz i ból szarpią moje serce...”

Czy to jest więc początek końca? Tak jak człowiek w swoim czasie zlikwidował tyranię — tak nadejdzie również koniec komunizmu w jego obecnej postaci. Więc jak? Czy świat zrozumie towarzysza Kedrowa? Czy wystawią mu kiedyś pomnik? Czy znajdzie się rosyjski powieściopisarz, który wyrwawszy wreszcie swą duszę z jarzma — opíše męczeńskie dzieje towarzysza Kedrowa? Czy też zostanie on pogrzebany w niepamięci?

Lecz czyż można zapomnieć Kedrowa? Czyż w kilku słowach nie stworzył on całej mojej książki? Kedrow powiedział to, co tylko komunista ma prawo powiedzieć — bo tylko komunista zapłacił pełnię ceny: „jakie to wszystko jest straszne!”

Kedrow żył i umarł w paradoksalnym okresie naszej epoki — okresie, który jest najgwałtowniejszym i najstraszliwszym dramatem w całej dotychczasowej historii ludzkości. Ów paradoks epoki jest częścią składową współ-

czesnej rzeczywistości. Towarzysz Kedrow nie padł ofiarą jakiejś magicznej sztuki czy oszustwa. To samo można powiedzieć o mnie i o moich towarzyszach. Zaprzysiężony i oddany czystemu światu rozumu towarzysz Kedrow padł ofiarą nonsensu, którego był współautorem.

Najlepiej można by to wszystko wyrazić w dziele literackim — językiem sztuki. Język polityki jest tu zbyt nieporadny. Człowiek zbyt wiele cierpiał — zbyt wiele głodował a przyszłość była zbyt odległa. Człowiek zdecydował się nie czekać dłużej i podjął próbę urzeczywistnienia celu w jednym burzliwym zryw. I burza pochłonęła go.

Człowiek w takim oddaniu wpatrzył się w kruchą wizję utopii, że stracił wizję samego siebie a tym samym wizję ludzkości. Pięknie powiedział John Donne, że nikt z nas nie jest samoistną wyspą. A Sartre, który rósł w ogniu epoki głosi filozofię odpowiedzialności człowieka w stosunku do niego samego. Jest to filozofia zawsze nowa i aktualna choć równocześnie bardzo stara — znacznie starsza niż szekspirowskie wskazanie: „twojej własnej duszy bądź wierny...”

Było zło w tym o czym marzyliśmy jako komuniści. Z najwznioślejszych dążeń i nadziei ludzkości — uczyniliśmy nasze wyznanie wiary. Lecz sami zrezygnowaliśmy w nas samych i w naszym życiu partyjnym z wszystkich najszlachetniejszych i najcenniejszych swobód i wolności człowieka. Postępując w ten sposób zdradziliśmy ludzkość a partię komunistyczną przemieniliśmy w narzędzie zniszczenia. I to jest zło, które popełniliśmy.

Nie wiem czy towarzysz Kedrow był tego świadom — czy rozumiał to w chwili gdy wywlekali go z celi więziennej przed front plutonu egzekucyjnego. Kedrow tuż przed śmiercią pisał:

„Ani partia ani rząd sowiecki nie zezwolą by dokonała się ta okrutna nie do naprawienia niesprawiedliwość”.

Jakże się mylił! Towarzysz Kedrow utracił najcenniejszą rzecz a mianowicie świadomość źródeł swego cierpienia i dlatego nie mógł pojąć, że to Partia go torturuje, partia, która osiągnęła punkt przeistoczenia w siłę niszcząco-cielską.

Nie było wówczas rządu sowieckiego i nie ma go i dziś. Narody Związku Sowieckiego żyją i umierają pod dyktandem partii. Towarzysz Kedrow jest jedną z dziesiątków i setek tysięcy ofiar, których nikt nie liczył.

Jednak zbudujemy pomnik towarzyszowi Kedrowowi. Jego historia przewijać się będzie przez strony niniejszej książki. Wspominać go również będą tysiące innych komunistów, którzy spiszą swoje dzieje tak, by człowiek z głębi swego bólu pojął, że godność jednego człowieka — każdego człowieka jest w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu sprawą godności wszystkich ludzi.

2.

Wstąpiłem do partii komunistycznej w 1943 roku, lecz zetknąłem się z nią po raz pierwszy — podobnie jak inni z mojej generacji — w latach 1930-tych. W roku 1932 pracowałem jako posłaniec w lokalnym oddziale nowojorskiej biblioteki publicznej w Haarlem. Było to jedno z serii ponurych i źle płatnych zajęć, których podejmowałem się kolejno od jedenastego roku życia — przymuszony skrajną nędzą. Rozpocząłem pracę zarobkową jako chłopiec roznoszący gazety. W owym dniu zrezygnowałem z radości i uśmiechu dzieciństwa i otwarłem okres wielu lat fizycznego i psychicznego znużenia. To jałowe znużenie dzieci okradzionych z dzieciństwa doskonale opisał Jack London. Ten fakt ma zresztą tutaj wagę tylko w ogólnym socjalnym aspekcie.

Czytelnik, który pragnie w pełni zrozumieć kanwę tej opowieści, musi objąć pamięcią nie tylko lata 1930-te, lecz również wnikać w sens faktu zrzeczenia się dzieciństwa. Nędza jeszcze ciągle pobiera ten straszliwy haracz od milionów dzieci w świecie. Fakt, że zarabiałem wówczas tylko 25 centów za godzinę nie jest istotny — ponieważ trudno dziś uwierzyć jak owe 25 centów były dla mnie cenne. Gdy kupowałem jabłka od jednego z tysięcy mężczyzn znacznie starszych ode mnie — którzy stracili pracę i dorobek całego życia — zdawałem sobie jasno sprawę jak jestem uprzywilejowany w porównaniu z ich

straszliwą tragedią. Miałem szczęście. Zawsze udawało mi się znaleźć pracę i zarobić kilka dolarów. Czy to w fabryce za 40 centów za godzinę, czy odgarniając śnieg, czy jako chłopiec na posyłki.

Byłem duży, silny o żelaznych mięśniach, młody i odporny ponieważ miałem już zwyczajsko za sobą bestialstwa i poniżenia zrodzone w świecie nędzy. Byłem produktem rynsztoku i band uliczników — zawoszonych, zapluskwionych kolejowych hotelików — nędznych uliczek i pustych placów. Nosilem metalowy kastet i posługiwałem się nim w potrzebie. Brałem udział w bójkach i niejednokrotnie dobrze oberwałem. Nie miałem właściwie matki gdyż odumarała mnie bardzo wcześnie. Mój ojciec, robotnik fabryczny, miesiącami bez pracy, stary, z chorobą krzyża spowodowaną latami wysiłku w odlewni żelaza — pracował później w fabryce wyrobów z cyny. Podejmował się również innych zajęć — jako konduktor, wreszcie jako sprzedawca w sklepie z konfekcją.

Straciłem z oczu moich towarzyszy dzieciństwa. Kilku przetrwało ocaliwszy ciało i duszę — inni dopełnili swego przeznaczenia na krześle elektrycznym lub stoczyli się w otchłań alkoholizmu, więzień i innych przybytków gorzkiego losu. Do dziś dnia nie mogę minąć żebraka, złamanego człowieka, bezdomnego nędzarza tkwiącego gdzieś na rogu ulicy — by nie westchnąć: „To byłby mój los gdyby nie łaska Boga”.

Lecz to nie jest próba usprawiedliwienia się kolejami mojego życia.

Bardzo wcześnie odkryłem pasję i miłość, której pozostałem wierny przez całe życie. Był to świat książek. Czytałem wszystko co wpadło mi w ręce i prawdopodobnie na tej drodze odnalazłem mój ratunek. Nie zdradzałem wówczas ani smaku literackiego, ani umiejętności wyboru. Czytałem po prostu dla bezpośredniej rozkoszy czytania. Książka była dla mnie książką i nie wydawałem o niej sądu, podobnie jak spragniony człowiek nie osądza szklanki wody.

Wiele lat później — podczas drugiej wojny światowej — leżałem wyciągnięty na podłodze samolotu C-46, który leciał z Casablanki do Benghazy. Mieliśmy marną maszynę, burzę i wiatr. Gdy samolotem szarpała wichura, leżąc na podłodze drżeliśmy z obawy przymusowego lądowania

na pustyni. Tylko jeden żołnierz w samolocie nie odczuwał lęku, ponieważ był nieświadomy sytuacji. Jego dusza unosiła się na skrzydłach — a dla niego widocznie były to pewniejsze skrzydła niż skrzydła naszego samolotu. Była noc i w samolocie było ciemno zgodnie z przepisami o zaciemnieniu. Paliła się tylko jedna mała niebieska żarówka umocowana w suficie koło metalowej szyny bagażnika. Żołnierz ten był chłopcem najwyżej osiemnastoletnim. Jedną ręką trzymał się kurczowo szyny bagażnika a w drugiej ręce trzymał, tuż przy niebieskim świetle, tanią, broszurowaną książkę. Świat nie istniał dla niego poza opowieścią, którą pochłaniał. Przez cały czas naszej podróży wisiał tak, niewygodnie zaczepiony o poręcz bagażnika, zatopiony w lekturze.

Gdy wreszcie wylądowaliśmy, podszedłem do niego gdyż byłem ciekawy tytułu książki, która go tak oczarowała. Książka — lekki romansik „Lady into Fox” — nie była ważna w sensie literackim. Ważna była jedynie jako książka. Chłopak pochodził z małej wioski w Tennessee. Oczywiście nie był analfabetą, ale dopiero w wojsku przeczytał pierwszą w życiu książkę. I nagle otworzył się przed nim inny, nowy świat. Wojna i armia przestały dla niego istnieć, gdy wkroczył w krainę książek. Usiłowałem wybać jakiś rodzaj książek najbardziej mu odpowiada. Ale pytanie to było w jego oczach pozbawione sensu. Lubił książki — wszystkie książki.

Tak było i ze mną w czasie tych lat, gdy życie oznaczało pracę, biedę i głód. Przeczytałem od A do Z wszystkie powieści, które stały na półkach w bibliotece publicznej. Przeczytałem tomy literatury naukowej — dział za działem — półka za półką. Z tego co czytałem nie wiele wówczas mogłem zrozumieć, lecz czułem i wiedziałem, że zanurzam się w olbrzymim, skomplikowanym, pięknym i wspaniałym świecie, który był zakryty przed moim ograniczonym spojrzeniem i zrozumieniem.

W wiele lat później Alexander Woollcott „odkrył” moją książkę pt. „The Last Frontier” i zaakceptował ją dla klubu czytelników (był on jednym z członków literackiego jury klubu). Wówczas poznałem osobiście tego wybitnego człowieka, znanego z dowcipu i ciętego języka. Woollcott w rozmowie ze mną uskarżał się, że dziś ludzie nie znają — nie mówiąc o tym, że nie czytają nawet — tak warto-

ściowych pisarzy jak Anthony Trollope. Gdy zaprotestowałem, Woolcott zarzucił mi wprost kłamstwo.

— Jakie dzieła Trollope'a pan czytał i... dlaczego? — warknął groźnie pod moim adresem.

Pamiętałem tylko dwa tytuły: „The Warden” i „Barchester Towers”. Natomiast na pytanie dlaczego czytałem Trollope'a — miałem tylko jedną odpowiedź. Jego dzieła znajdowały się w bibliotece publicznej na półce pod literą „T”.

Myślę, że chyba nie było okresu w moim życiu kiedy nie chciałem być pisarzem. W owej bibliotece, w której pracowałem w 1932 roku, poznałem życzliwą i mądrą bibliotekarkę, która zawsze chętnie czytała moje nowele i opowiadania. W szczególności interesowała ją w jakim stopniu moje własne życie i doświadczenia odzwierciedlają się w tym co piszę. Na jej zapytania odpowiadałem, iż moje osobiste doświadczenia nadają się tylko do tego, by o nich jak najprędzej zapomnieć. I z tej przyczyny chciałem pisać raczej jak Cabell lub Robert Lewis Stevenson. Moje własne życie było bez znaczenia, bez sensu, bez nadziei, bez kierunku i bez celu. Kto by o tym pisał?

Wówczas bibliotekarka pokazała mi po raz pierwszy pisma komunistyczne. Nagle ukazała się moim oczom wizja zdrowia i ładu. Płomień nadziei rozświetlił moją duszę. Od bibliotekarki dostałem również cudowną książkę: „The Intelligents' Woman's guide to Socialism and Kapitalizm” Shawa. Pochłonałem tę książkę przez jedną noc. Shaw stał się odtąd moim bóstwem i nauczycielem.

Nie przypuszczam by ktokolwiek dziś, po przeczytaniu cytowanej książki Shawa, stał się z dnia na dzień przekonanym socjalistą. Lecz dziś to nie są lata 1932-gie — a ty, drogi Czytelniku, nie jesteś mną i nie patrzysz na świat tak jak ja patrzyłem wówczas, gdy błąkałem się po Ameryce czepiając się, jak moi rówieśnicy, samochodów ciężarowych, wólcząc się z miejsca na miejsce — znikąd do nikąd — w poszukiwaniu nadziei. Jeśli jednak ktoś chce zrozumieć dziwny paradoks komunizmu w naszej epoce musi wnikać w losy takich ludzi jak ja.

Wówczas nie należałem jeszcze do partii komunistycznej. Zbyt pochłaniała mnie moja osobista walka i wysiłki. Niestety doba składała się tylko z 24 godzin. Mini-

malną ilość godzin poświęcałem na sen i tylko niezbędnie konieczną ilość godzin pracy, którą musiałem wykonywać, by mieć z czego żyć. Mimo to jednak nie wiele pozostawało mi czasu w dniu na naukę i pisanie. A już wówczas postanowiłem albo zostać zawodowym pisarzem, albo umrzeć walcząc o to by nim zostać. Stopniowo poznawałem jednak Partię i amerykańską lewicę. Bywałem na zebraniach w klubie John Reeda. Wychodziłem stamtąd zły i nieufny, ponieważ nie znałem wówczas intelektualistów i nie rozumiałem ani ich, ani tego co mówili. Z czasem uświadomiłem sobie, że mój język ulicznika nie nadaje tonu naszej epoce, że literacką angielszczyznę spotyka się nie tylko w książkach ale i jako żywy język pewnego typu ludzi. Przekonałem się również, że istnieje inny świat, w którym nie walczy się na pięści, lecz słowem i ideą. Nauczyłem się wiele.

Przez te wszystkie lata Partia ocierała się zawsze o mnie i o moje życie — podobnie jak w milionach analogicznych wypadków na całym świecie. Miałem przyjaciół-komunistów, z którymi dyskutowałem i spierałem się, kupowałem „Daily Worker” zżymałem się na to pismo lecz czytałem je chciwie by wyklinać je jeszcze gwałtowniej. W roku 1939, gdy doszło do podpisania paktu między hitlerowskimi Niemcami a Sowietką Rosją — zarówno ja jak i moja żona, pełni goryczy i żalu, zerwaliśmy z naszymi komunistycznymi przyjaciółmi. Zostałem wówczas anty-faszystą. Wszystkie moje intelektualne siły skupiłem by udowodniać i przekonywać, że hitleryzm i cywilizacja są nie do pogodzenia. Nie urodziłem się wśród warunków cywilizowanych. Cywilizacja i kultura, sztuka i literatura — to był dar, który otrzymałem z rąk Człowieka. Ten cudowny dar stanowił w moim życiu, o moim istnieniu, był treścią i sprawcą mojego odrodzenia. Dlatego, podobnie jak wielu ludzi współczesnego mi pokolenia, żyłem tylko w tym celu by zniszczyć faszyzm.

W owym czasie, gdy Anglia stawiała samotny opór hitlerowskiemu potworowi, wszystkie moje sympatie i uczucia kierowały się ku niej. Moja Anglia to był nie tylko Londyn, miasto młodości mojej zmarłej matki, nie tylko cudowny kraj literatury i języka, w którym pisać miało stać się moim życiowym powołaniem. Anglia była dla mnie również ojczyzną Shelley'a i jego pieśni. Shelley pisał tak

o wolności, jak nikt przed nim i nikt po nim. Anglia była wówczas świętym Jerzym walczącym ze smokiem hitlerowskiej nienawiści i terroru. Choć zdaję sobie sprawę, że wszystko zbyt upraszczam i sprowadzam do kontrastu białoczarne — niemniej słowo Anglia w owym okresie wydawało mi się jednoznaczne ze słowem ludzkość. I dlatego nie tylko zerwałem z wszystkimi komunistami jakich znałem, lecz patrzyłem na nich wtedy z gniewem i z pogardą.

A jednak w cztery lata później wstąpiłem do partii komunistycznej. Nie dlatego, że zmieniłem opinię o pakcie Hitler-Stalin, że byłem w stanie wybaczyć kiedykolwiek Sowietom ów krok. Moi przyjaciele w Partii wiedzieli dobrze o moim nastawieniu do tej sprawy. Wstąpiłem do Partii, ponieważ z chwilą gdy stałem się ciałem i duszą składowym elementem owego straszliwego procesu dziejowego, który nazywamy drugą wojną światową — musiałem w konsekwencji przyznać, że najprawdziwszymi i najbardziej zdecydowanymi bojownikami w tej walce przeciwko faszystom byli komuniści.

Obserwowałem ich pisarzy, którzy również wstąpili do Partii a następnie opuścili ją pełni goryczy i rozczarowania. Widziałem jak ich lojalność i przywiązanie przerażały się w nienawiść. Czytałem ich wypowiedzi na ten temat. Jednak powiedziałem sobie wówczas, że to jest przeszłość a moją decyzję powziąć muszę w oparciu o analizę teraźniejszości. Nie wiem czy to dobrze, czy źle, ale tak wówczas jak i dziś decyzję w ostatecznym rozrachunku rozumiem jako sprawę mojej osobistej odpowiedzialności.

Podobnie, jak wielu pisarzy naszej epoki, wstąpiłem do Partii jako pisarz. Myślę, że żadna inna grupa zawodowa, zarabiająca na chleb swą wiedzą i uzdolnieniem, nie rozumie lepiej człowieka i wielkich prądów historii — jak pisarze. Nikt inny nie wyczuwa tak głęboko naglącej konieczności wydobycia z dramatów i radości człowieka — celu, przyczyny, sensu. A to są przecież elementy pracy pisarza. Jest specjalnego rodzaju przekleństwem powołania pisarskiego (jak mówiłem to już tylekroć), że wolność — będąca dla innych luksusem — dla pisarza jest koniecznością. Albowiem bez wolności pisarz nie może ani żyć, ani rozwijać się.

I tak w roku 1943 sądziłem, że komuniści są najdzielniejszymi i najbardziej uzdolnionymi bojownikami o wolność człowieka. Byłem w błędzie, ale moje ówczesne przekonania nie były łatwe do „odrobienia”.

3.

W dalszych rozdziałach tej książki omówię szczegółowo metody i wyjaśnię dlaczego partia komunistyczna musi doprowadzić do ruiny talent i niezależność każdego artysty który został jej członkiem. Oczywiście pisarz czy artysta nie wyczerpują listy strat. Ale nawet jeżeli pisarz nie stanowi centralnego punktu niszczycielskiej burzy i nie jest jej główną ofiarą — to niemniej jest on bardzo czułym i pewnym barometrem. Tak jak we współczesnych nam czasach po stosunku do Żydów można z dużą dokładnością wnioskować co się dzieje w obrębie danego społeczeństwa — tak w ubiegłych epokach historycznych owym wskaźnikiem zdrowia społeczeństw był stosunek do pisarza.

Lecz na razie wydaje mi się, że muszę doprowadzić do końca moją osobistą opowieść, ponieważ stanowi ona istotne tło dla argumentacji, którą chciałbym przytoczyć.

Jeżeli któryś z czytelników tej książki sądzi, że przystąpienie do partii komunistycznej niesie z sobą wewnętrzny spokój i szczęście, myli się gruntownie. W rzeczywistości sprzedaje się duszę, przyjmując założenie że w ten sposób zbawia się ludzkość. Poniżenie jednostki czy jej ból są w stosunku do tego procesu „zbawiania” bez żadnego znaczenia. Slogany i zasady partyjne, których jest wiele i które stanowią wygodną namiastkę myśli — w gruncie rzeczy nie są ani barwne ani pobudzające — gdyż wypływają z systemu, który jest zdumiewająco suchy. Jedną z tych zasad głosi, że każdy nowo wstępujący członek musi się pozbyć tak zwanego „bagażu burżuazyjnego”. Niezależność myśli, duma, pasje i przywiązania — wszystko to objęte jest mianem „bagażu”. Kultywowanie cech objętych nazwą „bagażu burżuazyjnego” byłoby równoznaczne z przyznaniem się do braku „ducha pro-

letariackiego". Moje pochodzenie robotnicze, nędza i głód które cierpiałem w dzieciństwie, nie uczyniły ze mnie proletariusza. Tylko przez haniebne zaparcie się mojej duszy mogłem dać dowód wiary w Partię.

Nie potrafiłbym przedstawić w szczegółowy sposób powyższego procesu, który rozpoczął się w roku 1943 kiedy wstąpiłem do Partii, a zakończył się w roku 1957 — kiedy podałem do publicznej wiadomości o moim z niej wystąpieniu.

Jest oczywiście prawdą, że w przeciwieństwie do towarzysza Kedrowa i setek tysięcy innych towarzyszy w krajach, gdzie partia komunistyczna jest przy władzy, nie zostałem nigdy wyróżniony przez moich przywódców więzieniem, torturami czy plutonem egzekucyjnym. Lecz ów pożałowania godny brak władzy państwowej wymagał od amerykańskich przywódców komunistycznych dodatkowego sprytu, obrotności i... delikatności. Choć bowiem bezpieczeństwo fizyczne komunisty w Ameryce chronione było prawem, niemniej jego ducha urabiać było można w pożądanym kierunku. Opisywanie tego procesu musiałyby wypełnić wiele potężnych tomów i z całą pewnością nie byłaby to przyjemna lektura dla zdrowych i normalnych ludzi.

Wyjaśnienie samej metody jest w tym wypadku ważniejsze niż wyliczanie przykładów. W roku 1945, w Kalkucie, wsiadłem na okręt płynący do Stanów Zjednoczonych. Przed opuszczeniem Indii odbyłem dłuższą rozmowę z jednym z czołowych przywódców indyjskiej partii komunistycznej. Ów przywódca mówił ze mną nie tylko jako dziennikarz lecz również jako komunista. W tej rozmowie dał wyraz swemu przekonaniu, że po ukończeniu wojny Wielka Brytania będzie musiała opuścić Indie. Podkreślił z naciskiem szereg punktów i prosił mnie o przekazanie swych wywodów i informacji E. Dennisowi, ówczesnemu generalnemu sekretarzowi amerykańskiej partii komunistycznej. Na zakończenie Indus dodał jeszcze, iż uważa za rzecz niezmiernie wagi by amerykańska partia komunistyczna była poinformowana o spodziewanym rozwoju sytuacji w Indiach.

Treść owej politycznej analizy jest dziś szczegółem bez znaczenia. By zaspokoić ciekawość czytelników powiem jednak, że induski „as” komunistyczny pomylił się we

wszystkich przewidywaniach, z wyjątkiem punktu dotyczącego niepodległości Indii. Pomylił się również w przewidywaniu okoliczności i metod urzeczywistnienia induskiej niepodległości.

Lecz oczywiście w roku 1945 tego wszystkiego nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że ten przywódca komunistyczny swoje przewidywania i informacje uważa za niezmiernie doniosłej wagi i życzy sobie, by przekazane zostały w całości Dennisowi.

Moją ówczesną misję traktowałem bardzo poważnie. Tego samego dnia w którym po przebyciu 15.000 mil wylądowałem w Stanach Zjednoczonych, usiłowałem zobaczyć się z Dennisem. Lecz Dennis był zbyt zajęty. Mijały dni i tygodnie. Wciąż prosiłem i zabiegałem o „audyencję” — generalny sekretarz był ciągle zbyt zajęty. Wreszcie któregoś dnia znalazł dla mnie chwilę czasu. Udałem się na 12-tą ulicę, gdzie na dziewiątym piętrze znajdowała się słynna kwatera partii komunistycznej. Stąd płynęły rozkazy dla całego aparatu w Stanach Zjednoczonych. Wprowadzono mnie do wspianego, obszernego gabinetu, gdzie w dostojnej samotności urzędował Dennis. Generalny sekretarz kiwnął niedbale głową na powitanie i rozkazał mi powiedzieć z czym przychodzę. Zabrało mi około 10-ciu minut zdanie relacji z Indii. Gdy skończyłem, Dennis odezwał się: „W porządku — możecie odejść”.

Stałem oszołomiony. Przebyłem 15 tysięcy mil. Widziałem straszliwy głód w Bengalu. Przeprowadzałem wywiady z ludźmi, z którymi nie rozmawiał nigdy żaden Amerykanin. Widziałem przemiany o ogromnym znaczeniu socjalnym. Niezależnie od powyższych faktów byłem dobrze znany w Ameryce, miałem za sobą kilka książek, które były „bestsellerami” i cieszyłem się uznaniem jako pisarz pewnej rangi i znaczenia.

To wszystko nie interesowało Dennisa. Nie wysunął żadnych pytań pod moim adresem. Nie znaleźmy się dotąd osobiście. Generalny sekretarz nie zaryzykował nawet zdawkowego pytania jak się czuję po dalekiej podróży. Po prostu polecił mi iść precz czyniąc równocześnie zniecierpliwiony ruch ręką, jakby strzepywał pył ze swego ubrania.

Opisany epizod może się wydawać drobiazgiem, drobiazgiem bez jakiegokolwiek znaczenia. Oczywiście prze-

żyłem setki jeszcze bardziej poniżających scen i momentów. Lecz nigdy w moim życiu nie przeżyłem niczego podobnego pora ramami partii komunistycznej. Nawet strażnik w więzieniu federalnym, gdzie w kilka lat później odsiadywałem swój wyrok jako więzień polityczny, nie traktował nigdy ani mnie, ani kogokolwiek innego z taką nie-ludzką pogardą. W rzeczywistości ów strażnik, którego mam na myśli był dobrym i współczującym człowiekiem. Tylko w partii komunistycznej obserwowałem w stosunku do innych, i doświadczyłem osobiście, tego typu nie-ludzkie odnoszenie się do ludzi.

Opuściwszy wówczas biuro Dennisa zszedłem o piętro niżej, gdzie mieściła się redakcja „Daily Worker”. Pracował tam wówczas mój stary przyjaciel Joe North którego lubiłem i darzyłem zaufaniem. Wylałem przed nim całą moją żołąć i rozczarowanie. Joe wysłuchał ze zrozumieniem mojej historii i powiedział, że zdarzyło mu się dokładnie to samo, gdy w roku 1939 powrócił z Hiszpanii. Wówczas sekretarzem generalnym był kto inny — nie Dennis.

— Ale dlaczego — odezwałem się po chwili — ci, którzy przywodzą temu ruchowi są bez serca i bez zainteresowania dla ludzi i ludzkiego losu?

Joe North nie miał na to odpowiedzi poza wzruszeniem ramion. Dla innych, tego rodzaju „nadwrażliwość” jak moja należała „do burżuazyjnego bagażu”.

Jeszcze wiele lat miało minąć nim zdołałem w pełni zrozumieć i opisać straszliwy proces który tworzył przywódców komunistycznych. Który uformował Stalina i Chruszczowa w Rosji, Ulbrichta w Niemczech, Rakosy'ego na Węgrzech, Georgiu-Dej w Rumunii i wielu wielu innych.

Wiele lat jeszcze miało minąć nim uwierzyłem w końcu — co dla wielu ludzi od dawna było wiadome — że procesy Zinowiewa, Bucharina i Trockiego były rezultatem dehumanizacji owych przywódców, którzy przeobrażili się w biurokratów terroru, mordu i strachu. Wiele jeszcze miało minąć lat i wielu rzeczy miałem być jeszcze świadkiem nim dopełniła się miara i nim opanowałem wszystkie skrupuły dotyczące wystąpienia z Partii.

Uczyłem się trudno i wolno, zbyt trudno i zbyt wolno, by mogło to wyjaśnić dlaczego pozostawałem w Partii.

Zrozumieją to ci, którzy szli tą samą drogą. Duma nie pozwalała opuszczać szeregów ruchu, gdy Partia była pod ostrzałem. Odpowiedzialność: jacy by nie byli ci przywódcy — byli to przywódcy naszego ruchu, w owym czasie znajdujący się w więzieniu. Trudno było w takiej chwili ich podeptać. Wstyd: wystarczyło posłuchać co mówili towarzysze o tych, co odeszli. Strach: czyż można uciec i przetrwać samotnie wówczas gdy niebezpieczeństwo jest najgroźniejsze?

W grę wchodzi jeszcze inne powody. Gdy pragnie się to wszystko wyjaśnić trzeba wziąć pod uwagę nadzieję i przekonanie wszystkich prokomunistycznych działaczy, że Partia na pewno się zmieni.

Nawet wówczas jednak gdy zdolność racjonalnego myślenia słabła w nas chwilowo, to przecież nigdy nie wygasła. Pewne fakty jawiły się przed nami z brutalną jasnością. Pamiętam, że w tym okresie, któregoś dnia, rumuński ambasador zaprosił sześciu członków redakcji komunistycznego magazynu pn. „Mainstream” na obiad do wytwornej restauracji. Należałem do zaproszonych. Ambasador zjechał pod brudnawy lokal naszej redakcji dyplomatyczną limuzyną i zawiózł nas do restauracji, gdzie oczekiwała nas oblita biesiada. Gdy przybyliśmy na miejsce, ambasador wysiadł zapraszając nas do wnętrza, natomiast jego szofer pozostał w limuzynie. Byliśmy wszyscy sześciu głupimi Amerykanami, nie obznajmionymi z wzniosłymi subtelnościami praktyki komunistycznej. Ci, którzy byli wówczas ze mną na tym obiedzie, przypominają sobie zapewne, że po krótkiej naradzie szeptem zapytaliśmy ambasadora gdzie szofer będzie jadł obiad.

Rumuński ambasador poinformował nas, że jego szofer jest zdyscyplinowanym komunistą i będzie czekał na nas cierpliwie w limuzynie. Wychodząc z założenia, że i szofer jest człowiekiem wysunęliśmy propozycję, by opuścił swój posterunek i zjadł obiad z nami. Poza wszystkim innym byliśmy członkami ruchu klasy robotniczej i nie byliśmy jeszcze dostatecznie biegli w rozróżnianiu między komunistami a zwykłymi ludźmi. Lecz rumuński ambasador był zdumiony i przerażony naszą propozycją. Jak, na miłość Boską, mogło nam przyjść do głowy sadzać szofera pomiędzy dyplomatą i intelektualistami — przyjmując nawet,

że intelektualiści byli nieco brudnawo odziani a szofer, mimo wszystko, był komunistą.

Drobny szczegół, ale wszczepił się w nas głęboko. Pamiętam jak mocowaliśmy się z tym „problemem” usiłując stłumić gniew bo czyż nasz gospodarz nie był najprawdziwszym ambasadorem komunistycznego państwa? Trudno było się z tym pogodzić, tym trudniej gdy w późniejszych latach miałem możliwość odkryć historię antysemityzmu, brutalnego terroru i plutonów egzekucyjnych w „socjalistycznej” Rumunii.

Zdolność racjonalnego myślenia kurczyła się i malała. Lata minęły od epizodu z Dennisem, a im głębiej sięgam we wspomnienia, tym trudniejszą wydaje mi się moja rola w sensie zrozumienia i wyjaśnienia samego siebie.

4.

Ale z Partii nie wystąpiłem. Wprost przeciwnie powiedziałem sobie, że takiej polityce jak Dennisa przeciwstawię własną moją koncepcję Partii i moje przekonanie czym ona powinna być. „Dennis to nie jest jeszcze Partia” — powtarzałem sobie wówczas, a z biegiem lat do nazwiska Dennisa dołączyłem i inne. Lista się wydłużała. „Ci ludzie to jeszcze nie jest Partia” — powtarzałem sobie ja i tysiące zwyczajnych członków Partii. Nie wstąpiłem do Partii lekkomyślnie czy bezmyślnie i nie chciałem jej opuszczać na skutek pierwszej przykrości jaka mnie spotkała. Wyrobiłem w sobie pogardę dla tych, którzy po kolejnych zawodach zdecydowali się Partię opuścić. To są „mięczaki” — powtarzałem i powtarzali to inni.

Niemal świadomie przyzwalałem na wytwarzanie się sytuacji, która powodowała, iż i inne motywy zaczęły utrudniać mi ewentualne opuszczenie Partii. Nie deklarowałem się jako komunistą ale i temu nie przeczyłem. Przemawiałem wszędzie, gdzie mnie o to proszono. Podpisywałem setki petycji — należałem do dziesiątków komitetów.

Im więcej gryzłem się i martwiłem, im więcej cierpia-
łem — tym bardziej, w miarę rozwoju sytuacji, wiązałem
się osobiście. Nie analizowałem wówczas ani nie mędrko-
wałem. Wiedziałem tylko, że od chwili wstąpienia do
Partii byłem zawsze o krok od utraty wiary w to, co uwa-
żałem przecież za najwznioślejszą walkę ludzi dobrej woli.
I dlatego czułem się związany i zaangażowany. I dlatego
znalazłem się w pierwszym szeregu w Peekskill walcząc
gołymi rękami o życie własne i setek takich ludzi jak ja.
W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że w końcu
ta potworna walka mnie zabije. I niemal z ulgą myślałem,
że śmierć wyrwie mnie z tego bezustannego koszmaru.

Poszedłem do więzienia. Po uwolnieniu z więzienia
żyłem w ustawicznym lęku. Lęk towarzyszył mi dzień i noc.
Lęk przed obrzydliwym „bogiem”, który wkroczył w moje
życie, lęk przed aresztowaniem, lęk przed napaścią, lęk, że
ktoś skrzywdzi moje dzieci, lęk przed więzieniem, lęk, że
jakaś kanalia zacznie kłamać i oczerniać mnie, lęk, że zo-
stanę wydalony z Partii a tym samym wyrzucony poza
nawias jedynej społeczności, która mi jeszcze pozostawała.

Wielokrotnie ryzykowałem życie, by dać dowód, że
to o czym wiedziałem że w gruncie rzeczy jest okrutnym
kłamstwem — warte jest poświęcenia życia. Wykonywa-
łem wszystko czego ode mnie żądano. Dawałem tysiące
dolarów, ale to wszystko było mało. Napisałem książkę
o wydarzeniach w Peekskill a honorarium przekazałem
Kongresowi Obrony Praw Cywilnych. Lecz gdy tę książ-
kę sprzedawałem na wiecach i zebraniach szeptano, że
szukam zysku i drogi do wzbogacenia się. Gdy zostałem
zmuszony do wydawania moich książek własnym nakła-
dem, obrabowując dosłownie rodzinę z oszczędności po-
wstałych w latach mojego sukcesu — i wówczas twier-
dzono, że się bogacę. Sądziłem, że należy wydawać książki
i innych autorów komunistycznych, którzy byli na czarnej
liście. To znów kosztowało mnie tysiące dolarów, lecz
i wówczas nie unikałem zarzutu, że się bogacę.

W momentach finansowych trudności, ta czy inna or-
ganizacja partyjna zawsze do mnie zwracała się o pienią-
dze. Wówczas pukałem pokornie do drzwi zamożnych po-
stępowców, których znałem. Wysłuchiwałem w czasie
tych wizyt wiele oszczerstw i przekleństw rzucanych na
Partię. Ci sami postępowcy dziś przeklinają i oczerniają

mnie za to, że z Partii wystąpiłem. Te napaści i arogancje trzeba było jednak znosić, by móc opuścić niegościnnie podwoje z pięcioma czy dziesięcioma dolarami ofiarowanymi „na sprawę”. A jakże często okłamywałem moich przywódców partyjnych twierdząc, że wypełniłem misję a rzekomą ofiarę „na sprawę” wypłacałem z własnej kieszeni oszczędzając sobie poniżenia.

A jednak nie występowałem z Partii uczepiony rozwiewających się strzępów wizji — wizji świata sprawiedliwości i równości.

Lecz to wszystko nie mogło trwać wiecznie. Przyszedł dzień kiedy przeczytałem słowa Chruszczowa (jakże powinienem mu być wdzięczny!) i wówczas nareszcie dopełniło się. Przebudziłem się. Lęk opuścił mnie a pozostały tylko troska i obrzydzenie.

Opuściłem Partię i przebudziłem się z długiego koszmarne go snu. Trzeba było jednak wielu miesięcy nim zdobyłem się na opisanie istoty tego koszmaru, na obiektywne spojrzenie na cały ów proces. I wówczas powiedziałem sobie: „mam tylko jedno ważne zadanie przed sobą: zdefiniować, wyjaśnić i odmalować obraz tego bezbożnego bożka w całej jego przerażającej nagości tak, by następne pokolenie w moim kraju, jeżeli miałoby przeżywać dramat mojego pokolenia, nie dopatrzyło się już nigdy w komunizmie drogi do przeszłości, drogi o której myśleć mógłby człowiek bez odrazy”.

5.

Czytelnik czytający te strony może zadać sobie pytanie: dokąd właściwie zmierzam? Pytanie tego rodzaju wysuwano tysiącrotnie pod moim adresem. Sądzę, że wszystkich ludzi dobrej woli cechuje pogląd, że nasz krótki pobyt na tej ziemi jest tylko drogą do wzniesłego ideału. W ramach takiego poglądu kwestia kierunku i celu nabiera największego znaczenia. Lecz nawet kiedy ten kierunek i cel stają się artykułami wiary i niemal pewnikami, są ludzie, dla których droga wiodąca do celu jest ważniejsza od samego celu.

Dla mnie cel nie uległ zmianie. Jest nim pełne braterstwo wszystkich ludzi, światowa społeczność oparta na miłości i twórczym wysiłku, gdzie życie nie byłoby ani marnowane ani pogardzane.

Dla wielu z nas drogą, która wiodła do tego ideału, była partia komunistyczna. I dla zbyt wielu z nas droga stała się czymś ważniejszym od celu. Z biegiem czasu droga stała się uświęconą rzeczywistością, podczas gdy cel stawał się coraz bardziej mglisty i nierealny.

Uważam, że pewne rzeczy są święte i bezcenne lecz partia komunistyczna do nich nie należy. Uważam, że życie człowieka jest czymś bezcennym. Niemal w równym stopniu bezcenne są ludzkie marzenia, aspiracje i cudowne osiągnięcia. Uważam, że bezcenny jest każdy krok człowieka ku ideałowi wolności, sprawiedliwości i równości, wyprowadzający go z nocy ignorancji i przesądów. Lecz nie ma niczego świętego czy bezcennego w metodach, które człowiek stosuje pod naciskiem okoliczności.

W następnych rozdziałach pragnę opowiedzieć o szczególnych przeżyciach i doświadczeniach, które były moim udziałem jako pisarza należącego do amerykańskiej partii komunistycznej a tym samym do światowego ruchu komunistycznego. To nie będzie rejestr rozczarowań, ponieważ poszerzenie wiedzy i pogłębienie własnego doświadczenia trudno byłoby tak nazwać. Nie jestem również zgorzkniały.

Jeżeli zarówno ja, jak i wielu innych, zapłaciliśmy wielką cenę za zdobycie naszej wiedzy to trzeba zauważyć, że żadnej wiedzy nie zdobywa się tanio i wielu zapłaciło cenę wyższą niż ja.

Wśród spraw, które poniżej poruszam, znajduje się wiele takich, które wywołają u pewnych ludzi zawiść czy gniew. Wielu będzie zdania, że lepiej byłoby pewnych spraw nie poruszać. Lecz dla mnie w tym zagadnieniu co powinno a co nie powinno być powiedziane istnieje tylko jedno kryterium, to jest prawda. Zrobię z mej strony wszystko możliwe, by jak najwierniej oddać bieg wydarzeń.

Wszystko co powiem w tej książce będzie gwałtownie zaprzeczane. Nie wątpię w to ani na chwilę. Bardzo często w niniejszej relacji opieram się tylko na pamięci a pamięć bywa czasem zwodniczą. Muszę jednak powiedzieć, że pisząc tę książkę starałem się, w oparciu o moją najlepszą

wiedzę, unikać skrupulatnie jakichkolwiek zniekształceń czy przeinaczeń.

Uważam również za konieczne wyjaśnić powody, które skłoniły mnie do ogłoszenia tej książki, sądzę bowiem, że pytania tego typu padną pod moim adresem. Od chwili gdy po raz pierwszy przeczytałem tekst tajnego referatu Chruszczowa doszedłem do przekonania, w którym utwierdziły mnie późniejsze wydarzenia, że partia komunistyczna w tej formie w jakiej ją znam powinna przestać istnieć. Zdaję sobie sprawę, że w skali światowej jest to propozycja daleka od realizmu, choć dziś wiele już pracuje w tym kierunku. W każdym kraju świata problem ten znajdzie swoje rozwiązanie zgodnie z wolą i możliwościami tego kraju i narodu.

W Ameryce jednak sytuacja kształtowała się odmiennie. W świetle specyficznych historycznych doświadczeń i tradycji narodu amerykańskiego propozycja rozwiązania partii komunistycznej Stanów Zjednoczonych była najbardziej realistyczną propozycją, jaką można było wysunąć w czerwcu 1956 roku, to jest wtedy, kiedy Chruszczow wygłosił swój referat. Setki wpływowych amerykańskich komunistów z bólem, troską i wielką szczerością doszło wówczas do tego wniosku. Wielu z nich wyraziło swój pogląd publicznie, inni wysuwali projekt likwidacji Partii tylko w zamkniętych kołach partyjnych, gdzie go omawiano.

To był również i mój pogląd. Wierzyłem, że tylko na drodze uczciwego przedstawienia całej sprawy narodowi amerykańskiemu i światu — partia komunistyczna Stanów Zjednoczonych zdoła ocalić rzecz, którą tak wysoko zawsze ceniliśmy, to jest honor. Wierzyłem i wierzę do dziś, że my, szeregowi członkowie Partii byliśmy zawsze ludźmi honoru. Sądziłem wówczas, że historia żąda od nas byśmy oświadczyli:

„Mieliśmy szlachetne cele i dążenia, usiłowaliśmy pracować nad ich realizacją według naszej najlepszej woli i wiedzy. Nigdy nie zdradziliśmy tych ideałów, które przyjęliśmy jako nasze cele. Obecnie jednak ponieważ jesteśmy składową częścią wielkiego międzynarodowego ruchu, w świetle nowych informacji musimy wydać na siebie samych wyrok. A owe nowe fakty i informacje, przedłożone

nam wraz z absolutnie pewnym materiałem dowodowym, wykazują, że zawiedliśmy. Jedyne może uratować nasz honor i uczciwość a mianowicie otwarte przyznanie się do klęski, by tą drogą przestrzec naród amerykański i narody świata przed straszliwymi niebezpieczeństwami, wypływającymi z form naszej organizacji. W konsekwencji, winniśmy rozwiązać naszą organizację partyjną raz na zawsze. Szczerą wiarą w naród amerykański i w amerykańską klasę robotniczą winna nas upewnić, że postępując w ten sposób nie tylko nie osłabimy walki o amerykańską demokrację i postęp, lecz przeciwnie, oddamy jej sprawie usługę”.

Dziś patrząc na te wydarzenia z perspektywy czasu twierdzę, że gdyby zjazd Partii odbył się wówczas, w czerwcu 1956, Partia uległaby likwidacji. Wprowadzając w grę cały arsenał podstępów i kruczków — przywódcy partyjni zdołali odroczyć termin zjazdu do czasu aż wszyscy uczciwi członkowie samorzutnie z Partii wystąpili. W ten sposób przywódcy zapewнили sobie zwycięstwo i możliwość kontynuowania „business as usual” Tym samym w mojej opinii partia komunistyczna Stanów Zjednoczonych zrezygnowała z honoru i uczciwości. Ale jeżeli niniejsza książka zdoła przekonać tych, którzy Partię wspierają — względnie choćby tylko kilku spośród nich — praca moja nie pójdzie na marne. Osobiście nie wierzę by partię komunistyczną można było zlikwidować siłą. Komunizm jest ideą a ideę siłą się nie niszczy. Jest już czas byśmy sobie tę prawdę przyswoili. Ideę trzeba rozłożyć na kowadło prawdy, by przekonać się czy jest zdolna przetrwać potężne ciosy. Nie sądzę, by idea komunistyczna miała wyjść z tej próby zwycięsko.

6.

Mam za sobą dziwne doświadczenie. Obserwowałem własne „zgaśnięcie” i wiem już jakie się ma poczucie gdy się istnieje i równocześnie nie istnieje. Wszystko to miało następujący przebieg:

Rano dnia 31 stycznia 1957 roku na moim biurku zadzwonił telefon. Telefonował Harry Schwartz z „New York Times”. Powiedział mi, że właśnie otrzymał świeży numer „Fortune Magazine”, z którego dowiaduje się, że nie jestem już nadal członkiem partii komunistycznej Stanów Zjednoczonych. Schwartz zadzwonił, by sprawdzić u źródła czy istotnie tak jest. Oświadczyłem, że wiadomość podana przez „Fortune Magazine” jest prawdziwa.

Numer „Fortune Magazine” o którym mowa, poświęcony był amerykańskiej partii komunistycznej. Członkowie redakcji „Fortune”, przygotowując ten numer, przeprowadzili serię wywiadów z współpracownikami „Daily Worker’a”. Między innymi rozmawiali ze mną i z Johnem Gates. W czasie rozmowy jeden z reporterów „Fortune” zapytał mnie czy jestem nadal członkiem partii komunistycznej. Odpowiedziałem bardzo stanowczo, że nie jestem. Ostatni artykuł dla „Daily Worker’a” napisałem ubiegłego czerwca i mniej więcej w miesiąc po tej dacie oświadczyłem jasno moim kolegom partyjnym, że nie uważam się już za członka Partii i nie czuję się związany partyjną dyscypliną.

Przeszło rok przedtem przestałem płacić składki członkowskie i pełnić normalne funkcje członka Partii. Lecz gdy reporter „Fortune” zaczął mnie naciskać o dokładną datę mojego wystąpienia oświadczyłem, że nie mogę jej podać. Jakakolwiek data byłaby bowiem bez znaczenia dopóki nie ogłosiłem publicznie i formalnie mojego wystąpienia. Reporter zgodził się podać tylko to, że nie jestem już członkiem Partii bez precyzowania daty.

Przypuszczałem, że fakt ten nikogo nie zaskoczy. Na miesiąc przed opisywanymi wypadkami — 12 czerwca 1956 roku — w moim ostatnim artykule dla „Daily Worker’a” — w związku z „tajnym” referatem Chruszczowa przedstawionym na XX Kongresie Sowieckiej Partii Komunistycznej — napisałem co następuje:

„Ów raport jest dziwnym, przerażającym dokumentem bez historycznych analogii. Należy zdać sobie sprawę z faktu, że referat ten zawiera rejestr barbarzyństw i paranoicznych okrucieństw, które stanowiąc będą wiecznotrwałą i haniebną plamę w dziejach cywilizowanego człowieka”.

Pisałem jasno i bez niedomówień. Pozostała część artykułu utrzymana była w tym samym tonie. A przecież, gdy cytowany numer „Fortune” wyszedł spod prasy, stwierdzi-

łem, iż wiadomość o moim wystąpieniu z partii komunistycznej stała się sensacją. „Times” zwrócił się do mnie z prośbą o wyłączny wywiad.

W pierwszej chwili odmówiłem, oświadczając, że nie mam absolutnie niczego do powiedzenia na ten temat. Po prostu przestałem być członkiem partii komunistycznej i to wszystko. Jednak p. Schwartz starał się mnie przekonać argumentując że, niezależnie co ja sam o tym myślę, cała prasa natychmiast zajmie się moją osobą i dzienniki zaczną drukować na ten temat to co im się będzie podobało, a nie to czego ja bym sobie życzył. Z drugiej zaś strony — przekonywał mnie p. Schwartz — „New York Times” ogłosi dokładny tekst wywiadu, niczego nie ujmując i niczego nie dodając. Wówczas zapytałem go czy w razie zgody będę mógł zobaczyć odbitkę szczerotkową wywiadu, i ewentualnie cofnąć moją autoryzację. P. Schwartz w odpowiedzi oświadczył, że tę sprawę musi omówić ze swoim redaktorem. W pół godziny później zatelefonował i zakomunikował mi, że redaktor zgadza się na moje warunki.

Tak oto przestałem istnieć i zniknąłem jakby mnie nigdy nie było na jednej szóstej powierzchni naszego globu. Podkreślam ten fakt, gdyż jego znaczenie wykracza poza ramy publicznego obwieszczenia o wystąpieniu z Partii. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że Harry Schwartz należy do specjalistów polityki sowieckiej nieprzychylnie usposobionych do Związku Sowieckiego. W przeszłości ja sam atakowałem go wielokrotnie bardzo ostro. Ponieważ jednak sprawa publicznego ogłoszenia o moim wystąpieniu z partii komunistycznej miała przybrać formę wyłącznego wywiadu z „New York Times” — nic nie zależało mi na tym czy wywiad podpisze Schwartz czy ktokolwiek inny pod warunkiem, że pytania i odpowiedzi wydrukowane zostaną bez zmian czy przeinaczeń. A w tej dziedzinie „Times” był pedantycznie dokładny.

Nie zmieniłem w tej całej sprawie moich zapatrywań ani na jotę. A jednak najbardziej zaciekle ataki i oskarżenia, jakie w konsekwencji owego wywiadu posypały się na moją głowę, dotyczyły nie treści samego wywiadu lecz faktu, że wywiad przeprowadzony był przez Schwartza. Szczególnie zarzuty pewnych sowieckich pisarzy skierowane były wyłącznie nie przeciwko treści moich wypowiedzi, lecz przeciwko dziennikarzowi, który wywiad ze mną prze-

prowadził. Cała ta sprawa uwypukla tragedię światowego ruchu komunistycznego, a mianowicie fanatyczne ubóstwienie udogmatyzowanych metod przy wzrastającej niezdolności ogarnięcia końcowego celu. Sądzę, że fanatyka można zdefiniować następująco: jest to człowiek, który straciwszy z oczu cel — w całości poświęcił się środkom.

Przed tymi wypadkami Związek Sowiecki obdarzył mnie honorami, które były udziałem niewielu żyjących pisarzy, nie wyłączając Rosjan. Miliony egzemplarzy moich książek drukowano i sprzedawano w Sowietach. Pierwszy nakład mojej książki pt. „The Passion of Sacco and Vanzetti” — wynosił pół miliona egzemplarzy. Dwie moje oryginalne sztuki wystawiono w Rosji, dwie inne sztuki stanowiły przeróbkę dramatyczną moich książek, jeszcze inną moją powieść przerobiono na operę. Dziesiątki recenzji i krytyk napisano i ogłoszono w Sowietach o moich książkach. Ukazały się również dwa pełnotomowe studia poświęcone mojej twórczości. Rosyjscy krytycy i rosyjscy czytelnicy byli serdeczni, bezpośredni i przesadnie szczodrzy w swoich pochwałach. Zarówno entuzjazm jak i pochwały nie były proporcjonalne do rzeczywistej wartości moich książek, lecz nie chcę przez to powiedzieć, że nie były mi miłe. Nie znam pisarza tak obiektywnego, który by nie powitał z przyjemnością przesadnych pochwał dotyczących jego utworów.

Z biegiem lat moja korespondencja z czytelnikami na całym świecie przybrała bardzo okazałe rozmiary. Moje życie jako komunisty było otwartą kartą. Zawsze gardziłem ukrywaniem się i konspiracją, jako czymś poniżającym i pisywałem otwarcie do kogo mi się podobało. Moja korespondencja z sowieckimi obywatelami, dotycząca mojej twórczości literackiej, była szczególnie obfita i bogata. Tygodniowo otrzymywałem trzy, pięć a czasem i tuzin listów od sowieckich studentów, od dzieci szkolnych, od nauczycieli, robotników, krytyków, inżynierów, naukowców z uwagami co im się w moich książkach podobało a co nie.

List lotniczy ze Związku Sowieckiego do Stanów Zjednoczonych idzie około trzech dni. Wywiad, w którym złożyłem publiczne oświadczenie o moim wystąpieniu z partii komunistycznej ukazał się w druku pierwszego lutego 1957 roku. W dniu 4 lutego 1957 roku otrzymałem ostatnią pocztę ze Związku Sowieckiego. Wyjątek stano-

wiły dwa listy od oficjalnych osobistości z sowieckiego związku pisarzy, o czym będzie jeszcze mowa. Innymi słowy brama zatrzasnęła się. „Żelazna kurtyna” o której nieistnieniu tak gorąco wszystkich zapewniałem — zasunęła się szczelnie. Sowieckie władze pocztowe spokojnie i sprawnie zatrzymały i skonfiskowały wszystkie listy adresowane do mnie, aby nikt poza biurokracją partyjną nie dowiedział się co się stało z Howardem Fastem. Jak dotąd, mimo że ubiegło już siedem miesięcy — w prasie sowieckiej nie ukazało się ani jedno słowo na temat mojego wywiadu ogłoszonego na łamach „Times’a”. Prasa sowiecka pominęła również milczeniem mój artykuł w amerykańskim lewicowym periodyku „Mainstream”. W artykule tym zdefiniowałem moje stanowisko w sensie teoretyczno-politycznym.

Pierwszego lutego na obszarze jednej szóstej powierzchni ziemi przestałem po prostu istnieć. Znikły również wszelkie źródła i referencje dotyczące mojej osoby, tak że nie tylko przestałem istnieć ale nigdy nie istniałem. W owym czasie, w teatrze Armii Czerwonej, w Moskwie szła moja sztuka pt. „Generał Washington and the Water Witch”. Sztuka szła dalej lecz nie ukazała się już o niej najmniejsza wzmianka w prasie. Miliony moich książek czytano nadal, lecz autor przestał istnieć i zniknął nawet z pamięci. W Rosji nie było ani gniewu, ani argumentu, ani krytyki — tylko po prostu negacja. Howard Fast nie istniał.

Jeżeli czytelnik zechce zastanowić się nad tą sytuacją — pojmie co wówczas czułem. Byłem przygotowany na wszystko — na zażarte ataki, na namowy, na kpiny i szyderstwa. Nie wykluczałem nawet kulturalnej i cywilizowanej reakcji. Byłoby nią stwierdzenie: „Fast ma prawo robić co mu się podoba. Naszego sądu o nim nie operamy na tym do jakiej należy organizacji tylko na tym co robi. Miał prawo wstąpić do partii komunistycznej i miał prawo opuścić ją, jeżeli odpowiadało to jego życzeniom”.

Lecz zamiast tego typu reakcji wymazano zarówno pytanie jak i odpowiedź. Mniej jednak było ważne, że przestałem istnieć w jednej części świata w porównaniu z faktem, że obudziłem się i odrodziłem w drugiej jego części. Obecnie mija rok od tej chwili a nie opuszcza mnie uczucie przebudzenia z głębokiego koszmarnego letargu. Po

długich latach odnalazłem siebie samego, odnalazłem rzecz najcenniejszą ludziom — osobistą wolność. Prawo czynienia tak jak mi dyktuje moje sumienie — słusznie czy błędnie; prawo do pomyłki, do błędu a nawet do szaleństwa; prawo do myśli, marzeń i nadziei; prawo do przerywania milczenia ilekroć widzę zło. Nie znam rzeczy, która mogłaby to zastąpić, nie znam namiastki osobistej wolności.

Na osiem miesięcy przed opuszczeniem Partii oświadczyłem publicznie na łamach „Daily Worker’a”, że nigdy więcej nie przemilczę niesprawiedliwości, jeżeli będzie mi znana. To co zamierzam obecnie opowiedzieć stanowi część moich własnych doświadczeń, które leżą u podstaw powyższego postanowienia.

7.

Do tego co powyżej powiedziałem należy dodać małą uwagę, coś w rodzaju większego odsyłacza. To była niewątpliwie chwila pełna goryczy owa decyzja zerwania z komunizmem raz i na zawsze. I owa gorycz wewnętrzna przerodziła się w solenne postanowienie, że nigdy nie będę milczał wówczas, kiedy należy mówić. Będę natomiast milczał w wypadkach, gdyby to co miałbym do powiedzenia mogło kogoś narazić na krzywdę i niesprawiedliwość. Nie ujawniam tego typu informacji w niniejszej książce. Lecz jeżeli ludzi porywa straszliwa fala historii, musi się o nich mówić. Dzieje tej gorzkiej decyzji wiążą się z historią człowieka, którego nazwiska nie mogę wymienić, gdyż groziłoby mu to śmiercią. Wskutek tego nie zacytuję jego nazwiska ani nawet kraju który reprezentował a czytelnik musi uwierzyć mi na słowo.

Ów człowiek będzie wiedział, że opowieść jest prawdziwa a inni rozpoznają typ, który reprezentuje mój bohater. Będę nazywał go dyplomatą.

W książce tej wielokrotnie powołuję się na artykuł, który ogłosiłem w „Daily Worker” w czerwcu 1956 roku. Oficjalnie wystąpiłem z partii komunistycznej w lutym 1957 roku. W cytowanym artykule nawiązywałem z pasją

brak wolności i cywilnych praw obywatelskich w Związku Sowieckim. W czasokresie między ogłoszeniem owego artykułu w „Daily Worker” a moim oficjalnym wystąpieniem z Partii, wielu dyplomatów i dziennikarzy reprezentujących tak zwane państwa satelickie szukało ze mną kontaktu. Jedni z nich byli wysoko postawionymi dygnitarzami w służbie zagranicznej swoich krajów, inni zajmowali mniej eksponowane stanowiska. Ponieważ ludzie ci czytali moje artykuły i wiedzieli, że jako komunista przeciwstawiłem się publicznie stalinowcom w komunistycznej partii Stanów Zjednoczonych — uważali, że mogą mówić ze mną szczerze i otwarcie.

I mówili. Roztoczyli przed moimi umęczonymi oczyma obraz terroru, krzywd i potworności, obraz w porównaniu z którym tajny referat Chruszczowa wydawał się skromnym zarysem całości, która nigdy nie zostanie w pełni zinwentaryzowana. Mówili rozmaicie: jedni chłodno, drudzy z pasją i nienawiścią. Niektórzy płakali nawet przede mną. Wielu z nich przeżyło utratę serdecznych przyjaciół — bitych, torturowanych i zamordowanych przez sowiecką tajną policję. Niektórzy z nich powtarzali te same zdania: „Nauczyliśmy się czekać. Moja ojczyzna nie podzieli losu Węgier”. A inni wyrażali tę myśl podobnie: „Będziemy czekać i czekać aż się doczekamy. Prawda w końcu zawsze zwycięży”.

Lecz jeden z moich rozmówców mówił beznamiętnie — rozmawialiśmy przy stoliku restauracyjnym — tonem, jakim się mówi o pogodzie. Spokój i prostota jego wypowiedzi nigdy nie wzbudziły we mnie najmniejszej wątpliwości w prawdziwość przedstawianych faktów. Opowiadał o wywyższaniu na piedestał ignorancji i rzucaniu klątw na tych, którzy ośmielają się być innego zdania. Mówił jak w jego kraju żyją przywódcy komunistyczni, opowiadał o ich luksusowych limuzynach, służbie, wiejskich rezydencjach, o ich żonach obwieszonych klejnotami, o ich kochankach. Mówił o okrucinach z pańskiego stołu rzucających ludowi. A ponieważ mój rozmówca był Żydem mówił dużo o antysemityzmie. Najbardziej makabryczne było to, że mówił do mnie o nienawiści do Żydów tak, jakby to był fakt znany mi dobrze i od dawna.

Gdy wyjaśniłem mu, że to jest rzecz o której do niedawna nic nie wiedziałem i że dopiero ostatnio w związku

z wypadkami w Rosji zetknąłem się z tą sprawą, zaś o antysemityzmie w innych państwach, które zwą się „socjalistycznymi” pierwszy raz słyszę — mój rozmówca był zmieszany i zdumiony — prawdopodobnie nie bez racji.

W każdym razie choć to co mówił mój gość było mi wówczas nieznanie — dziś wielu ludziom jest wiadome. Chciałbym pewne szczegóły z tej relacji przedstawić w tej książce — niestety jednak jest to niemożliwe. Albowiem w chwili gdy wstawaliśmy od stolika mój gość oświadczył:

„Muszę panu coś powiedzieć choć dużo mnie to kosztuje. Muszę to jednak zrobić nie z uwagi na siebie samego lecz z uwagi na moją żonę i dzieci. Gdyby moja ambasada dowiedziała się już nie o tym co panu powiedziałem, lecz w ogóle o spotkaniu z panem w cztery oczy, po powrocie do kraju zostałbym aresztowany i prawdopodobnie skazany na śmierć. Mój osobisty los mnie nie obchodzi ale jestem potrzebny żonie i dzieciom. Ciężko byłoby żyć osieroconym w takich warunkach, jakie panują obecnie w moim kraju”.

Zarówno ów człowiek jak i ja — obaj zrozumieliśmy z czego utkane były nasze marzenia. Lecz odejść — dzięki łasce Boga — mogłem tylko ja. Tylko ja mogłem opuścić partię komunistyczną i żyć — on nie mógł. Tak oto ów bezimienny dyplomata stał się niejako duchem nawiedzającym stronnice tej książki. To jego męka i agonია, pomnożona przez losy setek tysięcy, stanowi temat tej książki. Mój własny dramat w porównaniu z tym ogromem jest drobnym epizodem bez znaczenia.

8.

W Ameryce pewne grupy antykomunistyczne z wstępowania do Partii czynią akt niemal mistyczny — co w konsekwencji prowadzi do jeszcze większej zagadki, a mianowicie do pytania dlaczego pewni ludzie z Partii występują. Nie można zaprzeczyć, że w szczególności odnosi się to do intelektualistów — ponieważ robotnik opuszcza

Partię zwyczajnie i bez hałasu, podczas gdy intelektualiści odchodząc mają często coś na ten temat do powiedzenia.

Należy stwierdzić, że marksizm oraz partia komunistyczna głosząca, iż tylko ona zdolna jest urzeczywistnić teorię marksizmu — znajdują oddźwięk w dwóch grupach społecznych. Robotnik akceptuje marksizm w ramach swej walki o zaspokojenie potrzeb i celów robotniczych. Intelektualista staje się marksistą, by zaspokoić swą potrzebę zrozumienia rzeczywistości bez czego czuje się zawiedziony i bez punktu oparcia. Nie dyskutuję w tej chwili wartości marksizmu jako teorii. Mówię o marksizmie jako o sile dynamicznej. Przedsiębiorca, prawnik czy lekarz — może być, lub może nie być marksistą. W stosunku do tych ludzi marksizm nie przybiera form życiowej konieczności w zrozumieniu ich trybu życia i pracy. Inaczej widzą ten problem studenci, artyści czy pisarze.

Nie należy tej sprawy upraszczać redukowaniem jej do kategorii młodzieńczego buntu. Ten bunt może przybierać różne formy — zbrodni, narkomanii, alkoholizmu, wariackiej jazdy samochodem, bezsensownego sprzeciwiania się dorosłym i tak dalej. Jednakże młodzież, która zwraca się ku marksizmowi stanowi specjalny typ buntowników. Jest to bunt przeciwko społeczeństwu, przeciwko czynnikom, które zaciemniają zamiast rozjaśniać, bunt przeciwko ignorancji, dogmatyzmowi, przesądom; przeciwko bezsensowi wzajemnych stosunków między masami ludzkimi. To, że partia komunistyczna ustanawia dogmaty i żąda ich uznawania, w niczym nie zmienia istoty faktów przytoczonych powyżej i nie wyjaśnia dlaczego tak wielu uzdolnionych i bystrych intelektualistów znajduje się w jej szeregach.

Nie można również stawiać znaku równania między partią komunistyczną a marksizmem. Partia wprawdzie przedstawia marksizm jako swoją własną filozofię, lecz równocześnie go tłumi, fałszuje i degraduje — podobnie jak degraduje wielu ludzi w ramach własnej organizacji.

Pochodząc z klasy robotniczej zbliżyłem się do ruchu lewicowego w konsekwencji nędzy, głodu i rozpacz w początkach lat 1930-tych. Lecz do partii komunistycznej wstąpiłem w roku 1943, ponieważ jako pisarz nie widziałem przed sobą przyszłości dopóki moich zasad nie będę mógł powiązać z akcją. W chwili gdy wstępowałem do Partii

nie miałem poczucia, że oddalam się od tradycji, która uformowała mój sposób myślenia. Przeciwnie, sądziłem, że robię krok naprzód po tej samej linii. Jeżeli dotąd byłem samotnym współpartnerem inteligentkiej dezorientacji i zawodu — wstępując do Partii miałem poczucie, że staję się częścią budowli poświęconej wyłącznie i nieodwołalnie likwidacji wszelkich wojen, niesprawiedliwości, głodu i cierpienia z ogólnym celem ustanowienia międzynarodowego ładu i ludzkiego braterstwa.

W trzydzieści lat później, w Moskwie, pewien człowiek zamknął drzwi wielkiej sali i zgromadzonym ludziom — którzy wszyscy byli komunistami biorącymi udział w XX Kongresie Sowieckiej Partii Komunistycznej — odczytał tajny raport dotyczący działalności kierownictwa Partii w ostatnich trzydziestu latach. Ów referat niedługo stał się tajemnicą. Niebawem wybuchł nad światem rejestr nieprawdopodobnych, przerażających mordów i nieludzkości. Rejestr ten nie ma sobie równego w dziejach stulecia. A chociaż nasza epoka obfituje w akty nieludzkości — to pragnę podkreślić, że mówię w tym miejscu o samym dokumencie-rejestrze i nie porównuję zbrodni w Rosji ze zbrodniami dokonanymi gdzie indziej. Ów dokument — tajny referat Chruszczowa — został sporządzony przez tych samych ludzi, którzy w wielu wypadkach brali bezpośredni udział w zbrodniach wyliczonych w referacie. I w tym aspekcie referat Chruszczowa jest dokumentem zaiste jedynym w swoim rodzaju:

Z ukazaniem się owego „tajnego” raportu, budowla której stałem się przed trzynastu laty składową częścią — rozpadła się w gruz i popiół. W popiół bólu, przerażenia i rozpacz.

Od tego dnia ukazało się tysiące esejów, których autorzy usiłowali teoretycznie i racjonalnie wyjaśnić to co się stało. Niektóre z tych studiów — pisane przez szczerych i do głębi wstrząśniętych ludzi — rzuciły wiele światła na ówczesny bieg wydarzeń i układ okoliczności. Jednak czasem przychodzi mi na myśl, że przypadek może być równie odkrywczy jak uczona teoria.

My, którzyśmy poświęcili naszą młodość, nadzieję i dumę, nasze życie i pasję idei sprawiedliwości i braterstwa między ludźmi nie paktowaliśmy ze złem. Blisko znam tylko jedną partię komunistyczną, to jest Partię

Komunistyczną Stanów Zjednoczonych. O tej organizacji mogę uczciwie powiedzieć — jeżeli trzeba to pod przysięgą — że nigdy w życiu nie widziałem w tak małej grupie tak wielu ludzi moralnie czystych, tak wielu ludzi delikatnych i dobrych, tak wiele mężczyzn i kobiet o całkowitej i bezwzględnej uczciwości.

Dopóki Czytelnik nie jest gotów przyjąć powyższego stwierdzenia jako prawdy — prawdy wypowiedzianej przez człowieka, który z tymi ludźmi zerwał i stracił prawo zwać ich towarzyszami — nie zrozumie najbardziej złożonej i nieprawdopodobnej sytuacji naszej epoki a może całej ludzkiej historii. Nie pojmie również tego co piszę poniżej.

9.

Od chwili ogłoszenia tajnego referatu Chruszczowa żaden inteligentny i dobrze poinformowany komunista nie wątpił w autentyczność tego dokumentu. Wiedzieliśmy o tym referacie na tygodnie naprzód. Zналиśmy w skrócie jego treść. Mieliśmy również wiarygodne informacje w jaki sposób Departament Stanu znalazł się w posiadaniu kopii tego dokumentu. Informacje na ten temat zostały później potwierdzone przez pewnych wschodnio-europejskich dyplomatów. Niezależnie od tych faktów należy stwierdzić, że ani Departament Stanu, ani „New York Times” — nie fabrykują nigdy materiałów tego rodzaju. Zresztą byłoby to nie tylko głupie lecz i tragicznie szkodliwe albowiem proste zaprzeczenie ze strony sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych stawiałoby tak ministra Dullesa jak i „Times” w pozycji nie do obronienia.

Lecz nikt nie żywił obaw tego rodzaju. I minister Dulles, i my, w Partii wiedzieliśmy, że Rosjanie odbili tajny referat Chruszczowa w tysiącach egzemplarzy (Bóg raczy wiedzieć co ich skłoniło do tak kolosalnego głupstwa!) i kopie od dawna krążyły wśród przywódców wielu zagranicznych partii komunistycznych. Wiedzieliśmy, że Rosjanie nie mogą przeczyć tym faktom i istotnie nie przeczyli. Dopiero w rok później, w czasie swego wywiadu

telewizyjnego, Chruszczow zdobył się na idiotyczny nonsens mówiąc o „sfałszowaniu”. My jednak wiedzieliśmy, że ani jedno słowo w referacie nie zostało sfałszowane. Raport nie był natomiast kompletny i pewne szczegóły uznano za tak straszne, iż je pominięto, lecz rewizji dokonali sami Rosjanie a nie Departament Stanu. Tekst, który ukazał się w „Times’ie” był wiernym przekładem z rosyjskiego oryginału.

W ciągu dwudziestu czterech godzin podjęliśmy wówczas decyzję ogłoszenia na łamach „Daily Worker’a” pełnego tekstu referatu Chruszczowa jaki ukazał się na łamach „Timesa”. O ile mi wiadomo byliśmy jedynym na świecie piśmie komunistycznym, które tak postąpiło.

Było to wynikiem pewnego układu sytuacyjnego, któremu należy poświęcić nieco uwagi, ponieważ ułatwi to nam zrozumienie późniejszych wydarzeń. W dalszym toku tej książki rozważymy pewne aspekty kierownictwa Partii, które bardzo ostro kontrastuje z masą szeregowych członków. W tej chwili chciałbym tylko podkreślić, że od momentu, gdy zaczęły nadchodzić pierwsze wiadomości o XX Kongresie Sowieckiej Partii Komunistycznej, a więc od pierwszych dni marca 1956 — aż do ukazania się w dniu 5 czerwca tajnego referatu Chruszczowa na łamach „New York Times’a” — kierownictwo amerykańskiej partii komunistycznej właściwie abdykowało. Wyjątek stanowił jedynie John Gates, który jako redaktor „Daily Workera” wraz z kilku innymi czołowymi członkami zespołu redakcyjnego — w owym krótkim okresie czasu reprezentował rzeczywiste przywództwo Partii.

Gates był wyjątkiem, nie znam bowiem innego przywódcy komunistycznego, który byłby kochany, szanowany i czczony przez zwyczajnych szeregowych członków Partii. Stanowił wyjątek i w tym względzie, że miał bystry, otwarty umysł, wielką odwagę w akcji i nie odczuwał lęku przed nowymi ideami. Pięć lat które spędził w więzieniu, to były lata studiów i rozmyślań jak również okres wewnętrznego łamania się z sobą. Pamiętam jak powiedział mi kiedyś, że gdy przeczytał w więzieniu zabronioną swego czasu książkę Orwella (*) „Rok 1984” — spojrzął na

(*) Jak wszystkie cenzury sprawnie funkcjonujące i ta cenzura była przyjęta dobrowolnie. Gdy propagandowy aparat Partii zbuduje dostateczny potencjał pogardy i nienawiści dla danego autora

Partię, na Związek Sowiecki i na samego siebie z przerażeniem — z przerażeniem, bo dopatrzył się podobieństw. Jednak stawiał temu czoło — tak jak stawiał czoło faszystom w Hiszpanii, faszystom w drugiej wojnie światowej i latom więzienia.

W Partii, a w szczególności wśród sztabu redakcyjnego „Daily Workera”, wiadomości nadchodzące o XX Kongresie działały jak wybuchowa, wyzwalająca siła — nie tylko z uwagi na treść (tajny referat Chruszczowa był jeszcze wówczas tajemnicą), lecz dzięki temu, że w wiadomościach tych tkwiły pierwsze iskierki obrazoburstwa, nieznanne w dziejach partyjnych kongresów. Na razie nie było tego wiele, ale dość dla nas by iskierki rozdmuchać w płomień i zacząć niszczyć przeklęte obrazy. Każdy z członków redakcji podjął inicjatywę w pewnym kierunku. Osobiście zacząłem uderzać we wszystkich kierunkach z radością niezaznaną od lat. Znaczna grupa członków Partii — ze mną włącznie — wyznawała freudyzm, lecz dotąd musieliśmy milczeć bo tym, którzy z sympatią wymówiliby imię Freuda groziło wydalenie z Partii. Obecnie mogłem bronić Freuda i jego nauki. Mogłem również pozwolić sobie na stwierdzenie, że idiotyczna sowiecka doktryna „kosmopolityzmu” były nonsensem i w głównej mierze antysemityzmem. Mogłem piętnować karę śmierci jako hańbę ludzkości a socjalizmu w szczególności. Mogłem oskarżać Sowietów, że Żydzi traktowani są wewnątrz Rosji jak więźniowie. Pisałem o umiłowaniu i podziwieniu jaki żywie dla mojego kraju ojczystego, to jest Stanów Zjednoczonych. Towarzysze o dwudziesto- i trzydziestoletnim stażu partyjnym przychodzili do mnie ze łzami, by mi dziękować za te artykuły. Wyszczególniam tematy, które poruszałem bo leżą przede mną odnośne wycinki — lecz podobnie pisali wówczas Alan Max, Joseph Clark, Ben Levine, Bob Friedman i wielu innych. Ci ludzie z redakcyjnego sztabu „Daily Workera” podtrzymywali niezależną pozycję pisma, która odróżniała „Daily Worker” od

wśród swoich członków — drogą niewiarygodnych oskarżeń i oszczerstw, redukując status niepożądanego pisarza do rangi małpóluda — wówczas zwyczajny szeregowy członek Partii nie ma ochoty nawet otworzyć zakazanej książki. Sam jej widok wydaje się obrażać. Trzeba stwierdzić, że ta bardzo skuteczna metoda bynajmniej nie stanowi wyłącznego monopolu partii komunistycznej.

wszystkich innych komunistycznych pism świata. Zbyt łatwo zapomina się o tym, że z całej prasy komunistycznej tylko „Daily Worker”, pod kierownictwem Johna Gatesa i Alan Max'a, wydrukował tajny referat Chruszczowa. Ostra krytyka z jaką wystąpił „Daily Worker” w związku ze zgnieciem rewolucji węgierskiej — była całkowicie wyjątkowym zjawiskiem w prasie komunistycznej.

Przywództwo partyjne, ponieważ nigdy nie interesowało się myślą, rewizją ideologii, przemianami — w tym całym procesie zachowało się biernie i milcząco. Odnosiliśmy wrażenie, że ci ludzie pochowali się w jamy jak szczury chroniąc się przed burzą, która wstrząsnęła intelektualnymi kołami komunistycznego świata. Mówiliśmy o tym ze wstydem, patrząc na naszych przywódców z niesmakiem i pogardą. Jak król w bajce Andersena, panowie ci stali przed nami patetyczni w swojej nagości.

Lecz dla nas cóż to był za okres! Cóż za wolność! Jakże wspaniałe było przekonanie, że wszystkie lata oczekiwania, ukrywania się z każdą myślą, intelektualnego serwilizmu nie poszły na marne. Mówiliśmy, między sobą, że dobrze się stało, iż nie opuściliśmy Partii bo przecież pień Partii jest zdrowy co umożliwi nawrót do rzetelnego racjonalizmu.

Otworzyliśmy szeroko łamy „Daily Worker'a” drukując setki listów. Zamieszczaliśmy wszystko: rzeczy szalone i nieszalone, wariackie i trzeźwe, literacko dobre i liche, mądre i głupie. Po raz pierwszy za naszej pamięci rozgorzała w Partii wolna, niczym nieskrępowana dyskusja. Każdy — dosłownie każdy — miał coś do powiedzenia z wyjątkiem naszych przywódców. Ci gentlemen, siedząc w swych zaskorupiałych schronach, nie oddali ani jednego strzału.

W końcu jednak przemówili. Lecz nie były to ani nowe idee czy pomysły, nie była to zapowiedź zmiany, lecz tchórzliwy manewr, mający na celu usunięcie Johna Gatesa z „Daily Workera” i wykluczenie go z Partii. Sztab redakcyjny zareagował na tę taktykę drwinami: „Jeżeli Gates odejdzie — odejdziemy z nim razem” — odpowiadali zgodnie współpracownicy „Daily Workera”. Wobec takiej postawy przywódcy zmienili taktykę i cofnęli się o jeden krok. Podjęli z nami dyskusję mówiąc to samo co powtarzali do znudzenia przez wszystkie ubiegłe lata —

operując tymi samymi bezsensownymi, wytartymi frazesami co zawsze. Lecz ich główna broń i źródło siły, a mianowicie władza wydalenia z Partii każdego, który się z nimi nie zgadza, który przeciwstawia się ich sposobowi myślenia, owa dyktatorska władza, chwilowo uległa zachwianiu. Wydalenie z Partii, w myśl tradycji i ustanowionej legendy, równało się wykluczeniu danego członka z grona przyjaciół, z którymi przepracował życie; równało się odarcie danego człowieka z szacunku i przyjaźni jaką cieszył się u ludzi dobrej woli. W ten sposób wyrokiem przywódców Partii każdy niezależny umysł można było przemienić w umysł „kryminalisty” — umysł heretyka, który w Rosji sowieckiej zapłaciłby za swe przewiny torturą i śmiercią. Nie mogąc zniszczyć fizycznie — „przywódcy” dążyli do duchowego złamania członka Partii wykluczonego poza nawias społeczności partyjnej.

Ostateczne bankructwo owego czynnika, eufemistycznie określanego „kierownictwem” amerykańskiej Partii Komunistycznej, nastąpiło 28 marca. W dniu tym amerykańskie władze podatkowe podjęły ostatnią, z dłuższej serii, akcję represyjną w stosunku do partii komunistycznej. Na podstawie wątpliwej pretensji podatkowej agencji policyjnej zjawili się w naszych biurach i założyli sekwestr na zakurzone teczki, stare meble i sprzęty biurowe. Usiłując tego typu metodami zlikwidować pismo codzienne — agenci federalni pogwałcili wszelkie tradycje wolności prasy w Stanach Zjednoczonych. Ileż gorzkiej ironii kryło się w fakcie, że zdecydowali się na ów krok właśnie w chwili gdy podnieśliśmy bunt przeciw niewoli myśli, która więziła nas tak długo.

W tym momencie Eugene Dennis, generalny sekretarz amerykańskiej Partii Komunistycznej znajdował się u siebie w domu i pisał mowę. Cała generacja przywódców komunistycznych — odrzuciwszy religię — w jej miejsce wypracowała szczególny typ magii. Rytuał owej magii zasadzał się na wierze, że rzucaniem „uroków” można powodować cuda. „Urokiem” magicznym była „rezolucja”; „urokiem” była polityczna książka; „urokiem” o sile cudotwórczej były specjalne przemówienia i deklaracje. Rzucanie tego rodzaju „uroków” nie miało absolutnie nic wspólnego z realnym światem zwyczajnych, normalnych ludzi. Nie było ważne czy daną rezolucję usiłował

któs wprowadzić w czyn, czy nie. Nie było również ważne, czy ktoś daną książkę kupił czy przeczytał. Jeszcze mniej było ważne, czy ktoś danej mowy wysłuchał. Ważne było tylko daną mowę napisać — wszystko inne winno było samoczynnie wypłynąć z tego cudownego aktu. Przez wiele lat wśród członków Partii kursowało żartobliwe powiedzenie, że nie wielu czyta teoretyczny periodyk pt. „Political Affairs”, a nikt w ogóle go nie rozumie. Istota rzeczy nie polegała na tym by pismo zmienić i uczynić je strawne. Ważne było że pismo istniało i milcząco pełniło swą magiczną funkcję.

Eugene Dennis przygotowywał właśnie taką rytualną mowę, gdy z „Daily Workera” zaczęto szturmować go telefonicznie w związku z zajęciem lokalu redakcyjnego przez policję. Generalny sekretarz był oburzony i zirytowany, że towarzysze ośmielają się przerywać mu tak ważną pracę. Tego dnia i następnego walczyliśmy by uratować pismo. I walkę tę wygraliśmy. Pisaliśmy i przygotowywaliśmy materiały w innym biurze. Redaktorzy robili numer dosłownie na kolanie. John Gates był nieznużony, nieustępliwy i warczał na agentów policji jak rozdrażniony buldog. Jeden z wielkich i dzielnych lewicowych prawników — Darrow naszych czasów — walczył z nami owego dnia i dni następnych. Cóż to były za wspaniałe chwile! Nie było istotne czy nasze pismo było komunistyczne, czy wegetariańskie; czy był to „Daily Worker”, czy „New York Times”. Walczyliśmy samotnie o najpiękniejszą tradycję naszej demokracji i zwyciężyliśmy. Zabrali nam lokal, maszyny do pisania, stare graty, niebieskie ołówki itd. A przecież udowodniliśmy, że los walczącego pisma spoczywa w sercach i w rękach jego współpracowników, a nie w pokojach biurowych oddanych pod przymusem policji.

Przez cały ten czas żaden przywódca partyjny — z wyjątkiem Gatesa — nie pokazał się, nie przyszedł, by natchnąć nas zaufaniem i służyć nam radą i kierownictwem.

Czyżbym zbyt wiele miejsca poświęcił rozważaniom problemu partyjnych przywódców?

Przywódcy nie są dziełem przypadku. To nie są ciemni spryciarze, którzy wślizgnęli się w ramy organizacji partyjnej. Nie, są oni rezultatem naturalnej logiki tego typu

organizacji, podobnie jak naturalnym rezultatem tej samej logiki są dobrzy, altruistyczni, zawsze gotowi do ofiar prości ludzie, którzy tworzą większość członków partii komunistycznej. To nie jest takie proste nie dać się uśpić sloganem z prawa czy z lewa, nie dać się zbyć filozoficznym gestem, nie dać sobie nałożyć na nos rządowych, oficjalnych okularów. To jest problem, który musi się pojąć i zrozumieć; to jest problem, nad którym należy się samotnie, głęboko, rzetelnie zastanowić.

Przywództwo monolitycznej partii Lenina! Rosjanie — przedstawivszy rejestr najbardziej niewiarygodnych zbrodni naszych czasów — radośnie zapewnili świat, że jedynym źródłem zła był tak zwany „kult jednostki”. Ów „kult” został zlikwidowany i wszystko jest w należytym porządku. Nie pokuszono się o odpowiedź na kardynalne pytanie, co uczyniło z owych „jednostek” monstrualnych zbrodniarzy; nie poddano analizie struktury organizacji, której te „jednostki” przywodziły. Nie powiedziano nic o żądzy władzy i manii prześladowczej. Nie zauważono również że „dobrotliwa” tyrania rodzi zazwyczaj okrutnych tyranów. Jeżeli wyznaje się magię, wówczas nie ma potrzeby kłopotania się rozumowaniem i wynajdywaniem racjonalnych przyczyn. Wystarczy magiczna formułka: „kult jednostki”, i wszystko jest w porządku.

A jednak nie cudzoziemiec, lecz rosyjski dyplomata był pierwszym który poinformował mnie, że Stalin w czasie ostatnich siedmiu lat swego życia w ogóle nie kontaktował się ani z robotnikami ani z chłopami. Zadawał się towarzysstwem swoich lokajów. Pewien rosyjski dyplomata odsłonił przede mną karierę Berii jako zбочzonego erotomana. Jeden z dziennikarzy komunistycznych, po powrocie z Rosji, opowiadał nam przez cały wieczór o mordach i błyskawicznych egzekucjach, dokonywanych przez Chruszczowa. Dyplomata pewnego wschodnio-europejskiego kraju opowiadał ze łzami w oczach, mnie i mojej żonie, o egzekucjach swoich przyjaciół w Rosji. „My, komuniści” — mówił mój znajomy — „uczylimy innych jak należy umierać godnie i odważnie, lecz gdy przyszła na nas kolej ginąć z rąk morderców, ci oprawcy pozbawili nas nawet tej pociechy jaką jest świadomość, że schodzi się z tego świata odważnie i z godnością. Bito nas i torturowano tak

długo dopóki leżąc u nóg oprawców nie zgodziliśmy się podpisać przyznania się do nigdy niepopelnionych zbrodni”.

Inny dyplomata, reprezentujący również jeden z wschodnio-europejskich krajów, powiedział mi kiedyś z przekonaniem: „Musimy żyć i cierpieć do chwili gdy Rosjanie nie wyrzucą swego nawozu a wówczas przyjdzie kolej zrobić porządek i u nas”.

Ów dyplomata, który sam był komunistą — mówił o przywództwie Partii. Należy to podkreślić. Interpretowanie tych słów w sensie potępienia socjalizmu byłoby równoznaczne zarówno z brakiem historycznej perspektywy jak i z brakiem zrozumienia samego procesu. Zarządcy partii komunistycznej nie są socjalistami. Ci panowie nie są Rosją — nie są nawet Partią. Są natomiast produktem Partii. Byłoby płaskim nonsensem twierdzić, że ci ludzie zbudowali socjalizm w Związku Sowieckim. Jeżeli ktoś na ten temat ma wątpliwości niech przeczyta tajny referat Chruszczowa i odpowie sobie samemu na pytanie czy Stalin i banda zbirów zgromadzona wokół niego byli budowniczymi socjalizmu, czy też odwrotnie — jego najstraszliwsi wrogami. Zgodnie z świadectwem złożonym przez Chruszczowa — hitlerowscy najeźdźcy pobici zostali mimo zbrodni Stalina, i mimo zbrodni Stalina i zbrodni jego bandy jego lokajów kraj odrodził się z popiołów.

Nie od wrogów Rosji, lecz od sowieckich dyplomatów, dowiedziałem się po raz pierwszy, że Stalin — ilekroć była mowa o badaniach, o śledztwie, o przewodzie sądowym — miał zawsze jedną odpowiedź: „wziąć pałkę i bić, bić, bić i jeszcze raz bić”. Jakaż siła tkwi w socjalizmie, jeżeli może on nie tylko znieść tak straszliwe ciosy lecz i zbudować to wszystko co zbudowano w Związku Sowieckim. Bo kierownicy partii komunistycznej nie zbudowali niczego z wyjątkiem grobów i cmentarzysk. A gdy dziś panowie ci walczą i intrygują jedni przeciwko drugim — z każdym dniem jest bardziej widoczne iż w dołach, między prostymi ludźmi, którzy żyją, pracują i budują, narasta fala gniewu, która niczego dobrego nie wróży tym na górze.

Chciałbym wrócić jeszcze do okresu o którym powyżej mówiłem, do okresu wolności słowa w prasie komunistycznej. Okres ten rozpoczął się w początkach marca 1956 roku. Byliśmy wówczas pełni wiary i nadziei na odnowę Partii. Nadzieje te zaczęły gasnąć w czerwcu tegoż roku, to jest w tym samym miesiącu, w którym Chruszczow wygłosił swój tajny referat.

Następnego dnia po ukazaniu się przemówienia Chruszczowa w „New York Times'ie” sztab redakcyjny „Daily Worker'a” zebrał się w biurze Alan Maxa. Każdy z nas zdał tekst przemówienia Chruszczowa. Ponury terror tych rewelacji można było odczytać z wyrazu oczu zebranych. Mieliśmy zdecydować czy ogłosić referat Chruszczowa na łamach „Daily Worker'a”, czy nie. W czasie tej dyskusji wydarzyło się coś, czego nie zapomnę aż do śmierci. Mogło się to zdarzyć tylko wówczas, ponieważ prawda, jaką zakomunikował Chruszczow, była brutalna i nie do opisania w swojej grozie.

W większości nie byliśmy już młodymi ludźmi. Dojrzałe lata poświęciliśmy ruchowi komunistycznemu. Każdy z nas miał za sobą wielkie ofiary — wojnę, więzienie, nędzę i każdy z nas patrzył wielokroć śmierci w oczy. Niektórzy z towarzyszy zrezygnowali z świetnej kariery, inni z bogactwa i szansy sukcesu. Tworzyliśmy małą mniejszościową grupę, prześladowaną i tępiącą od dziesięciu lat. Wszystkich nas ożywiała wiara w wspaniałą ideal braterstwa i sprawiedliwości. W grupie tych ludzi, w czasie cytowanej powyżej dyskusji, w pewnym momencie uniosłem się ze swego miejsca i powiedziałem, co następuje: „Ciekawy jestem, czy w świetle faktów o których dowiedzieliśmy się, jest między nami ktoś, kto mógłby o sobie powiedzieć, że nie zawdzięcza swojego życia temu, że nasi przywódcy partyjni nie byli wyposażeni we władzę przeprowadzania egzekucji”.

Oczy obecnych skupiły się na mnie, lecz nikt nie przerwał milczenia, które zapadło. Doszliśmy do kresu naszej drogi i każdy z nas wiedział czemu zawdzięcza, że jest jeszcze przy życiu. Lecz jakże okropna była owa

wiedza. Każdy z nas zależnie od swych możliwości i osobistych uzdolnień ofiarował życie sprawie braterstwa i sprawiedliwości a nagrodą za to — jak dowiedzieliśmy się — była śmierć.

Na pierwszy rzut oka powyższa wypowiedź może się wydawać dramatycznym frazesem, lecz de facto pokrywa się z nagą prawdą. Napływały narozmaitsze próby wyjaśnienia zbrodni, tortur i morderstw wyszczególnionych w tajnym referacie, który — warto nawiasem dodać — stanowi tylko fragment krwawej historii. Niewątpliwie wręcz śmieszne jest wyjaśnienie, sfabrykowane przez samych Rosjan, w formie koncepcji „kultu jednostki”. „Kult jednostki” niczego nie wyjaśnia i jest tylko wyrazem płycizny umysłowej pewnych sowieckich przywódców. Niektórzy z wysoko postawionych rosyjskich dostojników mówili i „chorobie” Stalina i jego manii prześladowczej. Jest to tym dziwniejsze jeżeli się zważy, że stalinowska doktryna komunistyczna odrzucała całą nowoczesną psychiatrię. Niewątpliwie Stalin był nienormalny, ale czy tylko on jeden? Mordy, wyszczególnione w tajnym referacie, nie są powiązane wspólną rozumową przyczyną czy jakimś planem. Lecz nie można również wytłumaczyć tych zbrodni okrucieństwem i żądzą krwi jednego czy dwóch ludzi.

Faktem jest, że wszystkie ofiary nosiły piętno nieortodoksji w takim czy innym kierunku. Czasem jedyną winą zamordowanego było pozornie niewinne słowo niebacznie wypowiedziane.

My, zebrani wówczas w redakcji „Daily Worker'a”, byliśmy wszyscy nieortodoksyjni. Dobrze wiedzieliśmy o tym i przywódcy naszej Partii wiedzieli o tym również. Niektórzy z nas byli wręcz znienawidzeni przez kierowników Partii. Inni towarzysze byli zaledwie tolerowani. I nagle, w kulminacyjnym punkcie tego zebrania uświadomiliśmy sobie, że nie kierownictwo Partii jest paranoiczne i żądne krwi, lecz, że śmierć jako ostateczna konsekwencja nieortodoksji stanowi logiczną część składową struktury partii komunistycznej. Dlaczego paranoicy sprawują ową władzę życia i śmierci jest innym zagadnieniem, które omawiam w następnych rozdziałach.

Tak oto ów straszliwy, makabryczny, tajny referat stał się dla nas czymś realnym i to nie na skutek faktów,

które dokonały się w Rosji, lecz wskutek naszych przeżyć i doświadczeń tutaj, w ramach partii komunistycznej Stanów Zjednoczonych.

11.

Od czasu gdy napisałem poprzedni rozdział przeprowadziłem rodzaj ankiety, zapytując około stu dobrze poinformowanych ludzi czy czytali tajny referat Chruszczowa. Wśród ludzi, do których zwracałem się z powyższym pytaniem, byli eks-komuniści i wielu takich, którzy zwykli szczyć się, że są zawsze o wszystkim doskonale poinformowani. Tylko jedna osoba, z setki zapytywanych, oświadczyła, że czytała fragment referatu Chruszczowa, nie pokusiła się jednak nigdy o przeczytanie całości.

W tej książce niemal na każdej stronie powołuję się na ów tajny referat Chruszczowa jako na podstawę mojej analizy, jako na czynnik, który, jak żaden inny, zadecydował o akcji i decyzji jaką przedsięwziąłem. Chętnie przyznaję, że wiele faktów wymienionych w tajnym referacie antykomuniści ujawnili na przestrzeni ubiegłych dwudziestu lat. Twierdzą natomiast — co każdy obiektywny obserwator musi przyznać — że istnieje wielka różnica między oskarżeniem o zbrodnie a udowodnieniem zbrodni. Ponieważ należałem do tych, którzy gorąco wierzyli w sowiecką sprawiedliwość — wystarczało mi zawsze zaprzeczenie sowieckie, by odrzucić z punktu wszystkie poszlaki i dowody pośrednie. Dowody uznałem za wystarczające, gdy ów olbrzymi materiał „oszczerstw” znalazł się w całości w referacie przywódcy partii komunistycznej Związku Sowieckiego.

Lecz ten sam dowód prawdy nie istnieje dla tych, którzy nie przeczytali i nie przestudiowali tajnego referatu Chruszczowa. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ów dokument w licznych odpisach krążył na Węgrzech przed wybuchem rewolucji i jestem pewien, że odegrał tam rolę katalizatora nastrojów rewolucyjnych.

Tę samą rolę katalizatora spełnił ów dokument w partii komunistycznej Stanów Zjednoczonych. O pewnych fermentach i reakcjach związanych z tymi rewelacjami już wspomniałem. W gruncie rzeczy jednak tajny raport Chruszczowa nie był jedyną zagadką, która nas czekała. Przy innej okazji omawiam komunistyczne pismo wydawane w żargonie pod nazwą „Volksstimme”, które odkryło makabryczną puszkę Pandory sowieckiego antysemityzmu. Gdy dostaliśmy do rąk niewiarygodną wprost listę wielkich żydowskich pisarzy, pomordowanych przez sowiecką tajną policję, my, którzy dotąd wierzyliśmy Rosji, zdobyliśmy klucz do rozwiązania trudnej do uwierzenia zagadki, zaprezentowanej nam przez tow. Chruszczowa.

Niedługo po rewelacjach „Volksstimme” — gdzieś w lipcu 1956 roku — zjawił się u mnie pewien członek amerykańskiej partii komunistycznej z propozycją byśmy wspólnie zredagowali list otwarty, zaadresowany do prezydium Sowieckiej Partii Komunistycznej, domagający się wyjaśnienia antysemickich mordów dokonanych w Związku Sowieckim. (Do chwili gdy książkę niniejszą oddawałem do druku — żadnych wyjaśnień w tej sprawie nie udzielono).

Zredagowałem ów list otwarty, który miał być podpisany przez wybitnych amerykańskich komunistów i przedstawiony na specjalnym zebraniu zwołanym w tym celu. Z kierownictwa Partii wziął udział w zebraniu jedynie John Gates. Przybył również wybitny historyk żydowski, Morris Schappes. W czasie dyskusji jaka się wywiązała Schappes poinformował zebranych o serii artykułów w „Manchester Guardian” pióra brytyjskiego dziennikarza, który opisywał w swych korespondencjach proces przeciwko dwudziestu Żydom w Moskwie. Żydzi ci oskarżeni zostali o posiadanie „sjonistycznej literatury” i za tę szatańską zbrodnię skazani zostali na od trzech do dziesięciu lat więzienia.

W miarę jak Schappes mówił twarz Gatesa, który sam niedawno wyszedł z więzienia, nabierała wyrazu rosnącego oburzenia. Wreszcie wybuchnął:

— Na podstawie jakiej ustawy skazano tych Żydów?

Schappes wymienił odnośny artykuł sowieckiego kodeksu karnego i dodał: „artykuł, mój drogi Johnie, dziesięć razy gorszy od amerykańskiej ustawy Smitha”.

Fakt, że ani Gates, ani ja, ani nikt z obecnych na sali tego wieczoru nie wiedział nic o istnieniu prawa, na mocy którego obywatela sowieckiego można skazać na dziesięć lat więzienia za posiadanie egzemplarza „New York Times'a” lub podobnej „literatury” — źle świadczył o stopniu naszej znajomości przedmiotu. Lecz tym bardziej doceniliśmy wagę informacji Schapesa. Podstawa naszej wiary zachwiała się. Spojrzeliśmy nagle inaczej na procedurę i organizację partyjną. Nasz pogląd na całą sprawę uległ zmianie. A chociaż obecni na zebraniu nie mieli dość odwagi by zaangażować się w sprawie wzmiankowanego listu otwartego — niemniej przecież w czasie tego wieczoru dali wielokrotnie upust swemu oburzeniu.

Osobiście stanowczo odrzucam wykrętne wyjaśnienie, że taktyka zastosowana w tajnym referacie podyktowana została koniecznością rewolucyjną. Każdy kto studiował rosyjską rewolucję wie, że w pierwszych latach była ona potężną siłą wyzwolenczą. Represje i terror — cytowane w tajnym referacie — datują się dopiero od roku 1930. Dziś, po raz pierwszy od chwili gdy Stalin i stalińscy doszli do władzy, można, z materiałów sowieckich i innych, odtworzyć całość obrazu. Materiał dowodowy jest olbrzymi, zbyt obszerny bym mógł pokusić się o skatalogowanie go czy choćby sumaryczne wyliczenie. Lecz nawet referat Chruszczowa, który stanowi zaledwie słowo wstępne do powyższego olbrzymiego materiału dowodowego, jest przekonywający i wart trudu przestudiowania.

Doradzam każdemu by zapoznał się z tymi materiałami, nie w tym celu by nadal zozydzać system sowiecki, lecz by umożliwić światu uczynienie kroku naprzód ku pokojowi i społecznej sprawiedliwości. Dopóki bowiem socjalizm sowiecki, w tej postaci jaką nadaje mu partia komunistyczna, będzie mógł prezentować się uciskanym jako jedyna siła postępu — nasz glob nie zazna ani pokoju ani wolności. Fakt że ludy kolonialne, walczące o wolność, są popierane przez komunistów i skłaniają się ku komunizmowi — nie dowodzi niczego. Jest to tylko dowód, że w obecnej politycznej walce o świat Rosja wykazuje znacznie więcej sprytu niż my.

Chciałbym obecnie powiedzieć kilka słów o moim znajomym, który odwiedził Rosję sowiecką mniej więcej rok temu. Był on w Rosji jako reprezentant żydowskiej

komisji amerykańskiej partii komunistycznej. Wyjeżdżając był lojalnym komunistą i po powrocie pozostał nim nadal co, muszę przyznać, nie mieści mi się w głowie. Po powrocie z Rosji odwiedził mnie w moim biurze i przez dwie godziny słuchałem jego relacji. Do tego typu rozmowy między mną a nim, zaufanym amerykańskim komunistą, nie mogłoby dojść jeszcze rok temu. Dopiero referat Chruszczowa sprawił, że taka rozmowa stała się możliwa. Rewelacje zawarte w referacie kazały nam uwierzyć w rzeczy niewiarygodne i dzięki temuż referatowi mogłem również uznać za wiarygodne to, co mój rozmówca mi zakomunikował. Pod koniec naszej rozmowy mój znajomy, powołując się na pewnego Polaka zajmującego w hierarchii partyjnej i rządowej wysoką pozycję, oświadczył:

— Pan musi zrozumieć, że w tym wypadku nie chodzi o drobny odosobniony fakt, lecz o zagadnienie wręcz zasadnicze. Ów Polak powiedział mi z pełną odpowiedzialnością, że w okresie owego morderczego terroru około 15 milionów ludzi znalazło się w więzieniach i obozach koncentracyjnych, z czego pięć milionów poniosło śmierć. Odpowiedziałem wówczas, że nie jestem w stanie w to uwierzyć. Na to on odparł z wielkim smutkiem i z rezygnacją: „ja również nie chciałem w to uwierzyć i nie mogę w to uwierzyć. Niemniej wiem, że to jest prawda”.

Jeżeli komuniści zechcieliby poddać w wątpliwość autentyczność przytoczonej powyżej relacji, nie byłoby dla nich rzeczą trudną zidentyfikować mojego rozmówcę. Proponuję by sprawdzili u źródła czy wiernie przedstawiłem powyższą rozmowę. Mój znajomy z pewnością dobrze pamięta tę rozmowę, choć nigdy publicznie nie poruszał tego typu tematów.

Więc jak zapomnieć o tym wszystkim — robić swoje i... „business as usual?” Milczeć i czekać aż ludzie zapomną o tym haniebnym referacie? Lecz czy milcząc można pozostać uczciwym człowiekiem?

Przez długie lata imię Trockiego było wyklęte i żadnemu komuniście nie było wolno czytać jego dzieł, tym mniej zacytować jakiś fragment. Lecz przed kilku tygodniami, nim jeszcze rozpocząłem pisać tę książkę, zdjąłem z półki „Rewolucję zdradzoną” Lwa Trockiego. Od dwudziestu lat nie miałem tej książki w rękach, lecz uderzyła mnie niesłychana aktualność uwag Trockiego, tak, jakby

jego słowa były dziś napisanym komentarzem do referatu Chruszczowa. A przecież „Rewolucja zdradzona” ukazała się w roku 1937.

Nie wiele dbam w tym momencie o denuncjacje komunistów, lecz, jeżeli chcą mnie atakować, niech sobie wpieryw zasłużą na to prawo. Proponuję im, by ponownie przeczytali w całości i dokładnie tajny referat Chruszczowa a następnie porównali jego treść z „Rewolucją zdradzoną” Trockiego. I niech wówczas próbują mi zaprzeczyć. Ci, którzy nie zapoznali się z materiałem dowodowym, pozostaną głusi i ślepi.

12.

W tym co do tej pory napisałem, poruszyłem tylko kilka punktów bardzo złożonej zagadki. Poruszone punkty budzą więcej pytań niż dostarczają odpowiedzi. Starając się uprościć skomplikowany i zadziwiający proces dokonałem kilku arbitralnych rozgraniczeń. Pisarz, będąc zawsze ograniczony objętością swej pracy, zmuszony jest do pewnych uproszczeń, jeśli nie chce być chaotyczny.

Jeżeli z tego co do tej pory napisałem czytelnik wynioskował, że partia komunistyczna składa się z przywódców, którzy są łotrami i z masy szeregowych członków, którzy są niemal świętymi — to jest to mój błąd i wina. W rzeczywistości tak nie jest. Trafiają się dobrzy, szlachetni i uczciwi ludzie wśród przywódców Partii, a wśród szarej masy członków nie brak fanatyków, bigotów, pomyślników czy zgoła głupców.

Usiłowałem wykazać, że organizacyjno-strukturalny dynamizm partii oscyluje między dwoma biegunami — z jednej strony w kierunku żadnego władzy, dyktatorskiego, antyhumanistycznego przywództwa — z drugiej strony w kierunku poddanej, zawiedzionej masy członków. Oba powyższe kierunki i tendencje wypływają z budowy, praktyki i teorii owej symbolicznej magii, którą jest de facto partia komunistyczna. A ponieważ owe tendencje występują w środowisku organizacyjnym złożonym z ludzi

— istnieje wiele wyjątków od powyższego schematu. Oto jest problem, który chciałbym przeanalizować szczegółowo.

Doprawdy nie wiem czy nie będąc przez dłuższy czas członkiem partii komunistycznej można, mimo to, dojść do realnego zrozumienia jej istoty. Na pewno jednak jest rzeczą możliwą i osiągalną wyrobić sobie o komunizmie osąd bliższy prawdy niż ten, który znamy z legend tak lewicy jak i prawicy.

Głównym zagadnieniem tej książki jest przedstawić konsekwencje sojuszu pomiędzy pisarzem a komisarzem. Cała historia partii komunistycznej jest przetkana tragedią pisarzy — ich wiarą, miłością, nienawiścią, buntem i męką. I wskutek tego, to co wie szeroka publiczność o komunizmie, stanowi w dużej mierze refleks owego stosunku pisarza do Partii. Lecz choć istotnie tak jest, nie wyczerpuje to całej sprawy. W mojej opinii los pisarza w orbicie Partii jest nie do odcyfrowania dla tych, którzy nie rozumieją struktury i istoty samej partii komunistycznej.

Struktura organizacyjna partii komunistycznej jest monolityczna, ześrodkowana na jedności celu i przywództwa. Wskutek tego jest zrozumiałe, że za główne grzechy uważa się faksjonalizm i tendencje anty-autorytatywne. Nawet wówczas, gdy Partia rozdarła jest wewnętrznie, na zewnątrz prezentuje się zawsze jako monolit i zaprzecza istnieniu jakichkolwiek faksji. W czasie całego okresu istnienia tak zwanej faksji Gatesa — mimo, że „Gates Faction” stanowiła termin obiegowy, powtarzany przez prasę — przywództwo Partii nie przyznało się nigdy do rozłamu, mimo, że w rzeczywistości istniały faksja Gatesa i faksja Fostera.

Ponieważ faksja Gatesa w założeniu swym wykazywała sprzeczność z istotą i formą klasycznego komunizmu, likwidacja tej grupy były nieunikniona. Zwolennicy Johna Gatesa stanowili zespół o szerokim wachlarzu zainteresowań i poglądów. Zasadniczo grupa Gatesa wywodziła się z buntowników w sztabie redakcyjnym „Daily Worker’a”. W okresie owych kilku tygodni między zajęciem przez władze lokalu „Daily Worker’a” a ukazaniem się wiadomości o tajnym referacie Chruszczowa faksja Gatesa — wydawało się — wzrastała. Według mojego przekonania grupa ta jednak nigdy nie reprezentowała większości członków Partii, a początkowy swój sukces zawdzięczała wy-

łącznie pozycji moralnej, która stanowiła żywy kontrast z całkowitym bankructwem i upadkiem przeciwników Gatesa. Wielu z nas wierzyło wówczas, że jeżeli podejmiemy szybką i zdecydowaną akcję to powiedzie się nam zdobyć kontrolę nad całą Partią, co z kolei umożliwiłoby nam oddanie przywództwa Partii szlachetnym, humanistycznie myślącym działaczom. Wówczas byłoby możliwe utworzyć demokratyczny ruch socjalistyczny, a być może nawet wykrzesać iskrę, która zrewolucjonizowałaby cały światowy komunizm.

Prawdą jest niewątpliwie, że partia komunistyczna Stanów Zjednoczonych była nieliczna. Lecz była to partia komunistyczna najpotężniejszego narodu świata i wskutek tego jej znaczenie było nieproporcjonalnie większe niż jej siła mierzona cyfrą członków.

Gdyby nasze ówczesne marzenie spełniło się — konsekwencje mogłyby być bardzo interesujące. Lecz dziś, patrząc na te wypadki już z pewnej perspektywy, jest dla mnie oczywiste, że nie mogło się tak stać. W grupie Gatesa jedni pragnęli zreformowania Partii — inni zmiany kierownictwa — jeszcze inni skasowania „demokratycznego centralizmu”. Byli i tacy, którzy chcieli zarówno zmiany nazwy jak i zmiany całej struktury Partii. Niezależnie od owych reformistów poważna ilość członków sądziła, że jedynym logicznym wyjściem z sytuacji byłoby rozwiązanie Partii z równoczesnym podaniem do publicznej wiadomości motywów takiej decyzji. Należałoby uszeregować przyczyny, które ugruntowały wśród członków pogląd, iż Partia nie spełniła zadania i nie powinna istnieć nadal w naszym kraju jako organizacja zmierzająca do ustalenia ustroju socjalistycznego. Ja sam należałem do tych ostatnich. Jestem przekonany, że najważniejszą przyczyną klęski grupy Gatesa był fakt, iż w gruncie rzeczy jej program streszczał się logicznie w żądaniu likwidacji Partii.

Podawano szereg innych przyczyn klęski grupy Gatesa. Mówiło się ze zgrozą i z oburzeniem o brudnych metodach, stosowanych przez doświadczonego rozbijaczy Fostera, którzy przyłożyli do tego rękę. Inni powoływali się na fakt, że setki najzdolniejszych i najbardziej niezależnie myślących członków grupy Gatesa wystąpiło w ogóle z Partii nim jeszcze fakcja Gatesa została pobita i zmuszona do milczenia na Kongresie Partyjnym. Dopóki fakcja

Fostera stała na stanowisku konieczności zachowania zasadniczego charakteru i struktury Partii — buntownicy skazani byli na zagładę.

Nie tylko my, którzy braliśmy udział w cytowanym zebraniu w redakcji „Daily Worker’a” zdawaliśmy sobie sprawę z brutalnego poniewierania organizacji przez jej własnych przywódców. Wielu innych członków Partii zdawało sobie z tego sprawę na równi z nami. W kilka tygodni po ogłoszeniu tekstu referatu Chruszczowa odwiedził mnie w Nowym Jorku mój dawny przyjaciel z Detroit. Znałem go dobrze od wielu lat i uważam, że jest to świetny typ amerykańskiego robotnika. Wysoki, potężnie zbudowany Irlandczyk, urodzony w Detroit. Brał czynny udział we wszystkich akcjach robotniczych, uwiecznionych zorganizowaniem wielkiego związku zawodowego robotników samochodowych. W ostatnich kilku latach był prześladowany jako lewicowiec i znalazł się na czarnej liście we wszystkich fabrykach okręgu detroitckiego.

W czasie rozmowy mój przyjaciel powiedział mi między innymi:

— Nie jest istotne co będzie ze mną, nie jest istotne, że mnie przeklinali i prześladowali. Tak czy inaczej wiedzieli, że jestem nie do kupienia i to tylko było ważne. Nienawidzili mnie lecz równocześnie szanowali, bo za mną stały godność i honor. Lecz teraz nie mogę już powoływać się na honor i godność. Powiedz mi co mam począć?

W rezultacie mój przyjaciel pozostał w Partii, mimo że zdawał sobie sprawę, równie dobrze jak i ja, ze zbrodni dokonanych przez komunizm. Pozostał, ponieważ jemu jako robotnikowi Partia dawała jedyną nadzieję i oparcie jakiego kiedykolwiek w życiu doświadczył. Niech sobie amerykańska burżuazja żywi nadal swoje iluzje, że robotnik jest takim samym burżuazyjnym mieszczańcem jak oni, tylko nieco mniej zamożnym. W rzeczywistości wygląda to całkiem inaczej. Robotnik może mieć lodówkę, maszynę do prania i samochód, lecz wszystko to zależy od spłat ratalnych. By na raty zarobić robotnik pracować musi sam jak maszyna. Wnętrze stalowni nie przypomina w niczym komfortowego, elektrycznie aklimatyzowanego wnętrza biura, a wygodny fotel, na którym siedzę pisząc tę książkę, nie wiele ma wspólnego z taśmą produkcyjną. Robotnik pracuje jak automat, co obniża jego po-

ziom duchowy i w końcu łamie go fizycznie. Tak jest zarówno w Rosji jak i tu, w Ameryce.

Większość robotników amerykańskich ignorowała partię komunistyczną. Niemniej, tym nielicznym, którzy wstąpili, partia komunistyczna pozwalała marzyć i żywić nadzieję, że kiedyś nadejdzie czas, iż ludzie pracujący fizycznie otrzymają przynajmniej takie wynagrodzenie jakie dziś ofiarowuje się, jakże wielu, którzy w ogóle nie pracują w realnym tego słowa znaczeniu.

Dla intelektualistów istniały inne możliwości, inne zainteresowania i inne organizacje. Lecz sytuacja robotnika członka Partii jest różna. Któż inny oferuje mu nadzieje równości — nie niebieskie migdały — lecz realny konkretny program, związany z jego życiem i pracą? Jak długo Partia istnieje robotnik może mieć nadzieje, że Partia zmieni się i ulepszy. Lecz gdy Partia miałaby ulec likwidacji co miałyby ją zastąpić?

Tak rozumował mój przyjaciel robotnik. I poglądy tego rodzaju również przyczyniły się do klęski grupy Gatesa.

W pewnych wypadkach wolno sądzić, że im ktoś bliżej i intymniej był związany z bieżącym organizacyjnym życiem Partii, tym lepiej mógł pojąć i głębiej wniknąć w straszliwą logikę „tajnego” referatu Chruszczowa na tle własnych przeżyć i doświadczeń. Również często ci, którzy ponieśli dla Partii największe ofiary zdawali sobie lepiej od innych sprawę z istoty jej aparatu organizacyjnego. Osobiście znałem około dwudziestu płatnych funkcjonariuszy Partii, którzy poświęcili sprawie komunizmu całe swoje życie. Ludzie ci pełni rozgoryczenia wystąpili z Partii. Byli zbyt wewnątrznie złamani, zbyt wiele widzieli i wiedzieli by móc jeszcze kiedykolwiek uwierzyć w partię komunistyczną.

Z drugiej jednak strony pamiętam dobrze reakcję pewnej kulturalnej i wykształconej pani, którą ja i moja żona znamy niemal od dwudziestu lat. Owa pani — kobieta o wybitnej inteligencji, talencie i pozycji społecznej, żona naukowca o światowej reputacji, zatelefonowała do mnie następnego dnia po ukazaniu się w prasie „tajnego” referatu Chruszczowa. Oświadczyła mi wówczas, że ma nadzieję iż nie traciłem mojego cennego czasu na czytanie tego elaboratu. Odpowiedziałem jej, że referat przeczytałem dwukrotnie z największą uwagą i z kolei zapytałem czy

ona go również przeczytała. W odpowiedzi usłyszałem, co następuje: „Ja nie czytuję fałszerstw, fabrykowanych przez Departament Stanu, ani kalumnii i oszczerstw pod adresem Związku Sowieckiego. Nic nie może zresztą zmienić mojego stosunku do Związku Sowieckiego i do partii komunistycznej, albowiem zbyt dobrze znam zarówno Sowiety jak i Partię”.

Pani, o której mówimy, nie była nigdy w Związku Sowieckim. Nie była również nigdy członkiem partii komunistycznej i znała ją jedynie z drugiej ręki, poprzez stosunki towarzyskie z wielu wybitnymi komunistami, których odwagę i siłę przekonań podziwiała. Nic nie mogło zachwiać jej wiary w Partię i do dziś pozostała wierna swym przekonaniom. Podobnie układał się stosunek do Partii jej męża i wielu innych intelektualistów o analogicznym nastawieniu.

Na marginesie może warto zaznaczyć, że nie wszyscy ludzie czytają daną rzecz tylko dla tego, że została napisana i opublikowana. Jeżeli dany referat obejmuje ponad 25 tysięcy słów, jeżeli tekst złożony jest małym drukiem, jeżeli angielszczyzna przekładu jest mało zachęcająca, a całość jest suchym, monotonnym rejestrem zbrodni terroru i morderstw — są niewielkie szanse, że taki elaborat będzie czytany masowo. Mimo to jednak zdumiewa mnie fakt, że spotkałem licznych komunistów, którzy referat Chruszczowa zaledwie pobieżnie przerzucili, a wielu w ogóle go nie przeczytało. Dotyczy to przede wszystkim członków grupy Fostera. Owa odmowa zapoznania się z tekstem referatu Chruszczowa bywa rozmaicie motywowana. Jedni podają w wątpliwość autentyczność tekstu, inni mówią o rzekomych zniekształceniach. Słyszcy się i inne powody, lecz wszystkie są nieprzekonywujące. Byłoby uczciwiej ze strony tych wszystkich komunistów, gdyby mieli odwagę wyznaczyć, że po prostu boją się zapoznać z tekstem referatu Chruszczowa. Są bowiem i tacy komuniści, którzy rozpoczęli tę lekturę lecz nie skończyli jej, nie znajdując w sobie siły, by spojrzeć w oczy straszliwej prawdzie.

Trzeba również podkreślić, że i pewnego typu sympatycy bezpartyjni odnieśli się z wielkim krytycyzmem do poglądów reprezentowanych przez Gatesa i jego grupę. Wśród nich było wielu niezmiernie bogatych przedstawicieli przemysłowej burżuazji. Znałem osobiście tych ludzi.

Ich stosunek do ruchu wyczerpywał się w darach pieniężnych. O te pieniądze trzeba było prosić, żebrać, upakarzać się, choć nikt przecież nie prosił o pieniądze dla siebie, lecz na sprawę, w którą wierzył i której służył. F.B.I. wyraziło publicznie opinię, że ci ludzie podjęli walkę nie tylko sercem ale i portfelem. Lecz ta opinia jest całkowicie fałszywa. Ci panowie nie brali nigdy udziału w pikietowaniu, nikt ich nigdy nie widział w starciach i w walkach z policją, nie pracowali setek godzin dla Partii bez uznania i bez wynagrodzenia. Dawali tylko pieniądze i pieniądze tych dawali diabelnie skąpo. Jednak, gdy w Partii wybuchła rewolta oni byli pierwsi, którzy wyzywali nas od renegatów, oportunistów i agentów F.B.I.

W czasie zebrania u pewnej rentierki-milionerki, która dziś nie podałaby mi ręki, uważając mnie za renegata, słyszałem jak bogaty właściciel olbrzymiego koncernu restauracyjnego, człowiek niegodny by czyścić buty Gatesowi, wykiął go od zdrajców i sprzedawczyków. Inny milioner, bankier, na tym samym zebraniu nazwał Josepha Clarka z „Daily Worker'a” „wszawym agentem F.B.I.”. Pewna z obecnych na zebraniu dam, strzepnąwszy niewidzialny pyłek ze swej etoli z nurków za pięć tysięcy dolarów, oświadczyła: „w tej sytuacji jest tylko jedna rzecz do zrobienia: musicie podjąć wojnę cywilną; robotnicy winni iść na barykady, walczyć i umierać póki krew nie będzie płynąć ulicami jak rzeka”.

Pomyślałem wówczas jakie straszliwe poczucie winy muszą mieć ci ludzie, marząc o rzekach krwi i barykadach. Nigdy w życiu nie słyszałem, by komunista mówił o rzekach robotniczej krwi. Lecz ci chorzy, zdegenerowani ludzie, którzy nie widzieli nigdy innej śmierci jak malowane zwłoki w salonach zakładów pogrzebowych, innego aktu gwałtu jak katastrofę samochodową, ci ludzie dosłownie lubieżnie marzą o sądnym dniu apokalipsy. Żona bogatego przemysłowca, obecna na cytowanym zebraniu, obwieszona klejnotami przenoszącymi wartość dziesięciu tysięcy dolarów, w pewnej chwili zwróciła się do mnie z pasją: „więc cóż jeżeli zginęło 25 tysięcy ludzi na Węgrzech? Za te rzeczy musi się płacić krwią”.

— Za jakie rzeczy? — zapytałem. — Za zgniecenie wolności Węgier w święte imię Partii bolszewickiej? Czy należy ginać, by przypodobać się atomowym mania-

kom gotowym poświęcić krew i życie połowy narodu na ołtarzu swego szaleństwa?

— Tchórze! — krzyknęła z furią moja dystygowana rozmówczyni. — Pan, Gates, Max, wszyscy jesteście bandą tchórzów!

Wahałbym się opisać powyższą scenę w powieści, ponieważ nie ma dla niej rzeczowego usprawiedliwienia z wyjątkiem faktu, że jest autentyczna.

To była garstka ludzi zebrana w jednym pokoju, lecz w całej Ameryce zwariowani rewolucjoniści, salonowi komuniści, barowi stratedzy, wystrojone w nurki aliantki klasy robotniczej — oplakiwały zdradę świętej sprawy komunizmu, zdradę popełnioną przez takich jak ja.

Jeden z tych panów powiedział mi wówczas: „Fast, pan przekroczył już punkt, z którego powrót byłby jeszcze możliwy”.

Lecz w sumie, wiem przynajmniej dlaczego wystąpiłem z Partii. Za wiedzę i doświadczenie trzeba płacić. Za wszystko w życiu ustanowiona jest cena i osobiście nie skarzę się na wysokość ceny, którą przyszło mi zapłacić za moją znajomość komunizmu i partii komunistycznej.

Moja wiedza i doświadczenie nie sprowadzały się do zgorzknienia i rozczarowania. Sądzę natomiast, że pewne istotne rzeczy pojąłem i zrozumiałem. Być może, że się mylę. Niemniej przecież sądzę, że moje wnioski warte są wysłuchania, gdyż są owocem długich rozmyślań i realnych doświadczeń.

13.

Bardzo wielu Amerykanów przywykło uważać partię komunistyczną, Związek Sowiecki i socjalizm za określenia synonimiczne. Ci sami ludzie przyjmują ze zdziwieniem stwierdzenie, że nawet w Związku Sowieckim — gdzie przynależność do Partii niesie z sobą różne korzyści i przywileje — istnieje tylko około osiem i pół miliona komunistów. Nawet wielu starych członków Partii identyfikuje komunizm z socjalizmem argumentując, że socjalizm w ode-

rwaniu od partii komunistycznej jest chimerą. Inni idą jeszcze dalej i twierdzą, że nie ma innego socjalizmu poza socjalizmem sowieckim.

W niniejszej pracy nie jest moim zadaniem analizowanie zagadnienia socjalizmu ani w jego aspekcie praktycznym, ani teoretycznym. Niemniej uważam za konieczne stwierdzić, że choć jestem głęboko przekonany, że wszystkie narody świata znajdują swoje własne drogi do socjalizmu — socjalizm przyszłości w żadnym wypadku nie będzie socjalizmem sowieckim, ani nie będzie do niego w niczym podobny.

Tematem naszych rozważań jest partia komunistyczna nie socjalizm. Partii komunistycznej w żadnym wypadku nie można identyfikować z socjalizmem. Teorie socjalistyczne biorą swe źródło z marzeń i nadziei stuleci, marzeń i nadziei, które w epoce nowoczesnej podparto fundamentem naukowej analizy. Marks i Engels ujęli socjalizm w zwarły system historycznego materializmu.

Natomiast partia komunistyczna, w tej postaci w jakiej ją dziś znamy, została uformowana przez Lenina i innych przywódców rosyjskiej rewolucji w oparciu o czysto rosyjskie doświadczenia. Zarówno te doświadczenia jak i rosyjski ruch rewolucyjny były konsekwencją wydarzeń i procesów społecznych końca dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku. Wiele książek i miliony słów napisano na temat walk w ramach rosyjskiego ruchu socjalistycznego — walk, które skończyły się zwycięstwem bolszewików. I choć dokumenty dotyczące tego okresu historii Rosji są bardzo interesujące i wielkiej wagi — rozmiary niniejszej pracy nie pozwalają mi zatrzymać się dłużej nad tym tematem, ani przytoczyć serii cytatów z bogatej dokumentacji tej epoki.

W rzeczywistości, jeżeli ktoś nie dysponuje odpowiednią ilością czasu, energii i koniecznym przygotowaniem, sumaryczne przedstawienie tego okresu musiałoby z konieczności wypaść chaotycznie.

Wybór owych wczesnych dokumentów rewolucyjnych — w tym pewna ilość dzieł Lenina — traktowany jest przez całą generację instruktorów i nauczycieli komunistycznych ideologii jako mistyczno-teologiczny zbiór dogmatów. W ten sposób — poprzez zrównanie dwóch różnych historycznych okresów które dzieli pół stulecia, i dwóch

różnych niezwiązanych z sobą sytuacji społecznych — komuniści posługują się owym kodeksem dogmatów nie tylko dlatego, by odwrócić uwagę społeczeństwa od obecnej sytuacji, lecz również by udowodnić, że wszystko czego dokonano zgodne jest z „pismem świętym”.

W owych „pismach”, jak w czarodziejskim lusterku, można wprawdzie zobaczyć z czego i jak powstała partia komunistyczna, nie można natomiast zobaczyć czym Partia jest dzisiaj i do czego zmierza. I dlatego chciałbym tu powiedzieć parę słów o samej Partii, tak jak ją zdołałem poznać w okresie długich i szczegółowych obserwacji.

W tej dziwnej i dziwacznie napisanej książce, noszącej tytuł „Historia Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego”, która odegrała rolę katechizmu dla całej generacji komunistów w pięciu częściach świata — znajdujemy niezmiernie mało jasnych wskazówek i informacji dotyczących utworzenia partii komunistycznej Związku Sowieckiego. Partia komunistyczna, stanowiąca przedmiot owej „historii”, jawi się przed czytelnikiem jako nowy bożek. Mówi się o atrybutach tego bożka, ale on sam i jego postać pozostają tajemnicą. W całej książce nie ma jednego jasnego opisu jak funkcjonuje aparat partyjny mimo, że setki razy powtarza się znamienne określenie „nowy typ Partii”. Niestety w Historii nie ma żadnych informacji, które prosto i jasno uzmysłowiłyby czytelnikowi na czym polega różnica między owym „nowym typem” Partii w porównaniu z dawnymi typami Partii. Z jednej strony autorzy zasypują czytelnika dziwnymi i często niezrozumiałymi opisami w jaki sposób bolszewicy zdołali zwycięsko obronić teoretyczną czystość ideologii przed kontrrewolucyjnymi zakusami trockistów, Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, Rykowa i innych; z drugiej zaś strony czytelnik nigdy właściwie dokładnie nie wie co wówczas stanowiło przedmiot sporu? Wiadomo jaka była opinia w danej sprawie samych bolszewików lecz w „Historii” nie ma słowa informacji jak bolszewicy do danego stanowiska doszli i jakie było stanowisko zwalczanych mniejszości.

W sumie trzeba powiedzieć, że jest to dziwaczna książka, pisana bardzo swoistym językiem, pełna jadu i rynsztokowych określeń — złożona przeważnie z prostych deklaratywnych stwierdzeń. Niemniej jest to jeden z najważniejszych tekstów partii komunistycznej.

Początkowo pouczano nas w Partii, że książka o której mówimy jest dziełem autorskiego kolektywu i opracowana została przez czołowych marksistowskich myślicieli Związku Sowieckiego. Ów kolektywny charakter autorstwa miał również usprawiedliwić rzucający się w oczy brak wszelkiej stylistycznej i literackiej wartości. Mówiono nam, że dzieło to cenić należy za jego głębię i mądrość a nie za styl, retorykę czy gramatykę.

Poinformowano nas również, że czwarty rozdział — będący wulgarnie uproszczonym wykładem historycznego materializmu — godny jest szczególniejszej uwagi, ponieważ wyszedł spod pióra samego mistrza, to jest Stalina.

Oczywiście byliśmy zdziwieni, gdy począwszy od roku 1946, wszystkie wzmianki czy odnośniki w sowieckich publikacjach, dotyczące tej książki nieodmiennie powołują się na Stalina jako jedynego jej autora. Byliśmy tym bardziej zdziwieni, ponieważ „Historia” ta, od pierwszej do ostatniej strony, jest jednym peanem na cześć Stalina. W Partii wyjaśniono nam wówczas, że Stalin nie napisał całości, ale był inspiratorem tego dzieła — natomiast wzmianki i odnośniki w publikacjach sowieckich, powołujące się na Stalina jako jedynego autora, traktować trzeba jako wyrazy hołdu czynione wbrew woli mistrza. Gdy jednak zaczęto cytować Stalina jako jedynego autora Historii Partii nie tylko we wzmiankach i odnośnikach, lecz w oficjalnych sowieckich oświadczeniach — kierownicy naszej Partii oświadczyli pośpiesznie, że ważna jest sama książka, a nie to kto ją napisał.

Wyjaśnienie tej interesującej zagadki znajdujemy w „tajnym” referacie. Oto co Chruszczow ma do powiedzenia na ten temat:

„Jak powszechnie wiadomo „Krótki Kurs Historii Ogólno-Związkowej Partii Komunistycznej (Bolszewicy)” został napisany przez Komisję Centralnego Komitetu Partii.

Mówiąc nawiasem, książka ta również prześlągnięta jest „kultem jednostki” i napisana została przez grupę autorów specjalnie do tego zadania wybranych. Fakty powyższe znajdują pełne odzwierciedlenie w następującej notce, która figurowała na egzemplarzu korektorskim „Krótkiej Biografii Stalina”:

„Komisja Centralnego Komitetu Ogólno-Związkowej Partii Komunistycznej (Bolszewicy) pod kierownictwem tow. Stalina i przy jego jak najbardziej czynnym osobistym współdziałaniu opracowała „Krótki Kurs Historii Ogólno-Związkowej Partii Komunistycznej (Bolszewicy)”.

Lecz to wszystko nie zadowoliło Stalina.

W ostatecznej edycji, cytowana powyżej nota w „Krótkiej Biografii” zastąpiona została następującym zdaniem: „W roku 1938 ukazała się książka pt. „Historia Ogólno-Związkowej Partii Komunistycznej (Bolszewicy)” napisana przez tow. Stalina i zaaprobowana przez Komisję Centralnego Komitetu Ogólno-Związkowej Partii Komunistycznej (Bolszewicy)”.

Czy można coś dodać więcej? (*Poruszenie na sali*).

Jak widzicie, towarzysze, drogą zadziwiającej metamorfozy dzieło napisane zbiorowo przez grupę autorów, przemieniło się w książkę napisaną przez Stalina. Nie ma chyba potrzeby wyjaśniać motywów tej metamorfozy”.

Przytoczyłem ten fragment, ponieważ jest to „Historia” Partii — historia, która rodowód Partii wywodzi wprost z geniuszu Lenina. Dziś jest stale w użyciu stereotypowe określenie „Partia leninowska”. Jest to określenie bardzo wygodne, gdyż dawało Stalinowi i przywódcom wokół niego zgrupowanym możliwość powoływania się na autorytet najwyższego kapłana. Jednakże, choć w Historii Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego mówi się wiele o fundamentalnej i zasadniczej roli dzieł Lenina w formowaniu „nowego typu Partii” — jedyne zdefiniowanie „nowej Partii” pochodzi nie od Lenina, lecz od Stalina (jeżeli przyjmiemy, że on był autorem „Historii Partii”).

Poniżej zamieszczam odnośny fragment z amerykańskiego wydania „Historii Partii”:

„Po wykluczeniu Mienszewików i ukonstytuowaniu się Bolszewików w niezależną Partię — partia bolszewicka stała się silniejsza i bardziej zwarta. Partia wzmocniła się oczyszczając swoje szeregi z elementów oportunistycznych (podkreślenie w ory-

ginalne) zgodnie z zasadą Partii bolszewickiej, która jest Partią nowego typu, fundamentalnie różną od socjaldemokratycznych partii Drugiej Międzynarodówki. Mimo, że partie wchodzące w skład Drugiej Międzynarodówki określają się jako partie marksistowskie — w rzeczywistości tolerują w swych szeregach wrogów marksizmu i oportunistów i pozwalają tym elementom rujnować i bezprawić Drugą Międzynarodówkę. Natomiast bolszewicy podjęli nieubłaganą walkę przeciw oportunistom — oczyścili Partię proletariatu z brudu moralnego i oportunizmu i zdołali na tej drodze stworzyć partię nowego typu. Partię leninowską — Partię, która później ustanowiła dyktaturę proletariatu”.

Powyższy ustęp, a nie słowa Lenina, określają partię komunistyczną w „Historii”. Sądzę, że ów „Krótki Kurs Historii Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego”, napisany przez Stalina (czy przez kogokolwiek innego), zredagowano ostatecznie w roku 1938. Wydanie amerykańskie ukazało się w roku 1939, nakładem firmy International Publishers.

Ukazanie się w Sowietach „Krótkiego Kursu” poprzedzone zostało serią czystek, co określono w omawianym dziele jako „likwidację pozostałych elementów z bandy szpiegów i zdrajców Bucharina i Trockiego”. Ludzie, którzy pisali ów „Krótki Kurs” mieli jeszcze na rękach nieobeschłą krew tysięcy pomordowanych ofiar. I tak oto choć „Historia” nie zawiera definicji Partii w słowach Lenina, ani nie wyjaśnia czym, zgodnie z intencjami Lenina, Partia być winna — to daje przecież definicję opartą na faktach, czym Partia stała się w rękach Stalina i grupy jego oprawców.

Jest zgodne z prawdą, że Lenin rozważając nowy typ rewolucyjnej partii w Rosji wnioskował, że taka organizacja winna rekrutować się głównie z zawodowych rewolucjonistów (podkreślenie moje), lecz nie ma żadnego dowodu na poparcie tezy, iż Lenin pragnął uczynić z Partii bezwolne narzędzie w rękach zawodowców. Można również uznać za pewne, że Lenin nie pragnął ani nawet nie przypuszczał, iż owi zawodowcy przekształcą się w autonomiczną kastę hierarchicznej biurokracji.

Pewni komuniści — niektórzy z nich mający za sobą dłuższy pobyt w Rosji — zapewniali mnie, że Lenin w ostatnim okresie swojego życia był przerażony sytuacją w Partii i patrzył z obawą w jej przyszłość. Lecz te informacje nie wybiegają poza wartość indywidualnych, niesprawdzonych opinii czy pogłosek. Jeżeli Lenin napisał w tym duchu cokolwiek przed śmiercią — rękopis z całą pewnością został zniszczony. Oficjalne czynniki sowieckie milczą na ten temat i nie należy spodziewać się, by w najbliższej przyszłości ogłoszono jakieś bliższe szczegóły.

Teraz chciałbym podjąć próbę odmalowania organizacyjnej struktury i działalności partii komunistycznej w Stanach Zjednoczonych.

Najwłaściwszą metodą będzie w tym wypadku rozpoczęcie badania od podstawy, gdyż partia komunistyczna jest organizacją monolityczną o kształcie piramidy. W ramach tej struktury zachodzą pewne odchylenia i różnice, lecz niezależnie od różnic jakie obserwujemy w takim czy innym kraju, lub w takim czy innym okresie historycznym — schemat operacyjny organizacji pozostaje zawsze ten sam. Poniżej przedstawiam opis partii komunistycznej Stanów Zjednoczonych w pierwszej dekadzie po drugiej wojnie światowej, lecz jestem pewien, że schemat ten nie różni się zasadniczo od analogicznych schematów organizacyjnych innych partii komunistycznych.

Bazą-fundamentem Partii, na którym wznosi się cała jej struktura, są oddziały lokalne. Istnieje zwyczaj wśród zawodowych anty-komunistów określać owe oddziały mianem „komórek”, lecz termin ten nic nie mówi. W Ameryce winno się właściwie mówić nie o oddziałach, lecz o klubach, ponieważ ten ostatni termin odpowiada dokładnie stanowi faktycznemu. Oddziały te są bowiem odpowiednikiem amerykańskich klubów politycznych. Kluby mogą mieć bardzo różną ilość członków — od pięciu do stu kilkudziesięciu. To są zespoły szeregowych członków Partii, a równocześnie instrument jej masowego oddziaływania. Czołowi przywódcy partyjni niezmiernie rzadko, a praktycznie biorąc nigdy, nie zakłócają atmosfery klubów lokalnych. Niemal z reguły większość w lokalnych klubach stanowią ludzie szlachetni, uczciwi i szczerze oddani sprawie.

Każdy klub posiada również z reguły pewien procent pomyleńców, wykolejeńców i innych nieciekawych osobników. Lecz ten stan rzeczy jest typowy dla wszystkich niemal amerykańskich organizacji.

Kluby związane są bezpośrednio z potrzebami i problemami swego najbliższego okręgu i nierzadko ich działalność jest wysoce pożyteczna i konstruktywna. Miejscowi działacze znają potrzeby ludności i walczą zazwyczaj nieznuzenie o zaspokojenie potrzeb i interesów swoich współobywateli. Działacze klubowi nie są „zawodowymi” rewolucjonistami, gdyż na tym szczeblu organizacyjnym nie bywa płatnych funkcjonariuszów Partii. Wszyscy członkowie klubów lokalnych pracują dobrowolnie i bezinteresownie w najczystszym tego słowa znaczeniu. Wielu z nich odznacza się niewyczerpaną energią i najgłębszym oddaniem sprawie, którą uważają za wzniosłą i szlachetną.

Dopóki czytelnik tego nie pojmie, wszczynanie dyskusji na temat partii komunistycznej byłoby całkowicie bezcelowe. Dlatego właśnie że tak wielu ludzi ocenia partię komunistyczną wyłącznie pod kątem widzenia zła i zbrodni — komunizm dla świata niekomunistycznego stanowi największą zagadkę naszej epoki. Miliony uczciwych ludzi nie wstępowałyby dobrowolnie do organizacji poświęconej złym i przewrotnym celom. Ludzie nie walczyliby dla takiej organizacji i nie poświęcali dla niej życia. Szeregowy członek Partii uważa się za wzorowego patriotę i w większości wypadków jego czyny usprawiedliwiają w pełni tę opinię.

Oddanie i poświęcenie umożliwiają szeregowemu członkowi Partii poddanie się żelaznej dyscyplinie, która odróżnia jego Partię od wszystkich innych partii politycznych. Dyscyplina w partii komunistycznej jest fenomenem nieznanym w dziejach. Czystość intencji dołów partyjnych umożliwia utrzymanie tej dyscypliny. Szeregowy członek Partii osądza partię komunistyczną swoimi własnymi, subiektywnymi kryteriami. Swoją własną nieprzekupność — na tle społeczeństwa w którym przekupność jest dość częsta — przypisuje partii komunistycznej jako całości. Ponieważ sam poświęca się bezinteresownie dla dobra sprawy — sądzi, że przywódcy partyjni postępują analogicznie. Ponieważ sam wykazuje w życiu inteligencję i trzeźwy osąd — skłonny jest przypuszczać, że ci co są

na szczycie partyjnej piramidy są szlachetnymi mędrkami. (Nie należy w tym kontekście podrzucać ze słowa „inteligencja”. Jeżeli ludzie akceptują pewne przesłanki „na wiarę” nie dowodzi to braku ich inteligencji, lecz braku umiejętności racjonalistycznego myślenia).

Oszczerstwa i prześladowania stosowane przez świat antykomunistyczny w porównaniu z szlachetnością intencji i uczciwością szeregowych członków Partii — wyrabiają w nich z czasem ową niebezpieczną i groźną postawę krzyżowca, który przekonany jest, że cała słuszność i racja są wyłącznie po jego stronie. W miarę potęgowania się tego poczucia — zdolność rozumowania i logicznej analizy ustępują miejsca religijnemu fanatyzmowi. Partia komunistyczna staje się wojującym kościołem. Komuniści byli niegdyś ateistami, ale obecnie przestali nimi być. Odrzucili stare bóstwa, lecz wzamian przyjęli nowy zakon i ustanowili surową dyscyplinę.

Dyscyplina w partii komunistycznej jest wprawdzie dobrowolna, lecz stoi za nią straszliwy miecz ekskomunikacji. Bez mocy religijnej klątwy wydalenia — partia komunistyczna nie byłaby dziś tym, czym jest. Do Dwudziestego Kongresu Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego — wydalenie z Partii równało się wiecznemu potępieniu. Wydalony ciałem mógł jeszcze przynależeć do żywych, lecz jego dusza była martwa na wieki. To przekonanie tak gruntownie i z taką siłą wszczepiono w ludzkie umysły, że miliony nie-komunistów uważają iż człowiek naznaczony piętnem wydalenia z partii komunistycznej jest strażnikiem, niebezpiecznym osobnikiem, który stracił prawo przynależenia do społeczności ludzi dobrej woli. Żadna z religii historycznych nie dysponowała tak potężną klątwą w stosunku do swoich wyznawców. I być może nie było dotąd wyznawców którzy by teorię piekielnego przekleństwa ekskomunikacji akceptowali tak totalnie jak komuniści.

Dla szczerego i oddanego sprawie komunisty wydalenie z Partii jest niemal równe śmierci, a czasem czymś gorszym niż śmierć. Dla wielu ludzi nie jest rzeczą możliwą pojąć i zrozumieć co w rzeczywistości oznacza wydalenie z Partii. Na przestrzeni czasokresu całej generacji miliony uczciwych Amerykanów przywykło uważać za

pewnik, że jeżeli kogoś wydalono z partii komunistycznej — to usunięty był albo konfidentem policji, albo skończonym łotrem i degeneratem. Wydalony z Partii stawał się dosłownie wyrzutkiem społeczeństwa i uważany był za wyrzutka nie tylko przez komunistów, lecz również przez niepomierne od Partii liczniejsze koła postępowo-liberalne.

Ów rytuał kłątwy był z całym rozmysłem podtrzymywany przez wszystkich komunistów w świecie, ponieważ na instytucji kłątwy opierała się cała struktura partyjnej dyscypliny. Bez tego rytuału i bez towarzyszącej mu mitologii — partia komunistyczna nie mogłaby być tym czym jest. Wydalony komunista jest trędowaty — wyklęty w dosłownie średniowiecznym tego słowa znaczeniu. Zbędne jest chyba wyjaśnienie, że bardzo wielu wydalonych nie popełniło żadnej zbrodni, a jedyną ich winą było niezależne myślenie.

Uważam za konieczne poświęcić nieco uwagi kwestii ekskomunikacji, ponieważ jest to niewątpliwie jeden z najbardziej tajemniczych rytów komunizmu. W tym wypadku nie chodzi mi o praktykę rosyjską, która — zgodnie ze świadectwem Chruszczowa — wydalenie z Partii łączyła często z torturami i egzekucją. Pragnę omówić natomiast praktykę ekskomunikacji stosowaną w świecie niekomunistycznym.

Nie można porównywać wydalenia z partii komunistycznej z ekskomunikacją stosowaną przez Kościół katolicki. Bo choć Kościół pozbawia grzesznika ekskomunikacją zbawienia w życiu przyszłym, nie pozbawia go możliwości współżycia z uczciwymi ludźmi na tym świecie. Natomiast ekskomunikacja Partii do tego właśnie zmierza. Wydalony komunista jest wyklęty i napiętnowany tak w świecie komunistycznym jak w świecie niekomunistycznym. Nawet taki mądry i sceptyczny człowiek jak H.L. Mencken wyznał mi, że nie może oprzeć się uczuciu odrazy w stosunku do ludzi wydalonych z partii komunistycznej. To jest najlepszy przykład jak ludzie poddają się sugestii przekleństwa, które rzuca Partia na tych których chce się pozbyć.

Diego Rivera — w moim przekonaniu jeden z najlepszych malarzy meksykańskich — dosłownie rozpaczął, gdy go wydalono z partii komunistycznej. Nie było rzeczy, której Rivera nie zrobiłby dla komunizmu. Lecz nie przy-

dało się to na nic. Wiedział doskonale, że jego wydalenie było dziełem osobistej zemsty, a mimo to nawet on, postać tak wybitna, ugiął się pod ciężarem klątwy.

Nieco lepiej w opinii ogółu ocenia się własnowolne wystąpienie z Partii. Jednak mimo wielu wystąpień — między innymi w krajach satelickich — problem ten nie jest w pełni rozwiązany. Wielu doświadczonych i poważnych członków Partii rozumie doskonale dlaczego wystąpiłem z partii komunistycznej, lecz tak zwani sympatycy, stojący z dala, inaczej będą oceniać mój krok.

Otrzymałem na przykład list od dwóch moich przyjaciół, których wysoko cenię. Żaden z nich nie jest, i nigdy nie był, członkiem Partii. Przyjaciele moi, o których mowa, znają partię komunistyczną jedynie ze słyszenia, a więc z drugiej ręki. Oto jak ocenili oni moją decyzję wystąpienia z partii:

„Jeżeli pan nie jest zadowolony z postępów techniki, kolektywizacji, planowania i koordynacji, wysoko rozwiniętych w Związku Sowieckim i w innych krajach zmierzających do budowy socjalizmu — w takim wypadku ma pan przed sobą trzy możliwości: 1) Zasilić szeregi kontrrewolucji i w ten sposób opóźnić chwilę, kiedy o kontrrewolucji wszyscy zapomną; 2) Wziąć udział w budowie innego kolektywnego, socjalistycznego systemu w Chinach, w Indiach czy w Jugosławii; 3) Jeżeli wyżej wymienione alternatywy panu nie odpowiadają, to może zechce pan poświęcić resztę swojego żywota na opracowanie systemu lepszego niż system wymieniony w punktach 1) i 2).

Zdajemy sobie sprawę z faktu, że jaki pisarz i artysta pragnie pan niczym niekrępowanej swobody dla swej twórczości. Lecz to jest pańska prywatna sprawa. Dla pana zapewne ważna, ale dla nas, dla ludzkości — istnieją niepomierne ważniejsze problemy”.

Nawet przyjmując, że istnieją donioślejsze zagadnienia niż indywidualna wolność — jak na przykład prawo wyboru własnego rządu i form ustrojowych, prawo, którego przemocą pozbawiono Węgrów — to przecież moja

osobista deklaracja nie dotykała tych spraw i skierowana była wyłącznie przeciw aparatowi partii komunistycznej. Niemniej jednak, miliony ludzi dobrej woli na świecie stawiają znak równania pomiędzy partią komunistyczną a wszelką formą i nadzieją społecznego postępu. W świecie podzielonym jasno i kontrastowo na dwa obozy: reakcji i postępu, z partią komunistyczną jako jedynym chorążym i przywódcą odnowy i postępu, w takim świecie wszelka myśl krytyczna musi upaść. I w konsekwencji, ten kto opuszcza Partię nie tylko łąduje w przeciwnym obozie, ale łąduje na łonie najkoszmarniejszych reakcjonistów tego przeciwnego obozu.

Dopóki czytelnik nie zrozumie w pełni mechaniki tego procesu, nie pojmie również istoty dyscypliny partii komunistycznej. Nigdy dotąd w historii ludzkości jedna organizacja nie monopolizowała wyłącznie dla siebie wszystkich zasług związanych z postępowaniem. Partia głosi, że każdy krok naprzód w jakiegokolwiek dziedzinie jest jej inspiracją i zasługą. Nigdy dotąd żadna organizacja nie posiadała tak olbrzymiej mocy niszczenia i likwidowania każdego, kto ośmiela się poddawać w wątpliwość jej mądrość. W umysłach milionów ludzi partia komunistyczna jest upostaciowaniem wszystkich nadziei ludzkości. A jeżeli ktoś ośmiela się twierdzić, że owa przyszłość jest ponura i niemoralna — staje się automatycznie wyklęty i przeklęty, czyli... kontrrewolucjonistą.

Tak kształtuje się dyscyplina partyjna u dna organizacyjnej piramidy, wśród szeregowych członków Partii.

A teraz rozpatrzmy z kolei dalsze stopnie aparatu partyjnego. Pewna ilość oddziałów — względnie klubów — tworzy sekcje. Skład sekcji nie jest z góry określony i dostosowany bywa do warunków miejscowych. Sekcje może tworzyć większe przedmieście, kombinat przemysłowy itp. Na szczęblu sekcji spotykamy pierwszych płatnych zawodowych rewolucjonistów. Brzmi romantycznie zwać takiego pana rewolucjonistą i termin ten może wprowadzać w błąd. Nawet jeżeli kiedyś funkcjonariusz partyjny był istotnie rewolucjonistą, to na płatnym stanowisku przemienia się błyskawicznie w urzędującego biurokratę.

Kierownikiem sekcji jest tak zwany sekcyjny organizator. Jest to płatny funkcjonariusz partyjny, urzędujący

osiem godzin dziennie. Jeżeli sekcja jest uboga tylko organizator jest płatnym funkcjonariuszem. Jeżeli sekcja jest duża i zdoła zebrać odpowiednie fundusze od swoich członków (którzy nieodmiennie płacą ponad swoje możliwości), wówczas funduje sobie również płatnego organizacyjnego sekretarza. W wielu sekcjach istnieje i trzeci płatny dygnitarz, tak zwany dyrektor szkoleniowy. Tych trzech funkcjonariuszy kieruje sekcją. Choć teoretycznie współpracują oni z komitetem sekcji, to jednak głównym ich zadaniem jest dbać, by dyktowana z góry linia partyjna przestrzegana była i stosowana bez żadnych odchyień. W tej dziedzinie płatni funkcjonariusze partyjni wykazują wiele sprytu i inicjatywy. Prowadzą stale i nieznużenie wewnętrzną propagandę: kursy, odczyty, poufne rozmowy z poszczególnymi towarzyszami partyjnymi, specjalne zebrania, wypożyczanie materiałów propagandowych itd. Do tej dziedziny należy również stały polityczny komentarz, to znaczy interpretowanie bieżących zjawisk politycznych i gospodarczych po linii Partii.

Wymienieni funkcjonariusze są hierarchicznie najniższymi, lecz również najbardziej aktywnymi w terenie, przywódcami partyjnymi i w większości wypadków szeregowy członek Partii poza wyżej wymienionymi nie widuje nikogo u góry partyjnej.

Wielu z owych najniższych funkcjonariuszy jest równie uczciwych i oddanych sprawie jak szeregowi członkowie Partii. Ludzie ci żyją z niezmiernie skromnych pensji, nie mają żadnych przywilejów, które bywają udziałem dostojników stojących na szczycie partyjnej piramidy i są w stałym, żywym kontakcie z masą członków Partii. Lecz są i tacy, którzy już na najniższym szczeblu przemieniają się w kastowych biurokratów. Straszliwe niszczące fatum, które wcześniej czy później jawi się na drodze płatnego funkcjonariusza polega na tym, że z chwilą kiedy pobiera stałą pensję, jego życie, przeznaczenie, przyszłość i kariera zależą od umiejętności pięcia się wzwyż na organizacyjnej drabinie. Funkcjonariusz partyjny może albo tkwić na swym początkowym stanowisku — rezygnując z wszelkich ambicji, co jest rzadkie, albo musi się piąć w górę. Innej alternatywy przed nim nie ma. Na ogół ludzie ci orientują się szybko jakiego typu kwalifikacje gwarantują uprawniony awans.

Ponad owymi płatnymi funkcjonariuszami najniższego stopnia nie ma już niepłatnych członków Partii, lecz wyłącznie zawodowa, płatna partyjna biurokracja. Ruch między górą a dolami jest dwukierunkowy. Z góry idą rozkazy i decyzje — z dołu sprawozdania i raporty.

W okresie, który opisuję, w dużych przemysłowych stanach, jak New York, Pennsylvania czy Illinois, sekcje łączono w tak zwane dzielnice (*regions*). Struktura organizacyjna dzielnic oparta była na identycznym schemacie jak w sekcjach z tym, że dzielnice posiadały znacznie więcej płatnych funkcjonariuszy. Następną jednostką organizacyjną był okręg (*district*), który obejmował szereg sekcji i dzielnic. Najczęściej okręg pokrywał się z granicami danego stanu. Kierownictwo okręgu zajmowało w hierarchii partyjnej szczebel proporcjonalny do liczebności i znaczenia Partii w danym stanie. W niektórych ważnych okręgach utrzymywano wielkie biura i sztaby funkcjonariuszy, drukowano pisma i broszury, obsługiwano i zakładano sieć kiosków z książkami i pismami itd. Nie muszę chyba dodawać, że dziś, gdy partia komunistyczna straciła w Ameryce większość członków — sprawy nie układają się tak wspaniale.

I tak oto zbliżamy się do wierzchołka piramidy, który stanowi tak zwane „narodowe przywództwo Partii” oraz partyjne „biuro narodowe”. Narodowe przywództwo (*national leadership*) rządzi rzekomo w oparciu i poprzez tak zwany „komitet narodowy”. W teorii komitet winien się składać nie tylko z funkcjonariuszy partyjnych na szczeblu okręgu, lecz również z przedstawicieli związków zawodowych, środowisk kulturalnych itp. W praktyce jednak komitet narodowy składał się wyłącznie z płatnych funkcjonariuszy partyjnych. Komitet wybiera spośród swych członków narodowego sekretarza i cały sekretariat, który prowadzi agendy Partii.

Lecz podobnie jak w Rosji i w wielu innych krajach, w Ameryce „narodowy sekretarz” staje się z reguły dyktatorem, panem i władcą całej organizacji partyjnej.

W teorii partia komunistyczna jest demokratyczna i określano ją nawet jako najbardziej demokratyczną organizację stworzoną przez ludzi. Partia komunistyczna jest również, jak wiadomo, centralistyczna, a sposób w jaki funkcjonuje jej aparat określa się mianem „demokratycznego centralizmu”. Powiedzmy dokonuje się wyboru narodowego przywództwa Partii na ogólnym zjeździe (Kongresie), w którym biorą udział delegaci z całego kraju. Z wyjątkiem ostatniego kongresu, w czasie którego grupa Gatesa podjęła walkę przeciw urzędującym władzom Partii — nie znam wypadku by wybrano inne kierownictwo niż to, które z góry ustalił sekretariat, a przede wszystkim pierwszy sekretarz. Jeżeli chodzi o sprawę Browdera w grę wchodziły inne siły i grały rolę inne zewnętrzne czynniki. Partia pozostawiona w spokoju może w całości polegać na dewocyjnym lojalizmie swych owieczek, na kapłańskiej żarliwości funkcjonariuszy i na ogólnej dyscyplinie, co w sumie zapewnia zawsze wybór tych działaczy, którzy wyznaczeni zostali uprzednio przez dygnitarzy na szczycie.

W teorii, sekcje i dzielnice wybierają swoje władze lokalne, w praktyce jednak, wybierają zawsze tych, których sugeruje na dane stanowisko sekretariat. Mógłbym przytoczyć sześć konkretnych wypadków w których przywództwo Partii wyznaczyło sekretarzy dzielnicowych nie przeprowadziwszy nawet konsultacji z lokalnymi władzami danej dzielnicy.

Narodowy aparat partyjny funkcjonuje poprzez komisje. Przewodniczący każdej komisji mianowany jest „odgórnie”. Dziesiątki płatnych biurokratów pracuje w najrozmaitszych biurach centrali. Wszyscy ci biurokraci mianowani są przez kierownictwo Partii i kierownictwu Partii zawdzięczają swoją władzę, stanowiska i pensje. Ci biurokraci doszli do swych stanowisk dzięki temu, że wykazywali ślepe posłuszeństwo w przestrzeganiu „linii partyjnej”.

Sekretarz generalny (pierwszy sekretarz) jest władny usunąć ze stanowiska przewodniczącego okręgu czy dzielnicy nie podając żadnych powodów swej decyzji. Oczywiście tego typu operacja jest całkowicie sprzeczna ze statutem Partii, niemniej każdy z doświadczonych komunis-

tów obserwował dziesiątki razy stosowanie tego typu metod.

W teorii „linia partyjna” — czyli zajęcie stanowiska w odniesieniu do określonego istotnego problemu — winna być poprzedzona szeroką dyskusją członków Partii. Innymi słowy „linia” winna być wyrazem rezolucji powziętych „oddolnie”. Na tę teoretyczną zasadę powołują się zawsze ci, którzy mówią o demokratyzmie partii komunistycznej. W praktyce jednak, „linia partyjna” w odniesieniu do danego zagadnienia jest zawsze i z reguły ustalana przez kierownictwo w centrali. Ostateczne decyzje zostają powzięte na długo przed wszczęciem w danej sprawie tak zwanej „szerokiej dyskusji”. Czasami dana decyzja jest dziełem narodowego komitetu partyjnego, a czasami wypracowuje ją centralny sekretariat. Najczęściej jednak decyzję podejmuje osobiście sekretarz generalny Partii, którego władzy nie można przecenić. Sekretarz redaguje swoją decyzję w formie rezolucji, którą przesyła następnie narodowemu komitetowi do przedyskutowania. Komitet, po odpowiedniej dyskusji, podejmuje uchwałę, która z reguły jest identyczna we wszystkich istotnych punktach z tekstem przedłożonym przez sekretarza generalnego. Być może że istnieje jakiś historyczny wyjątek od tej reguły, ale ja osobiście nic o tym nie wiem i w czasie mojego pobytu w Partii zawsze to wyglądało tak, jak opisałem powyżej.

Powzięta uchwała wędruje w dół po szczeblach organizacji partyjnej. Równocześnie specjalnie wybrani płatni funkcjonariusze inicjują kontrolowaną dyskusję w prasie partyjnej, której redaktorzy — do czasów Gatesa — byli ślepych narzędziem w rękach generalnego sekretarza.

Tak zwana „szeroka dyskusja” wśród członków Partii prowadzona jest i kontrolowana przez płatnych funkcjonariuszy sekcyjnych, których głównym zadaniem jest rozbić i zniszczyć wszelką opozycję w stosunku do „odgórnej” rezolucji. Nawet gdy w pewnych wypadkach trzeba było się uciec do wydalenia z Partii szczególnie zaciekłych opozycjonistów nie cofano się przed tak drastyczną decyzją. Tak zwana „szeroka dyskusja” może trwać tygodniami, lecz praktycznie biorąc jest to bez znaczenia. Jej wynik jest z góry przesądzony i zawsze zgodny z uprzednio postawioną linią Partii. Wprowadza się natomiast do danej rezolucji kilka formalnych i nie istotnych zmian, by kie-

rownictwo mogło odeprzeć zarzut, że „szeroka dyskusja” była w ogóle niepotrzebna.

Co cementuje tę niewiarygodną organizację i chroni ją przed rozpadem? W pierwszym rządzie religijno-mistyczny terror ekskomuniki. Ponadto umiejętność i znakomita taktyka funkcjonariuszy, którzy podtrzymują w szerokich kołach członków Partii zaufanie w nieomylną mądrość przywódców. W rezultacie, szeregowy członek wierzy niezachwianie, że Partia jest świątynią wszelkich cnót i ideałów. Oczywiście nie należy zapominać, że wszędzie tam, gdzie partia komunistyczna zdobyła władzę — tortury, więzienie i śmierć stanowią fundament dyscypliny partyjnej.

Partie burżuazyjne, partie dawnego typu — nie dysponują ani tego rodzaju teologiczno-metafizycznym fanatyzmem, ani dyscypliną, którą można by przyrównać do dyscypliny komunistycznej. Partiom tym grozi zawsze rozbicie ilekroć różnice w opinii członków i kierownictwa zarysowują się zbyt ostro. Z drugiej jednak strony ów układ dynamizuje partie i stanowi o ich wewnętrznej demokracji. Falangiści, faszyci, hitlerowcy stworzyli również nowy typ partii z dość szczególną dyscypliną. Choć nie może być żadnego porównania między tymi faszystowskimi partiami a komunizmem — to jednak zestawienie ich pewnych metod zmusza do refleksji.

Są i tacy, którzy dopatrzają się pewnych analogii i powołują się w tym wypadku na materiał ujawniony w tajnym referacie Chruszczowa. Należy jednak pamiętać, że o ile partia hitlerowska była w zgodzie z opinią społeczeństwa, którym rządziła, o tyle partia komunistyczna — wszędzie tam gdzie panuje socjalizm jako ekonomiczny system — napotyka na olbrzymie sprzeczności pomiędzy sobą a socjalistycznym społeczeństwem, którym rządzi i z którego żyje. Ów kompleks sprzeczności nie może trwać i w końcu znajdzie się rozwiązanie. Siły społeczne w krótkim stosunkowo czasie (w skali historycznej) przeciwstawiają się z siłą i determinacją reżymowi komunistycznemu. Pełny rozwój ekonomiki socjalistycznej wymagać będzie pokoleń wykształconych specjalistów, naukowców, artystów, którzy — by wypełnić swoje zadanie — będą musieli oceniać rzeczywistość z postawy niezależnego badacza. Częścią owej rzeczywistości jest partia komunistyczna. Przyszłe pokolenie naukowców i fachowców spojrzą na komunizm

w większości wypadków jako humaniści ceniący życie i wolność a nienawidzący strachu, ignorancji i dogmatyzmu, które stanowią fundament Partii.

Lecz wróćmy jeszcze do opisu struktury Partii. W końcowym stadium „szerokich dyskusji” Partia wymaga od klubów, sekcji i dzielnic by uchwałyły tekst rezolucji jednogłośnie. Ma to stanowić manifestację wewnętrznej jedności Partii. Tak oto odrzuca się z pogardą fasadę demokracji dla czysto totalistycznego efektu.

Prześledziliśmy dotąd dwa główne prądy, które działają wewnątrz struktury Partii. Szeregowi członkowie Partii — oddani sprawie, altruistyczni, powodowani w pierwszym okresie wizją socjalizmu, sprawiedliwości społecznej i międzyludzkiego braterstwa — zostają w konsekwencji działalności Partii i nacisku świata niekomunistycznego przemienieni w ciasnych, religianckich, fanatycznych wyznawców. W ramach procesu tej metamorfozy członkowie Partii przemieniają się w kapłanów, Partia w wojujący kościół, a przywódcy komunistyczni w pół-bogów. To nie jest literacka parafraza, lecz definicja stanu faktycznego. Brałem osobiście udział w tym procesie i wiem co mówię.

Przywódstwo Partii wykazuje inne tendencje rozwojowe. Przywódcy są półbogami dla tych, co są o szczebel niżej, a kapłanami w stosunku do tych co są szczebel wyżej. Jeżeli dany przywódca jest człowiekiem uczciwym i z charakterem — jak to się czasem zdarza — nie zdoła nigdy wspiąć się po stopniach wiodących do sanktuarium władzy. Albowiem berło w tym królestwie nie jest dla odważnych, twórczych i ludzkich. Wprost przeciwnie. Jedynym kryterium jest wierność dogmatom, a jedyną drogą ku szczytowi niezachwiana ortodoksja. Od kandydata na przywódcę wymagany jest również nos pozwalający na szybką orientację skąd wiatr wieje, poczucie taktyczne, cierpliwość i umiejętność w popieraniu tych, którym w starciach wewnętrzno-partyjnych przypada zwycięstwo. Istotną zaletą kandydata jest również gruboskórność, obojętność w stosunku do potrzeb proletariatu a przede wszystkim dewocyjny stosunek do każdorazowej linii partyjnej.

Najgroźniejszym niebezpieczeństwem na tej drodze jest znaleźć się w sytuacji, w której nie ma się racji. Mieć rację lub nie mieć racji — oznacza być w zgodzie lub w niezgodzie z linią partyjną. Jedyną taktyką, która za-

pewnie może bezpieczeństwo, jest pedantyczne unikanie jasno określonych decyzji. Postępując w ten sposób kandydat na przywódcę może zawsze stanąć po stronie tych, którzy wygrywają.

Należy jeszcze w tym miejscu powiedzieć kilka słów o sprawie Earl Browdera. Osobiście doszedłem do przekonania, że — z wyjątkiem spraw wynikłych z osobistych rywalizacji — przywódcy partyjni usuwani są ze swych stanowisk tylko wówczas, gdy ich działalność zagraża fundamentalnej strukturze Partii. Jeżeli czytelnik podjąłby żmudne zadanie przesłедzenia wszystkich wewnętrznych walk, jakie toczyły się w ramach sowieckiej partii komunistycznej, to przekonałby się, że w każdym wypadku chodziło o zachowanie stalinowskiej struktury partyjnej. Jeżeli arcykapłan zagraża świątyni musi ponieść śmierć.

Logika rozumowania Browdera wiodła do likwidacji Partii. Jego wewnętrzno-partyjna pozycja była tak silna, że zdołał podjąć pierwsze kroki, zmierzające do zniszczenia całej struktury partyjnej. Bo bez względu na to jaki byłby ostateczny kształt nowej organizacji, nie ulega wątpliwości, że nie byłaby to już „leninowska partia nowego typu”.

List Duclos'a stanowił ważne poparcie dla rywalizującej grupy, która zmierzała do wykluczenia Earl Browdera i do odbudowy zarówno świątyni jak i pozycji arcykapłanów.

Warto podkreślić, że w okresie owych wewnętrzno-partyjnych walk jeden z szeregowych członków Partii napisał świetną i niezmiernie przekonującą obronę „Browdernizmu”. Przywództwo Partii nie szczędziło wysiłków, by zniszczyć ten dokument.

Nim przejdziemy do następnego punktu naszej analizy — może warto byłoby pokusić się o scharakteryzowanie postaci przywódcy partyjnego.

Widziałem setki wcieleń przywódcy partyjnego w różnych krajach. Obserwowałem jego akcję w dziesiątkach sytuacji — wśród robotników, wśród gospodyń domowych, wśród intelektualistów, młodzieży itd. Przyglądałem się mu z bliska i z wielką uwagą.

Na ogół przywódca partyjny nie odznacza się niczym szczególnym. W Partii nie ocenia się ludzi „burżuazyjnymi” kategoriami. Z reguły jest chłodny, powściągliwy, i pełen rezerwy. Otwarte serce i gorący uścisk dłoni nie należą

do jego repertuaru. Jest ostrożny i długo waży każde słowo zanim je głośno wypowie. W pewnych wypadkach, na skutek przemyślanej decyzji, przywódca ryzykuje uśmiech i swobodniejszą rozmowę, ale tylko wówczas, gdy w grę wchodzi specjalna osobistość. W swobodniejszej atmosferze towarzyskiej przywódca partyjny czuje się zawsze nieswojo.

Jeżeli ktoś zapyta go o opinię w takiej czy innej sprawie — to jeżeli osoba, która skierowała zapytanie jest dostatecznie ważna — przywódca zajmuje stanowisko i wygłasza odpowiednią tezę partyjną, mówiąc nie do swojego rozmówcy, lecz ponad jego głową, jakby mówił z trybuny do tłumu.

Na zebraniu przywódca stara się być zawsze ostatnim mówcą. Wyjątek stanowi sytuacja jeżeli na sali obecny jest dygnitarz stojący wyżej w hierarchii partyjnej. Wówczas przywódca musi pochylić głowę przed autorytetem i zadowolnić się pozycją przedostatniego mówcy. Jeżeli jednak przywódca jest energicznym karierowiczem zaryzykuje każdy taktyczny podstęp, by jednak zapewnić sobie prawo przemawiania jako ostatni. Ponieważ trzy czwarte swojego życia spędza na zebraniach, taka taktyczna umiejętność jest niezmiernie ważna.

Jest to cenne z kilku przyczyn. Przede wszystkim nie zabierając samemu głosu, a słuchając wszystkich biorących udział w dyskusji, przywódca może ocenić siłę argumentów, a następnie wywnioskować która ze stron zwycięży. Przemawiając jako ostatni, przywódca jest zawsze po stronie zwycięzców i wymierza ostateczny cios pokonanym. Równocześnie daje mu to sposobność prostowania „odchyień”, co zawsze liczy się jako specjalna zasługa.

Ostrożność cechuje go we wszystkim, a zwłaszcza jeżeli mówi lub pisze. Unika oryginalnych opinii jak diabeł święconej wody. Ogranicza się najchętniej do tematów bezpiecznych. Wówczas każdą opinię można podmurować cytatem z Marksa lub Lenina.

W dyskusjach partyjnych przywódca obserwuje bacznie tych wszystkich, którzy go popierają i organizuje swoją własną grupę „szturmową”. Nigdy nie działa samotnie i nigdy nie atakuje nie zapewniwszy sobie poparcia. Chętnie rozpoczyna przemówienie od zdania: „Jak to słusznie podkreślił towarzysz X.”.

Towarzysz X zapamięta sobie pochlebną wzmiankę i zrewanżuje się w odpowiednim momencie.

Wielka chwila w życiu przywódcy jawi się, gdy oceni że może bezpiecznie atakować przeciwnika i zniszczyć go. To zdarza się wówczas, gdy przeciwnik jest do tego stopnia uczciwy, że obstaje przy swoim, mimo iż większość ma przeciwko sobie.

Przywódca nie pozwala sobie na brutalność w tonie dopóki nie jest absolutnie pewien, że jego przeciwnik jest izolowany, przegrany i w matni bez wyjścia. Przybieranie brutalnego tonu może być bardzo ryzykowne jeżeli przeciwnik nie jest politycznie martwy. Błąd oceny w podobnych wypadkach zwichnął już niejedną karierę kandydata na przywódcę. Normalnie sprzymierzeńcy przywódcy przeprowadzają wstępny atak, a on sam wstępuje dopiero wtedy na arenę, by zadać efektowny śmiertelny cios. W takiej chwili chłodny, opanowany przywódca pozwala się unieść pasji i oburzeniu. Jest błąd z gniewu, dyszy pogardą i sarkazmem i jest straszliwy w oskarżeniach. Jeżeli powyższa scena odbywa się w kraju, w którym komunizm jest przy władzy — przywódca pełen świętego oburzenia uczyni aluzję do kary więzienia lub śmierci. W krajach kapitalistycznych musi swój repertuar ograniczyć do unicestwienia moralnego. Upokarza i niszczy swego przeciwnika czyniąc z niego wyrzutka społeczeństwa, który winien być wydalony z szeregów Partii.

Przywódca partyjny musi być wszystko wiedzący i nieomylny. Równocześnie charakterystyczna ciasnota umysłu ogranicza jego działalność intelektualną i kulturalną. Wykształcenie tych panów pozostawia zazwyczaj wiele do życzenia. Przywódca partyjny nie jest nigdy intelektualistą. Dogmatyka marksistowska nie może oczywiście zastąpić oryginalnej myśli i umysłowej inwencji. Niemniej jednak, pełnia wszechwiedzy jest koniecznym atrybutem przywódcy partyjnego i nieodzownym warunkiem kariery.

By sprostać tym niełatwym wymogom przywódca przyswaja sobie serię sztuczek, które produkuje z nużącą monotonią. Jeżeli musi słuchać dyskusji toczącej się na temat, który leży całkowicie poza zasięgiem jego rozeznania — wówczas kiwa mądrze głową, pyka fajkę i milczy jak grób. Jeżeli przewodniczący danego zebrania zwraca się do przywódcy z zapytaniem czy nie chciałby zabrać głosu, względ-

nie podsumować dyskusji — przywódca zazwyczaj uprzejmie wymawia się z tej funkcji. W ten sposób daje do zrozumienia, iż w swej mądrości doszedł do wniosku, że będzie z większym pożytkiem dla zebranych jeżeli wstrzyma się od osobistej interwencji. Tego rodzaju taktyka umacnia opinię, że jest szczerym demokratą, który nie usiłuje w każdej sytuacji narzucać swojego zdania.

Są chwytły taktyczne niepomierne prostsze. Na przykład spojrzenie na zegarek i stwierdzenie, że jest bardzo późno. Przywódca w takim wypadku żegna się pośpiesznie oświadczając, że swoją opinię przedstawi zebrany na następnym posiedzeniu. Tego rodzaju posunięcie daje mu kilka dni czasu do wybadania sytuacji i równocześnie gruntuje o nim opinię jako o człowieku pełnym rozwagi i cierpliwości.

W pewnych analogicznych wypadkach przywódca przysłuchuje się dyskusji milcząco dopóki w czyjejs opinii czy choćby w pojedynczym zdaniu nie dopatry się śladu „odchylenia”. Jeżeli uda mu się dokonać takiego odkrycia rozdmuchuje je do niebywałych rozmiarów. Rozdziera szaty i staje się obrońcą naruszonej czystości linii partyjnej. Dla kandydata na przywódcę, pnącego się po drabinie hierarchii partyjnej, nie może być cenniejszej reputacji niż opinia dewocyjnego obrońcy czystości linii partyjnej.

W sprawach literatury i sztuki przywódca napotyka na największe trudności ponieważ nie ma wyrobionego smaku literackiego, nie dysponuje żadnymi kryteriami oceny i całość tych spraw leży poza zasięgiem jego wykształcenia i odczucia. Lecz i w tej dziedzinie istnieją pewne chwytły, których odpowiednie stosowanie daje gwarancję bezpieczeństwa. Zawsze przecież istnieje jakiś rosyjski specjalista, jak na przykład Żdanow, który może być pomocny w tych zawikłanych sprawach. Poza tym przywódca, słuchając cierpliwie innych, wyrabia sobie zdanie o ustosunkowaniu się danych grup czy kół literackich do linii partyjnej. Wypośredkowawszy bezpieczną grupę i upewniwszy się w sprawie poprawności jej poglądów — przywódca w dyskusjach solidaryzuje się z tą grupą i przyswaja sobie pewne frazesy i opinie. W zaufanych kołach daje nawet do zrozumienia, że w gruncie rzeczy on jest twórcą danego kierunku czy szkoły, choć oczywiście otwarcie nigdy by się do tego nie przyznał.

Dążenie do nieomyślności, które inspiruje wszystkie poczynania przywódcy, z czasem wyrabia w nim przekonanie, że istotnie jest on nieomyślny. Cały jego proces myślowy zostaje tak uwarunkowany, iż jest po prostu niezdolny uznać, że w jakiejś sprawie może nie mieć racji. Z ust nie schodzi mu fraza: „Towarzyszu, dokonajcie samokrytyki waszego stanowiska”.

Przywódcą nie tylko góruje nad wszystkim, lecz uważa, że jest w ogóle ponad ludźmi. Jeżeli dozna od kogoś życzliwości czy uprzejmości — nie wyraża podzięków, gdyż byłaby to reakcja burżuazyjna. On i Partia — to jedno. Uprzejmość czy życzliwość, z jakiej korzysta, nie ma w jego oczach cech osobistych i stanowi tylko fragment politycznej „rzeczywistości”. Z upływem lat przywódca partyjny traci wszelką zdolność do żywszego, ludzkiego uczucia czy sentymentu. Wieczna i czujna ostrożność, poprawność, lęk przed poślizgnięciem się na drodze ku szczytowi, nieufność towarzysząca mu jak nieodstępny cień — wszystko w sumie paraliżuje jego swobodę w stosunkach z innymi ludźmi.

Przywódcą partyjny nie ma przyjaciół. W początkach swej kariery doszedł już do przekonania, że równość jest nie do pogodzenia z „demokratycznym centralizmem”. Uznać kilku towarzyszy za przyjaciół byłoby równoznaczne z uznaniem ich za równych sobie — co w konsekwencji naruszałoby autokratyczny charakter jego pozycji w świecie partyjnym. Są i inne przyczyny uniemożliwiające przyjaźń. Z przyjacielem trzeba czasem szczerze porozmawiać czy pogwarzyć niewymuszenie. Przywódca nie może sobie pozwolić na taki luksus. Dawno bowiem doszedł do przekonania, że swobodna, niekontrolowana rozmowa jest wysoce niebezpieczna. Poza tym przywódca mówi zawsze o polityce. W kołach partyjnych jeżeli mówi się o kimś, że „myśli politycznie” jest to zawsze największa pochwała. Oznacza to, że dany towarzysz każde wydarzenie czy sprawę interpretuje wyłącznie pod kątem widzenia dogmatów i teorii marksistowskiej. Oznacza to jeszcze, że „politycznie myślący towarzysz” wyzbył się definitywnie swoich osobistych opinii i spostrzeżeń.

Przywódcą nie jest nigdy „subiektywny”. Być subiektywnym oznacza reagować indywidualnie na czyjąś krzywdę, liczyć się z czyjąś dumą, wnikać w czyjeś potrzeby.

„Subiektywizm” w oczach Partii jest jednym z grzechów głównych. Proces degradacji i totalnego poddania osobowości jest tak ściśle związany z istotą struktury Partii — czego wymowną ilustracją była sprawa tow. Kedrowa — że przywódca partyjny przechodzi przez ten sam proces dehumanizacji i w chwili kiedy zdobywa władzę jego indywidualna osobowość zredukowana jest do minimum.

Przywódca partyjny, jeżeli jest żonaty, tylko garstka towarzyszy partyjnych wie o tym. Jeżeli przywódca bierze udział w zebraniach, czy spotkaniach towarzyskich urządzanych przez Partię, względnie jeżeli reprezentuje Partię na przyjęciu dyplomatycznym czy jakimkolwiek innym, zjawia się niemal z reguły sam. To są funkcje polityczne i żon nie należy w te sprawy angażować. W tych wyjątkowych wypadkach kiedy żona dygnitarza partyjnego przechodzi z nim razem, milczy konsekwentnie. Wypowiada zdawkowe frazesy w rodzaju: „dziękuję bardzo”, czy „proszę bardzo”, ale to wszystko. W żadnym wypadku nie zaryzykuje wypowiedzenia własnej opinii w jakiegokolwiek sprawie. Uważa się za naturalne i w pełni zrozumiałe, że żona dygnitarza partyjnego nie jest na tym samym poziomie politycznego wyrobienia co jej świetny małżonek. Nikt na ogół w Partii nie wie czy przywódca ma dzieci. Na ten temat panuje dyskretne milczenie.

Istnieje tylko jeden rewir w mitologicznym świecie komunizmu gdzie dozwolone są odchylenia a nawet wykazanie pewnego humoru. W Partii ocenia się, że jest to rewir całkowicie bezpieczny. Chodzi tu o sektor działalności często eufemistycznie określanej mianem „kwestii kobiecej”. W tej dziedzinie teoria szczęśliwie nie pokrywa się z praktyką i pewne poślizgnięcia są nie tylko praktykowane ale i w pełni oceniane. Przywódca dba o to by jego poczucie humoru w tej dziedzinie cieszyło się zasłużoną sławą.

Nie mogę oprzeć się pokusie, by w tym miejscu nie wspomnieć w kilku słowach o Kongresie Pokoju w roku 1949, na który przybyła delegacja sowieckich uczonych i intelektualistów. Gdy młode Amerykanki, które z takim zapałem i oddaniem pracowały nad zorganizowaniem tej imprezy, stwierdziły, że wśród delegacji sowieckiej nie ma ani jednej kobiety, wybuchły oburzeniem i udały się natychmiast do Aleksandra Fadejewa, pisarza rosyjskiego, który stał na czele delegacji sowieckiej. Moje znajome,

w bardzo zdecydowanej formie, zażądały od Fadejewa wyjaśnień dlaczego w delegacji, reprezentujące socjalistyczne państwo, nie ma ani jednej kobiety, mimo że Związek Sowiecki głosi programowo tezę całkowitego równoprawnienia kobiet.

„Ach, myśmy rozwiązali już dawno „kwestię kobiecą” — oświadczył krótko Fadejew — „i ta sprawa przestała u nas być problemem”.

Ta sama mieszanina głupoty, lekceważenia i arogancji cechowała odpowiedzi rosyjskie we wszystkich innych sprawach w okresie mojego pobytu w Partii. W cytowanym powyżej wypadku Fadejew zachował się jak typowy partyjny przywódca formułując swą odpowiedź niby to dowcipnie a w gruncie rzeczy arogancko.

Warto również zanotować inny epizod z Fadejewem, który wydarzył się w czasie wzmiankowanego Kongresu. Podczas jednego z posiedzeń sekcji pisarzy — Mary McCarthy, oraz kilku jej obecnych na sali przyjaciół, zwrócili się do Fadejewa z zapytaniem, co stało się z szeregiem sowieckich pisarzy. Pisarzy tych Mary Mc Carthy wymieniła z imienia i z nazwiska.

Fadejew w odpowiedzi nie tylko dał publicznie słowo honoru sowieckiego obywatela, że nie tylko żyją i cieszą się najlepszym zdrowiem, lecz wykazał również świetną znajomość sprawy, cytując z pamięci tytuły prac i książek, nad którymi pisarze ci rzekomo pracowali. Opowiedział zebrany gdzie cytowani pisarze mieszkają, kiedy ostatni raz się z nimi widział, a nawet cytował nam ich słowa oburzenia z powodu bezczelnych kapitalistycznych oszczerstw o ich rzekomym prześladowaniu przez władze sowieckie. Tak to wszystko płynnie i gładko opowiadał, tak obficie sypał szczegółami, że niewątpliwie wykazał wówczas więcej fantazji niż we wszystkich swoich książkach.

Jako przewodniczący zebrania sekcji pisarzy byłem zaskopotany faktem, że Mary McCarthy i jej przyjaciele wysunęli tak żenujące pytania pod adresem naszego świetnego gościa. Siła przekonania i szczerości, jaka brzmiała w słowach Fadejewa, wykluczała jakiekolwiek podejrzenia. I nie tylko ja, ale — jeżeli dobrze pamiętam — i Mary McCarthy oraz jej przyjaciele — byli przekonani, że Fadejew mówi prawdę. Nikt z nas nie mógł przecież sobie wyobrazić, że

nasz wybitny gość zdecyduje się na tak monstrualne kłamstwo, które w każdym razie musiałyby się wydać.

W osiem lat później, z komunistycznych źródeł polskich i rosyjskich dowiedziałem się, że Fadejew kłamał. Wszyscy ci pisarze, o których mówił tak szczerze i życzliwie, byli już wówczas jedni zamordowani, inni storturowani przez NKWD, a jeszcze inni gnili w więzieniach.

Fadejew nie okazał się jednak typowym partyjnym przywódcą mimo że był politrukiem wszystkich sowieckich pisarzy i członkiem Centralnego Komitetu Sowieckiej Partii Komunistycznej. Zmaltretowany psychicznie przez Partię, która niegdyś głosiła zbawienie ludzkości, pozostał przecież pisarzem, twórcą intymnie związanym z dramatem współczesnego człowieka. Tych powiązań nawet Partia nie zdołała z niego wydrzeć. Słuchając przemówienia Chruszczowa na zamkniętej sesji XX Kongresu zapatrzył się w makabryczny wizerunek dziejów, który przeraził nas wszystkich. Obraz odmalowany przez Chruszczowa musiał wyrzucić na Fadejewie druzgocące wrażenie. Wróciwszy z zamkniętej sesji Kongresu do domu pił jedenaście dni, a dwunastego dnia strzałem z rewolweru pozbawił się życia.

Tak uczynił — i niech Bóg sprawiedliwy i sądzący nas wszystkich okaże miłosierdzie nad jego duszą. Fadejew nie był żadnym przywódcą, lecz zrozpaczonym nieszczęśnikiem, w sytuacji, której nie potrafił ani się przeciwstawić ani w niej żyć. (Prawdziwi przywódcy partyjni nie popełniają samobójstwa, gdyż są „nieomylni”, nie błądzą i nie wykazują nigdy żadnej słabości).

Tak oto można by w krótkich słowach sportretować przywódcę partyjnego należącego do najwyższych kół hierarchii partyjnej. To nie są ludzie mili czy sympatyczni i przypuszczam, że są bardzo samotni. W krajach, w których partia komunistyczna jest przy władzy, przywódca partyjny jest doskonale płatny i korzysta z różnych przywilejów. W pewnym sensie wszystko należy do niego i na skinięciu palca jest do jego dyspozycji. Lecz w krajach kapitalistycznych i kolonialnych, w których partia komunistyczna nie jest przy władzy — sprawy układają się zgoła inaczej. Utopia jest daleko — i dygnitarz partyjny musi się zadowolić swoim absolutnym państwem w obrębie państwa — czym de facto jest partia komunistyczna w każ-

dym kraju. Ponieważ w tych krajach dyscyplina partyjna oparta jest na dobrowolności — przywódca partyjny musi zadawałać się skromną stopą życiową i nielicznymi przywilejami.

Jeżeli partia macierzysta przywódcy jest biedna to i on sam żyć musi zgodnie z zasadą według stawu grobla. Jeżeli natomiast partia w danym kraju jest liczna, bogata i wpływowa — przywódca partyjny wzoruje swój styl i sposób życia na dygnitarzach partyjnych w państwach komunistycznych. Lecz choćby dana partia komunistyczna była bardzo nieliczna i bardzo uboga to i tak przywódca korzysta z „duchowych” przywilejów i uprawnień głowy państwa rządzonego absolutystycznie. Jest najwyższym prawem i najwyższym sędzią. Podejmuje ostateczne decyzje i wszyscy są mu winni serwilistyczny posłuch. Może wyżywać się w swojej pysze i namiętności władzy.

Przywódca musi być dynamizowany żądzą władzy. Władza jest najwyższą nagrodą jaką Partia ma do zaofiarowania. W krajach niekomunistycznych pensja przywódcy jest często niewielka — przywileje skromne, ryzyko duże, a droga ku szczytom hierarchii daleka. Lecz namiętność władzy jest bezkresna. Dla przywódcy partyjnego władza jest jedynym motywem działania, jest narkotykiem i celem samym w sobie. Toteż nic dziwnego, że Stalin, wedle świadectwa swych najbliższych współpracowników, był paranoikiem. Tam gdzie władza jest finalnym celem sama w sobie i jedyną inspiracją działania — paranoik niemal zawsze wyprzedzi innych. Takich paranoików pewni ludzie zwą „wielkimi”. Świat zapłacił straszliwą cenę za tę „wielkość”.

15.

Wielu ludzi zapytywało mnie dlaczego tak długo zwlekałem z wystąpieniem z partii komunistycznej. Czyż nie zdawałem sobie sprawy czym właściwie jest partia komunistyczna? To są pytania zbyt jednostronnie proste i wskutek tego nie trafiają w sedno sprawy.

Wstąpiłem do Partii przyjąwszy — jak wielu innych — przesłankę, że tylko poprzez partię komunistyczną urzeczywistnić można na tej ziemi pokój, socjalizm, braterstwo między ludźmi. Pewne aspekty historii zdawały się wskazywać, że powyższe rozumowanie jest słuszne.

Przystąpienie do partii komunistycznej jest sprawą bardzo serio i poważni ludzie ani nie wstępują ani nie występują z Partii bez głębokiego zastanowienia. Osobiście nie należę do ludzi, których można łatwo przekonać. Dotyczy to zarówno przekonania „za” jak i „przeciw”. Potrzebowałem lat doświadczeń i rozwagi, by uformować mą opinię. Rolę katalizatora w tym procesie odegrał „tajny” referat Chruszczowa. Dopiero jego pomoc — pomoc wywodząca się z centrum pierwszej i największej partii komunistycznej świata — umożliwiła mi rozwiązanie zagadki. Lecz nawet wówczas — po zapoznaniu się z treścią tego dokumentu — gdy ochłonałem ze zgrozy i oburzenia, zrodziło się pytanie czy fakty przytoczone przez Chruszczowa były tylko dziełem złych, przewrotnych jednostek, czy też stanowiły nieuchronną konsekwencję historycznej struktury Partii. Potrzebowałem miesięcy rozmyślań, lektury, studiów, dyskusji, by wyrobić sobie zdecydowany pogląd na tę sprawę. A od tego momentu upłynąć musiało jeszcze wiele miesięcy nim odważyłem się pisać na ten temat. Zdaję sobie sprawę, że tego typu analizy jak ta, którą piszę, nie było do tej pory. Opisuję w tej książce ludzi, których kochałem, jak również ludzi, których nienawidziłem. Wspominam i piszę o najdzielniejszych towarzyszach jakich kiedykolwiek w życiu widziałem, o małych biurokratycznych kacykach, o tchórzach tak w sensie fizycznym jak duchowym, o paranoikach zatrutych żądzą władzy.

W czasie mojego pobytu w Partii miałem opinię jednostki trudno poddającej się kontroli, na której nie można polegać. Nie wstydzę się tej opinii, gdyż w praktyce oznaczało to, że w każdej sprawie zachowałem indywidualny osąd.

Dwanaście razy zgłaszano wniosek o wykluczenie mnie z Partii. Za każdym razem walczyłem, aż w końcu zwycięsko odparłem zarzuty. Byłem zdecydowany nie dopuścić do tego by mnie z Partii wydalono. Początkowo dlatego, że w Partię wierzyłem, w późniejszym okresie, kiedy już straciłem wiarę w Partię nie chciałem jednak odejść

kopnięty przez tych, którzy się mnie bali i chcieli mnie się pozbyć.

Opuściłem Partię w terminie przeze mnie zdecydowanym, gdy doszedłem do wyżej wspomnianego ostatecznego, nieodwołalnego postanowienia.

Nie jestem ani rozczarowany ani zgnębiony. Wypadło mi żyć w ciężkim i ponurym okresie czasu, ale w okresie tym ludzkość dokonała wielkiego kroku naprzód na drodze postępu. Choć partia komunistyczna jest zdyscyplinowana i miała wspaniałe osiągnięcia militarne, nie sądzę by mogła przypisać sobie jakąkolwiek zasługę w dziejach ludzkiego postępu. Socjalizm, sprawiedliwość, braterstwo międzyludzkie — to są potężne idee o nieodpartej sile. Idee te będą rósć i potęgnić aż zwyciężą — pomimo i wbrew partii komunistycznej. Przyjdzie chwila, że socjalizmu rosyjskiego nie będzie dłużej deptał but komisarza.

Tu, w Stanach Zjednoczonych, termin „komisarz” tłumaczy się najczęściej jako „funkcjonariusz”. Osobiście sądzę, że słowo to najpełniej oddaje swoją treść gdy zachowane jest w oryginalnym brzmieniu. Wśród szeregowych członków amerykańskiej partii komunistycznej termin komisarz używany jest jako pogardliwe określenie pod adresem nielubianych dygnitarzy partyjnych. Żadnym innym słowem nie można zastąpić określenia „komisarz”. „Komisarz” w potocznym języku, tak w Rosji jak i w Ameryce, oznacza donosiciela, „anioła stróża”, małego dogmatyka raportującego większym dogmatykom, ministranta rytuału, inkwizytatora, prowokatora, świadka prokuratora, pomocnika kata.

Partia komunistyczna ze swoją dogmatyką, ze swoją religią pseudo-marksizmu, z pełną podejrzem nienawiścią do wszelkiej zmiany, odnowy czy twórczości, z kastą kapłanów i świątynią niedokształconego bożka — nie jest wytworem cywilizacji i postępu. W świecie ustabilizowanego pokoju i dobrobytu — nie będzie dla niej miejsca. W różnych krajach są dziś setki tysięcy ludzi, którzy opuścili szeregi komunistyczne. Ci ludzie znają prawdę i powołani są ją głosić. Trudno dziś o nich mówić jako o „trockistach” czy „imperialistycznych agentach”.

Ilekróć w niniejszej książce używam terminu „magia” — czynię to z całą powagą i nie w sensie figury retorycznej. I dlatego sędzę, że winien jestem czytelnikom kilka słów wyjaśnienia w tej sprawie. Używam terminu magia w sensie fenomenu antropologicznego a nie — jak to często bywa w mowie potocznej — w odniesieniu do produkcji iluzjonistów czy magików.

W nauce antropologii terminem magia określa się prymitywną naukę w przed-religijnej erze ludzkiego rozwoju. W owym wczesnym okresie rozwojowym magia spełniała tę samą funkcję co nauka dzisiaj. Innymi słowy była zespołem środków, którymi posługiwał się człowiek pierwotny, w celu opanowania elementów przyrody i innych ludzi. Nie dyskutujemy tutaj skuteczności magii i jej praktyk, tylko jej cel. Była to metoda w założeniach swoich materialistyczna a nie supernaturalistyczna. We wczesnym, początkowym stadium rozwoju, elementy mistyczne i religijne posiadały w magii znaczenie drugorzędne. Zasadniczo był to proces czysto materialistyczny.

W miarę postępu cywilizacji i rozwoju religii — wiele elementów religijnych wniknęło do magii nadając jej inny charakter. Lecz, niezależnie od tych faktów, pewien zespół magicznych praktyk przetrwał w swej oryginalnej formie jako wiedza, która funkcjonowała niezależnie, to jest poza metodą naukową i niezależnie od prawa przyczyny i skutku.

Specjaliści tego przedmiotu dzielą magię na cztery działy. Każdy z tych czterech typów magii został integralnie włączony w ideologię i praktykę partii komunistycznej. Integracja ta jest tak głęboka i całkowita, że nie tylko członkowie Partii lecz cała szkoła politycznych nie-partyjnych obserwatorów całkowicie pogodziła się z tymi faktami. Ponieważ marksizm jest zasadniczo materialistyczną filozofią, przejął materialistyczną metodykę magii. A oto jak ta metoda funkcjonuje w odniesieniu do czterech zasadniczych typów magicznych praktyk.

I. Magia sympatyczna.

Ten ryt magii opiera się na założeniu, że upragniony wynik można osiągnąć, względnie sprowokować, przez wielokrotne imitowanie zamierzonego rezultatu. Do tej klasy magii należy również rzucanie uroków oraz „operacja kontaktowa”. Ta ostatnia opiera się na założeniu, że osoba, która zetknęła się z przedmiotem magicznym pozostaje pod tajemnym wpływem nawet wówczas, kiedy kontakt z przedmiotem magicznym zostaje przerwany.

Partia bardzo często organizuje demonstracje, które niejednokrotnie kończą się tragicznie. Motywem tych akcji jest przekonanie, że zorganizowana demonstracja wywoła analogiczne, spontaniczne ruchy mas gdzie indziej. Doświadczenie i fakty, całkowicie przeczące tym przypuszczeniom, nie wywierają najmniejszego wpływu na taktykę komunistyczną.

Uchwały i rezolucje traktowane są jako uroki i magiczne zaklęcia. Dziesiątki razy byłem świadkiem jak uchwalano rezolucję z absolutnym przekonaniem, że poruszy ona niebo i ziemię. Fakt, że rezolucje pozostają zawsze aktem czysto teoretyczno-papierowym, oderwanym od praktyki — nadaje im charakter magicznego rytuału. To samo dotyczy tysięcy decyzji, co do których, w chwili gdy się je podejmuje, jest powszechnie wiadome, że nigdy nie zostaną wprowadzone w czyn. Tak w tym, jak i w wyżej cytowanych wypadkach nie mamy do czynienia z cynizmem czy z pustosłowiem, lecz z typową wiarą w magię sympatyczną.

Broszury mają również znaczenie magiczne. Miliony broszur partyjnych spoczywa w składach i po piwnicach, miliony rzucono na przemiał. Nie chodzi o dystrybucję i lekturę, lecz o sam fakt produkcji. Przywództwo partii wierzy bowiem niezachwianie, że słowa dygnitarzy partyjnych — czy to wypowiedziane z trybuny, czy wydrukowane w broszurach — wpływają bezpośrednio na bieg wydarzeń historycznych.

Można by zacytować jeszcze szereg innych przykładów magii sympatycznej. Do tej klasy zjawisk magicznych należy również wiara, że jeżeli ktoś raz zetknął się z doktryną, głoszoną przez Partię, pozostanie na zawsze w jej kręgu, nawet gdyby z Partią zerwał.

II. Wróżby.

Ten dział magii poświęcony jest rytom i praktykom zmierzającym do zdobycia tajemnej wiedzy. Do tej grupy należy astrologia, wróżenie z lotu ptaków, z wnętrzości zabitych zwierząt itp.

W języku partyjnym analogiczna magiczna formuła brzmi: „Niezawodne narzędzie marksizmu”: Rozumie się przez to, że marksizm otwiera dziedziny poznania dla innych niedostępne i zakryte. Tej formy jasnowidztwa i wróżenia używa się w celu przepowiadania przyszłości czego wymowną ilustracją są tysiące partyjnych „przepowiedni”, dotyczących zarówno rozwoju spraw politycznych jak i gospodarczych.

Lecz może jeszcze bardziej destruktywną formą owej magicznej formuły jest fakt, że powoławszy się na „niezawodne narzędzie” — przywódca partyjny staje się rzeczoznawcą w każdej dziedzinie i w każdej sprawie pod słońcem.

Jeszcze raz podkreślam z całym naciskiem, że nie używam tu przerośni literackiej, lecz mam na myśli rzeczywiste posługiwanie się metodą magiczną. Metoda ta wpływa nie z ciemnoty i ignorancji, lecz przeciwnie z wielkiego kunsztu magików.

Przed kilku laty, na łamach „New Masses” toczyła się interesująca dyskusja na temat estetyki. W dyskusji tej, która zawędrowała na łamy naszego czasopisma z Francji, uczestniczyli pisarze i artyści, a więc ludzie, którzy od lat związani byli ze studiami i analizą tego problemu. Niemniej my, pisarze, nie byliśmy kompetentni by rozstrzygnąć tę dyskusję. Dokonał tego William Z. Foster, który dyskusję podsumował i zamknął. Foster był przywódcą robotniczym i nigdy nie zajmował się ani pracą literacką, ani studiami nad estetyką. Lecz jego wykszolenie marksistowskie dawało gwarancję, iż jego wypowiedź w tej sprawie będzie właściwa. Identycznie działo się w Rosji. Stalin był ekspertem we wszystkich dziedzinach i znał prawidłowe rozwiązania wszystkich zagadnień.

Za inny przykład może służyć bezsensowna krucjata, przeciwko psychiatrii. Pewien polityczny dziennikarz, który uprzednio pracował w redakcji „Daily Worker”, posta-

nowił obalić całą współczesną psychiatrię. Oczywiście w tej krucjacie nie opierał się na studiach, wiedzy i faktach, lecz wyłącznie na magicznym „niezastąpionym kluczu”. Tę samą magiczną procedurę stosowano w odniesieniu do związków zawodowych, co w rezultacie przyniosło Partii niekończącą się serię porażek. Mimo to jednak od magii nie odstąpiono.

III. Cudotwórstwo.

Cudotwórstwo, czyli taumaturgia, polega na powodowaniu niereligijnych cudów. Do tego działu magii należy między innymi alchemia.

W praktyce partyjnej ten typ magii reprezentowany jest tym, co w żargonie partyjnym określa się „dialektycznym materializmem”. (Nie krytykuję dialektycznego materializmu, a jedynie magiczną procedurę, którą fałszywie określa się tym terminem).

Operatywnym słowem w cudotwórczej formule jest termin: „zmiany jakościowe”. Przyjmuje się, że jeżeli ktoś pracuje bezsensownie ale dostatecznie długo, musi nastąpić cud przemiany ilości w jakość.

IV. Zaklęcia.

W tym dziale magii główną rolę odgrywają zaklęcia wypowiedane w formach ustalonych tradycją i rytuałem. Wypowiadanie imion bóstw czy demonów w celach magicznych należy również do tego działu. Ten typ magii stanowi przejście od magii prymitywnej do prymitywnej religii i pewne magiczne elementy datujące się z tego okresu odnaleźć można jeszcze dziś w wielkich współczesnych religiach. Nic więc dziwnego, że właśnie ta grupa zjawisk magicznych w życiu partii komunistycznej odgrywa szczególną rolę.

W Partii stosowanie magicznych formuł słownych i zaklęć jest na porządku dziennym. W rzeczywistości, w okresach gdy dynamizm Partii słabnie — jak na przykład w czasie hiszpańskiej wojny domowej — wpływ magii

w partyjnym słownictwie proporcjonalnie wzrasta. Określenia tego rodzaju jak „Wall Street”, „imperializm”, „kolonializm” — zachowały pewien przejściowy związek z rzeczywistością. Natomiast slogany terminowe, jak na przykład „bolszewicy”, „bagaż burżuazyjny”, „uświadomienie partyjne” i setki podobnych — istnieją samoistnie, w oderwaniu od jakiegokolwiek sensu i znaczenia.

W okresie „odwilżowym” to jest bezpośrednio po ogłoszeniu tajnego referatu Chruszczowa, napisałem artykuł, który składał się wyłącznie ze sloganów i magicznych frazesów partyjnych. Ten żargonowy tekst, mimo że prze-myślany żartobliwie, nie odbiegał w niczym od przeciętnego oświadczenia czy wypowiedzi przywództwa partyjnego. Komuniści nie tylko wyrobili sobie swój własny język, lecz również manifestują sentyment i przywiązanie do swego żargonu. Żargon partyjny jest obcy gramatyce i duchowi normalnej angielszczyzny a literacko jest obrzydliwy. Choć wszystkie odnośne teksty bez trudności mogłyby być zredagowane w normalnym i poprawnym języku, z przywiązania do rytualnej magii podtrzymuje się uporczywie żargon partyjny.

Wszystko to wiąże się bezpośrednio z wiarą w zaklęcia i w magię słów. Słowo „marksizm” jest typowo rytualistycznym dźwiękiem, a takie imiona jak Lenin czy Stalin posiadają moc zaklęcia. Z tego magicznego rytuału nie są wyłączone również pewne definicje jak na przykład „każdy według swoich możliwości — każdemu według jego potrzeb”. Każdy z tych frazesów wypowiedzianych z magicznym nabożeństwem — poddany racjonalistycznej analizie straciłby znacznie na swej rzekomej głębi. Lecz owe frazesy stanowią magiczne inkantacje niepodlegające krytyce. Lektura Marksa, Engelsa, Lenina traktowana jest jak recytacje świętych tekstów a nie jak studium naukowe.

Analityczne studium, które odsłoniłoby w pełni ów proces staczania się ku prymitywnej magii ruchu politycznego, który szczylił się swym wojującym ateizmem, przekracza skromne ramy niniejszej książki, choć niewątpliwie omówienie tego problemu byłoby fascynujące.

Cokolwiek nie powiedziałyby się o dziele danego pisarza — on sam jest najsamotniejszym z samotnych. Gdy w nocy przy swoim biurku wydobywa z wyobraźni treść swej książki jest w tej pracy bardziej samotny niż ktokolwiek inny. Jest osaczony przez myśli, obrazy i wizje, które musi ujarzmić i ująć w kompozycyjną całość. Jeżeli nawet dany pisarz jest lichym pisarzem to niemniej stara się dotrzeć do prawdy, do prawdy, którą widzi w ramach swych ograniczonych możliwości. I owe ograniczenia wewnętrzne i zewnętrzne w poszukiwaniu prawdy decydują o randze pisarza.

Dla mnie osobiście nie wydawało się to ani dziwne ani zagadkowe, że pierwsi, którzy na Węgrzech powstali przeciwko tyranii komunistycznej to byli pisarze. Akcja węgierskich pisarzy dyktowana była logiką, która w pełni dotyczyła i mojego istnienia, jak również licznych moich przyjaciół związanych ze mną od lat. Protest węgierskich pisarzy był upostaciowieniem tragicznego dylematu pisarza w naszej epoce.

Cały ten problem sprowadza się do prostego stwierdzenia, że pisarz skazany jest na śmierć pod rządami tyranii. Nie wiem czy rozwój literatury jako gałęzi sztuki jest zasadniczą koniecznością w społeczeństwie wolnych ludzi. Wiem natomiast z całą pewnością, że literatura jest wykwitem kulturalnym społeczeństwa wolnych ludzi i wiem również, że tam gdzie wygasa wolność — literatura zamiera.

Pod rządami tyrana lekarz może kontynuować swoją pracę. Budowniczy może budować domy równie piękne i solidne a nawet robotnik nie traci swej pozycji w procesie krajowej wytwórczości. Lecz od pisarza tyran domaga się rzeczy, która stanowi antytezę istoty jego sztuki — to jest posłuszeństwa.

W poprzednich rozdziałach niniejszej książki starałem się udowodnić, że istota partii komunistycznej nie jest dziełem przypadku, lecz przeciwnie jest logicznym rezultatem struktury i historii tej organizacji. Również nie jest przypadkiem, że właśnie partia komunistyczna przyciąga

pisarzy — choć jakże często pisarze opuszczają ją zrozpaczeni i złamani.

Istotą sztuki pisarskiej, upostaciowanej w dziele literackim, jest współczucie. Pisarz jako człowiek nie rodzi się bardziej litościwy niż inni ludzie, ponieważ jednak jego praca obejmuje dramat człowieka na tle problemów społecznych — wyrabia się w nim z czasem głębokie znawstwo ludzi i współczucie dla ich losu.

Są pisarze „chłodni”, „logiczni”, „obiektywni” — lecz osobiście nie zetknąłem się nigdy z pisarzem, który by nie odczuwał miłości i współczucia dla ludzi. Bo w ostatecznym rachunku ludzie, ich pasje, problemy i dramaty, są jego tworzywem.

W tym świetle może bardziej zrozumiały wyda się czytelnikowi fakt, że tak wielu pisarzy związało się z komunizmem. Taki krok wydawał im się logiczną konsekwencją ich pisarskiego powołania. Z dna ludzkiej nędzy i współczesnych tragedii wypatrywali ideału sprawiedliwości społecznej i partia komunistyczna jawiła się przed ich oczami jako organizacja dysponująca realnymi możliwościami zniesienia wszelkich form wyzysku człowieka przez człowieka. Znacznie trudniej przychodziło im pojąć, że w ramach fanatycznej organizacji o żelaznej dyscyplinie oni sami staną się ofiarami ucisku i w końcu będą musieli zdecydować się albo opuścić Partię, albo zrezygnować z rozwoju swej sztuki i kariery pisarskiej.

W poprzednich rozdziałach niniejszej książki odmawiałem okoliczności i stosunki, które w końcu spowodowały moje wystąpienie z partii komunistycznej. Nie opisałem jednak dotąd wewnętrznego procesu moich doświadczeń jako pisarza — procesu, który szedł po tych samych liniach i prowadził do tej samej decyzji.

Jakikolwiek byłby wpływ czy oddziaływanie kapitalizmu na pisarza, to przecież należy stwierdzić, że system kapitalistyczny nie wywiera na artystę owego subtelного i zabójczego nacisku jak system komunistyczny. W świecie kapitalistycznym nie istnieje również instytucja „arcykapłana”, który decyduje o wszystkim, z literaturą włącznie. Historia literatury w krajach kapitalistycznych roi się od pisarzy, których dzieła jakże często zwracały się przeciw systemowi i władzy. Podejmując tę krytykę pisarze zyski-

wali równocześnie sławę i powszechny rozgłos. Dickens, Dreiser i Zola świetnie reprezentują tę klasę pisarzy.

Innymi słowy, system kapitalistyczny może uciskać czy krzywdzić pisarza, lecz pisarz zatrzymuje w pełni przy wilej obrony i walki. Demokratyczny kapitalizm nie może ujarzmić siły twórczej pisarza, nie może tej siły z niego wydrzeć — jako jedyną alternatywę ofiarując śmierć.

W demokratycznym społeczeństwie kapitalistycznym wielki pisarz czy artysta zajmuje tradycyjnie wysoką pozycję. Nawet jeżeli jego sztuka nie jest przez współczesnych w pełni rozumiana — cieszy się on szacunkiem i uznaniem.

W systemie komunistycznym jeżeli pisarz popadnie w konflikt z doktryną „arcykapłanów”, cała jego sztuka staje się nagle godna pogardy.

Chciałbym zilustrować ten problem kilku przykładami z moich osobistych doświadczeń w amerykańskiej partii komunistycznej. W owym okresie trzynastu lat, kiedy byłem członkiem Partii, żaden z przywódców partyjnych nie rozmawiał ze mną na temat moich książek czy artykułów. Tematy literackie poruszano tylko wówczas, gdy jakiś dygnitarz wysuwał przeciwko mnie oskarżenie o odchylenie od „linii partyjnej”. Gdy nadeszła wiadomość, że otrzymałem stalinowską nagrodę pokojową — Betty Gannett z sekretariatu Partii wykrzyknęła: „No, teraz będzie go jeszcze trudniej okiełznać niż dawniej!”

Przywódcy partyjni zwracali się do mnie tylko w dwóch wypadkach. By mi udzielić nagany za takie czy inne odchylenie od linii partyjnej, lub gdy któryś z nich chciał wykorzystać moją pracę dla swoich celów i rozgrywek.

Gdy w roku 1946 Albert Maltz przysłał do redakcji „New Masses” artykuł, w którym poddał raczej oględnej krytyce sekciarski i ciasny punkt widzenia Partii w odniesieniu do twórczości literackiej, potraktowano go jakby się dopuścił ciężkiej zbrodni. Wśród tych, którzy zaatakowali jego artykuł, w sposób oczywiście przesadny, byłem i ja, czego nigdy sobie nie wybaczę — tym bardziej, że Maltz jakże łatwo mi wybaczył. Zwolano wówczas specjalne zebranie. Mike Gold zademonstrował Maltza posługując się językiem wręcz patologicznym.

Fakt, że Albert Maltz był pisarzem z talentem i człowiekiem o nieskazitelnym charakterze nie miał znaczenia.

Ja również byłem atakowany przez prasę amerykańską i nazywany „narzędziem Moskwy”. Lecz Maltz był denuncjowany i potwarzany przez swoich własnych kolegów. To, czego dopuścił się Maltz, to nie był błąd. To był grzech. I dlatego należało go upokorzyć i zmusić do całkowitej kapitulacji. W oczach Partii utracił jakąkolwiek pozycję pisarską i wszelki honor. Przywództwo partyjne obserwowało tę nagonkę z aprobatą i zadowoleniem. Dla tych panów ważne bowiem było tylko to, by czystość linii partyjnej została utrzymana, a jeżeli przy tej okazji zniszczono człowieka — był to szczególnie zupełnie nieważny.

Podobny obraz przedstawia sprawa Earla Conrada, który tak wiele uczynił i napisał w sprawie Murzynów amerykańskich. Nie wiem czy Earl Conrad był komunistą. Z materiału informacyjnego jaki zdołałem zebrać w tej sprawie wynikałoby, że komunistą nie był. Lecz dzięki swemu stanowisku w odniesieniu do kwestii murzyńskiej wyrobił sobie w postępowych kołach amerykańskich poważną reputację. W formowaniu opinii w tych kołach, komunistyczni intelektualści odgrywali ważną rolę.

Gdy ukazała się książka Earla Conrada pt. „Rock Bottom” — Partia zmobilizowała przeciw niemu wszystkie swe siły. Nie wystarczyło, że przywództwo partyjne obwieściło oficjalnie, iż poglądy wyrażone w cytowanej książce odbiegają od linii partyjnej. Postanowiono użyć wszystkich środków, by zniszczyć Earla Conrada tak jak zrujnowano i zniszczono Alberta Maltza. Ponieważ Conrad nie był członkiem Partii sprawa była trudniejsza. Jednak wpływy Partii w kołach postępowych były tak potężne, iż powiodło się wmówić w tysiące ludzi, że Earl Conrad jest w gruncie rzeczy moralnym degeneratem.

Ci, którzy pamiętają ten epizod, przypomną sobie zapewne artykuł J.F. Stone w „Compass”, w którym krytyk ów stwierdził, że przeczytał książkę Earla Conrada i nie znalazł w niej nic, co by budziło jakiegokolwiek wątpliwości. Nikt, kto znał Conrada, ani przez chwilę nie przypuszczał, że mogłoby być inaczej. W mojej opinii Conrad w tej książce stoi niezłomnie na stanowisku społecznej sprawiedliwości i równości. Jednak gdy wówczas wypowiedziałem kilka zdań w jego obronie, zagrożono mi wydaleniem z Partii. Wysłunięto natychmiast pod moim adresem tyle podejrzeń i zarzutów, że w ich świetle miałbym pełne

kwalifikacje na „kontrewolucjonistę”, choć tego epitetu używa się w stosunku do mnie dopiero ostatnio.

Warto może wspomnieć, że książkę Earla Conrada dałem wówczas V.J. Jerome, uznanemu przez Partię komisarzowi dla spraw kultury — i prosiłem go usilnie, by ją sam przeczytał i wydał w tej sprawie niezależny wyrok. Lecz lęk Jerome'a był większy niż jego poczucie sprawiedliwości i obiektywizmu. Na wszystkie moje prośby i nalegania odpowiadał, że nie mógł znaleźć chwili wolnego czasu by przeczytać książkę Conrada. Być może, że pod wpływem wyrzutów sumienia w tej sprawie, powiedział mi w kilka lat później, iż interweniował czynnie i uniemożliwił wydalenie mnie z Partii za moją powieść „The Fallen Angel”.

Taki jest stosunek partii komunistycznej do pisarzy i artystów. W równej mierze ciasny jak i pełen pogardy. Lecz gwoli obiektywizmu należy stwierdzić, że w świecie niekomunistycznym również utrudniano mi pisanie tego, co chciałem.

18.

Jako członek zarządu Komitetu Anty-faszystowskich Uchodźców, byłem jednym z tych, którzy zostali powołani przed senacką komisję Komitetu Badania Anty-amerykańskiej Działalności. W owym czasie na czele tego Komitetu stali kongresmeni Wood i Rankin. Długo wlokący się proces i apelacje zakończyły się wyrokiem skazującym na karę więzienia za „obrazę Kongresu”. Od pierwszej chwili, tak ja, jak i inni członkowie Zarządu Komitetu Anty-faszystowskiego — odmówiliśmy wydania zarówno listy nazwisk ludzi którzy wspomagali pieniężnie działalność naszego Komitetu, jak również tych, którzy z naszej pomocy korzystali.

Uważałem, że jest to sprawa elementarnej przyzwoitości w stosunku do ludzi, którzy nam zaufali.

W chwili gdy szedłem do więzienia, łączono już publicznie moje nazwisko z partią komunistyczną. Wprawdzie nigdy w prasie nie stwierdziłem, że należałem do

Partii, ale także nigdy temu nie przeczyłem. Na rok przed moim pójściem do więzienia, to jest w lecie 1949, wydarzyły się niesłychane rozruchy w Peekskill. Historię tych rozruchów opisałem wyczerpująco i szczegółowo w książce pt. „Peekskill, U.S.A.”. Książka ta ustaliła moją reputację jako wojującego komunisty. Później, krok za krokiem, czy to chodziło o kampanię na rzecz Murzyna skazanego na śmierć, czy o szereg innych spraw, fala wydarzeń wyniosła mnie na czoło i w opinii publicznej jako pisarz stałem się postacią sztandarową Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych.

W tym okresie, jako zawodowy literat, zostałem doszczętnie zrujnowany. Upřednio miałem pełny dostęp do czytelnika nowojorskiego. Systematycznie i stopniowo ów dostęp zaczął się zwężać. Krytycy literaccy we wszystkim, co wychodziło spod mojego pióra, zaczęli dopatrywać się propagandy komunistycznej. Różne polityczne osobistości zaczęły organizować kampanię bojkotu. Moją książkę pt. „Citizen Tom Payne” wycofano z sieci bibliotek szkół nowojorskich za „czerwone fragmenty”.

Gdy w roku 1950 wyszedłem z więzienia przystąpiłem do pisania „Spartacusa” — największej i, w moim przekonaniu, najistotniejszej książki jaką do dziś napisałem. Po osiemnastu miesiącach pracy książka była gotowa, ale moja pozycja pisarska w amerykańskim świecie wydawniczym była całkowicie skończona. Siedem najwybitniejszych firm księgarskich odmówiło wydania „Spartacusa”. Doprowadzony do rozpaczki zdecydowałem się książkę wydać własnym nakładem. Niebawem „Spartacus” stał się „bestsellerem”.

Są to fakty dużej wagi. Krytykując politykę partii komunistycznej w stosunku do literatury i pisarzy, byłoby niewłaściwe utrzymywać równocześnie, że niekomunistyczna Ameryka ustosunkowuje się do literatury i pisarzy tak jak winna to czynić nowoczesna demokracja. W mojej opinii fakt, że społeczeństwo demokratyczne nie funkcjonuje bezbłędnie, niczego nie dowodzi. Żyjemy w niedoskonałym świecie i ludzie dobrej woli zdają sobie z tego sprawę od stuleci. Inne momenty są jednak bardziej istotne.

W Stanach Zjednoczonych zostałem ograniczony w moich przywilejach i funkcjach pisarskich. Musiałem sam wydawać moje książki, co narażało mnie na wielkie

wydatki a często na straty finansowe. Z pozycji pewnego dobrobytu i sukcesu zostałem zepchnięty na dno walki o byt, a moje książki i praca literacka stawały się coraz mniej znane.

Lecz gdy to wszystko zostało powiedziane trzeba stwierdzić, że istotne są inne fakty:

1. Nie przestałem pisać.
2. Żyłem.
3. Nie ustawałem w walce o niezaprzeczalne moje prawo do pisania i publikowania tego, co uważałem za słuszne.

Wyliczam te fakty w takim porządku jaki mi się w tym najcięższym okresie mojego życia nasunął. Byłem w opozycji do polityki rządu amerykańskiego i nie robiłem z tego przed nikim tajemnicy. Nie prosiłem o łaskę, ale i sam walczyłem bez pardonu. A mimo to fakty wymienione w punktach od 1. do 3. — pozostały faktami.

Mój kolega, pisarz w Związku Sowieckim, ani nie zwalczał polityki swego rządu, ani nie był w opozycji. Nie usiłował tego rządu zmieniać, ani nawet na niego wpływać. Co najwyżej usiłował pisać nieco swobodniej.

Lecz w rezultacie owe trzy punkty w odniesieniu do jego sytuacji przedstawiają się zgoła inaczej.

1. Musiał przestać pisać.
2. Nie żył. Poddano go torturom a następnie uśmiercono.
3. Nie mógł kontynuować walki o niezaprzeczalne prawo pisania i ogłaszania tego co uważał za słuszne.

Gdyby nie istniał czarno na białym tajny raport Chruszczowa i szereg innych informacji ze źródeł komunistycznych, które ów raport wydobył na światło dzienne, to co powyżej napisałem o losie pisarza sowieckiego można by kwestionować. Bo istotnie tego rodzaju konkluzje nie mają nic wspólnego ani z logiką ani ze zdrowym rozsądkiem normalnego człowieka. I w naszym świecie zdarzają się brutalne i bezsensowne mordy. Lecz brutalne i bezsensowne mordowanie pisarzy dokonywane przez rząd, który mieni się być rządem socjalistycznym — jest aktem tak paradoksalnym i absurdalnym, że graniczy z chorobą umysłową.

Wielu ludzi nie zdaje sobie dokładnie sprawy co powoduje ów opór przeciw komunizmowi już dziś w skali światowej, podjęty przez pisarzy, którzy w większości należeli do partii komunistycznej. Na innym miejscu tej książki usiłuję wyjaśnić jakie przyczyny składają się na fakt, że pisarze walkę o wolność uczynili niejako swoją sprawą zawodową. Lecz jest rzeczą wielkiej wagi zapoznać się wpierw z odwrotnością tego procesu w Rosji i w krajach Wschodniej Europy.

W świecie zachodnim istnieje daleko szersza i bardziej intymna znajomość przed-komunistycznej rosyjskiej literatury, niż dygnitarzom sowieckim to się wydaje. Wielcy pisarze rosyjscy, jak Tołstoj, Dostojewski czy Gogol, wywarli ogromny formatywny wpływ na zachodnie powieściopisarstwo. To samo można powiedzieć o dramacie, a przede wszystkim o noweli. Trudno jest sobie wyobrazić poważnego nowelistę zachodnio-europejskiego, który by nie podziwiał i nie studiował nieporównanych, mistrzowskich nowel rosyjskich. Jeżeli tak jest na Zachodzie to o ileż bardziej pisarze rosyjscy muszą być świadomi swojej wielkiej literackiej przeszłości.

Złożyło się wiele przyczyn na ów wspaniały rozkwit literatury rosyjskiej. Nagłe zderzenie się feudalnej, zapóźnionej Rosji z Zachodem, z zachodnią sztuką — wyzwoliło wprost renesansową sytuację w dziewiętnastym wieku na ziemi rosyjskiej. Wybuchowy, świetny rozwój piśmiennictwa rosyjskiego nosił znamiona ruchu odrodzenia. Straszliwe kontrasty w stopie życiowej i zamożności: bogactwo i prymitywna nędza sąsiadujące ze sobą, natchnęły wybitnych pisarzy rosyjskich duchem współczucia o nasileniu nie spotykanym gdzie indziej. Specyficzny układ warunków uchronił pisarzy rosyjskich przed płytkim sentymentalizmem ich współczesnych zachodnich kolegów i pozwolił im rozwinąć własną, realistyczną metodę twórczości.

Jak wszyscy wielcy pisarze na tym świecie, pisarze rosyjscy dziewiętnastego wieku nie pisywali hymnów i peanów, ale nie wygłaszali również kazań. Obnażali życie z fałszu i zakłamania walcząc nieznużenie przeciw hipokryzji, bigoterii i płyciznie. A tworzyli w języku, który wedle słów Łomonosowa „posiada wspaniałość mowy hiszpańskiej, żywość francuszczyzny, moc niemczyzny, delikat-

ność języka włoskiego, a przede wszystkim zwięzłość łaciny i potęgę ewokacji klasycznej greczyzny”.

Doprawdy trudno się dziwić ich osiągnięciom. Lecz równocześnie przed-komunistyczni pisarze rosyjscy pozostawili w spadku swym następcom w Rosji komunistycznej niełatwy problem.

Byłoby bez sensu zastanawiać się i spekulować jaką byłaby literatura w świecie, który jest nam nieznany. Z historii wiemy, że najświetniejsze literatury były krytyczne, niecierpliwe, poszukujące. Gdy wielkie problemy i konflikty danej epoki tracą z biegiem czasu na ostrości, skłonni jesteśmy literaturę danego okresu oceniać innymi kryteriami. Lecz w gruncie rzeczy tylko postawa badawcza, poszukująca, krytyczna zapewnia dziełu literackiemu trwałość i decyduje o jego wielkości. Można nawet powiedzieć więcej: postawa krytyczna decyduje nie tylko o wielkości literatury, lecz leży u podstaw jej egzystencji. Jeżeli zabrania się krytyki, swobodnego badania, analizy, poszukiwań, jeżeli potępia się tych, którzy mają odwagę myśleć samodzielnie, wówczas godzi się nie tylko w sens lecz i w samoistnienie literatury. Nie istnieje bowiem bierna literatura. Bierność jest antytezą wszelkiej twórczości. To jest tak oczywiste, że powtarzanie tych prawd jest żenujące.

Innymi słowy należy stwierdzić, że każda działalność literacka z samej swej istoty jest zawsze niebezpieczna dla tyranii. Jednak z różnych przyczyn natury historycznej i socjalnej bardzo mało pisarzy padło ofiarą tyranów. Jedną z przyczyn jest fakt, że zazwyczaj okoliczności w jakich tyran zdobywa władzę uniemożliwiają mu z góry zgłaszanie pretensji, iż zawsze i we wszystkim słuszność była po jego stronie. Drugą przyczyną był wgląd na opinię międzynarodową. Od najdawniejszych czasów cywilizowane społeczeństwa patrzyły z oburzeniem na prześladowanie pisarzy i twórców.

Rosja postawiła świat cywilizowany przed nową sytuacją. Stworzyła nieznany dotąd aparat absolutnej władzy w postaci partii komunistycznej. Zbudowano wielki nowoczesny przemysł pośrodku społeczeństwa, które nie posiada własnego rządu. Władza wykonywana jest poprzez gigantyczną maszynę biurokratyczną, którą Partia kontroluje z absolutną doskonałością. Wybory, parlament, sąd, policja — to są w Rosji tylko historyczne terminy, którym

nie odpowiada treść. W gruncie rzeczy są to tylko instrumenty totalnej władzy Partii. Utworzenie frakcji czy innych partii politycznych należy uznać w Rosji za wykluczone dopóki partia komunistyczna utrzymuje swą monolityczną jedność.

Ten obraz sytuacji znajduje pełne odbicie w literaturze sowieckiej. Żywotność i dynamika rosyjskiej literatury w latach dwudziestych była konsekwencją wojny domowej i okresu, który poprzedzał konsolidację władzy i aparatu. Partia Komunistyczna była jeszcze zbyt słaba i zbyt mało zwarta, by narzucić pisarzom swoją wolę.

Nagle ożywienie literatury w okresie inwazji niemieckiej było spowodowane wybuchem patriotyzmu i poczucia solidarności, które w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa hitlerowskiego zjednoczyło w danym momencie historycznym cały naród rosyjski. Jednak ożywienie jakie obserwowaliśmy w okresie inwazji hitlerowskiej nie może być porównane z rewolucyjnym dynamizmem i witalnością lat dwudziestych. Wojenna literatura sowiecka dorównywała swą wielkością dawnej literaturze rosyjskiej tylko w jednym aspekcie, to jest w opisach walki i obrony kraju, ponieważ w tym okresie zasadnicze prawa pisarza, dotyczące analizy i krytyki rzeczywistości, były już pogrzebane. Prawo do opozycji i prawo do krytyki należały do przeszłości. By to „reductio ad absurdum” było całkowite — prawo do opozycji i krytyki zastąpiono instytucjonalnym obowiązkiem fałszowania oryginalnych pojęć i idei socjalizmu. Proces ten polegał na metodzie zastąpienia namiastką moralności rzetelnej moralności, opartej na sprawiedliwości i prawie domagania się sprawiedliwości. Owa „namiastkowa” moralność składa się z kodeksu „purytańskich” sloganów, maksym, norm i haseł, uformowanych przez ciasnych i mętnych komisarzy.

Zilustrujmy rzecz kilku przykładami.

Zamiast podjąć słuszne i konkretne reformy zmierzające do pełnego uprawnienia kobiet w kraju, gdzie problem ten w jego aspekcie społecznym pozostawał wiele do życzenia — wskrzeszono serię wiktoriańskich, pruderyjnych „maksym” odnoszących się do problemu płci. Maksymy te nie mają nic wspólnego z rzeczywistością i nie mają żadnej szansy wpłynąć na zmianę aktualnej rzeczywistości. Niemniej, owa sloganowa rzeczywistość jest oficjalną rzeczy-

wistością. Natomiast aktualna rzeczywistość jest wyklęta i wskutek tego musi być przemilczana.

Zamiast podjąć inteligentny wysiłek w celu zrozumienia problemów młodzieży stwarza się oficjalną kliszę, na której młodzież wygląda jak wycięta z serii „Rover Boys” z 1900 roku. Ta klisza obowiązuje jako oficjalna rzeczywistość. Oczywiście owa „urzędowa” rzeczywistość nie ma nic wspólnego z aktualnym stanem rzeczy, lecz dla pisarza „urzędowa” rzeczywistość jest obowiązującym prawem. Pod rygiem kary i prześladowania oficjalne klisze musi przyjąć za aktualną rzeczywistość.

Zamiast podjąć szczerzy wysiłek w kierunku zrozumienia i poznania Ameryki i Amerykanów, żucie gumy identyfikowano z hitleryzmem i faszyzmem. Zamiast starać się wnikać w sytuację i potrzeby robotnika niemieckiego, z pism Lenina wycina się portret niemieckiego robotnika i przedstawia się jako aktualny „model”.

Lecz przede wszystkim rzeczywistością wyjętą spod wszelkiej analizy i badania jest ów gigantyczny pająk, który swą siecią skrępował całość życia w Rosji. Mam na myśli wielogłowego komisarza-tyrana to jest sowiecką partię komunistyczną. Nikłą nadzieję, że Partia ulegnie przemianom, że stanie się bardziej ludzka i humanistyczna pod wpływem odważnej, krytycznej działalności wybitnych pisarzy, nadzieję tę definitywnie pogrzebano gdy Trocki i ludzie zgrupowani wokół niego zostali pokonani, wygnani i zamordowani.

Tak oto pisarz został nie tylko wynaturzony w swej roli jako twórca artysta, lecz na skutek istotnych racji swego zawodu przemieniony we wroga Partii. Stwierdzam, w oparciu o obserwacje i doświadczenie całego mojego życia, że każdy pisarz bez względu na to jakby wydawał się lojalny i oddany, jest, w stosunku do partii komunistycznej obecnie istniejącej, potencjalnym wrogiem.

Gdy to, co wyżej powiedziałem, właściwie pojmiemy wiele zagadnień, które wydawały się dawniej niejasne, dojrzymy w nowym świetle. Sowiecka Partia Komunistyczna zniszczyła rosyjską literaturę nie dlatego, że przywódcom na Kremlu nie zależy na wielkiej literaturze, ale dlatego, że było to koniecznością dyktowaną wymogami obrony Partii i jej dyktatury.

Jeżeli ktoś miałby czas i dostateczną energię, by przeczytać, powiedzmy, setkę sowieckich powieści od roku 1919, mógłby dokładnie prześledzić ten proces. Czytelnik podejmujący to zadanie zachwyciłby się świeżością i żywotnością powieści napisanych w latach dwudziestych i w początkach lat trzydziestych. Zdumiałby go natomiast gwałtowny spadek poziomu w okresie poprzedzającym drugą wojnę światową. Z świeżym zainteresowaniem i niezadko z zachwytem podjąłby lekturę powieści okresu wojennego. Kilka powieści tego okresu jak na przykład Wasyla Grossmana „Nie ma pięknych nocy”, czy Leonowa „Kwadryga Gniewu” stanowią wybitne osiągnięcia. Lecz niemal bezpośrednio po tym wzlocie następuje upadek i grzęźnięcie w przeraźliwie nudnej paplaninie co trwa od końca wojny po dzień dzisiejszy.

Warto może wspomnieć, że w krytycznym eseju napisanym przed ośmiu laty, broniąc pozycji komunisty na polu twórczości artystycznej natknąłem się na ów wyżej zacytowany problemat literatury sowieckiej i nie umiałem go wyjaśnić. Lecz wówczas owoce powojennego okresu w literaturze sowieckiej nie były jeszcze w pełni znane.

Za punkt wyjścia w cytowanym eseju przyjąłem czerpiącą opowieść Walentina Katajewa pt. „Pokój jest tam gdzie szaleje burza”. Powieść ta ukazała się w początkach lat trzydziestych. Na tej książce postanowiłem się oprzeć pragnąc wykazać osiągnięcia sowieckiej literatury. Książka Katajewa, wraz z heroicznymi opowieściami Szołochowa o Dońskich Kozakach, stanowiły doskonałe otwarcie zamierzonego studium. Lecz z chwilą gdy chciałem rozwinąć i poszerzyć ów esej rozpoczęły się trudności. Napisałem do Moskwy lecz Rosjanie odpowiedzieli — nie ukrywając zniecierpliwienia — że Katajew nie napisał niczego więcej. Jest zbyt „leniwy” by się przymusić do pisania. Na temat Szołochowa również unikano konkretnych odpowiedzi. O kilku innych pisarzach, o których zapytywałem, miarodajne źródła moskiewskie nie miały niczego do powiedzenia poza tym że są „leniwi”. Moi rosyjscy korespondenci wyjaśnili mi że w ich rajskim kraju honoraria autorskie są tak olbrzymie, że nie ma powodu się przepracowywać.

W okresie wojny powstały dzieła bardzo nierówne. I tak na przykład to, co napisał Simonow o Stalingradzie

jest de facto czymś w rodzaju zabawy „w złodziei i policjantów” w wersji sowieckiej. Polowy w swojej „Historii prawdziwego człowieka” nie zadał sobie nawet trudu pokazania czytelnikowi śladu prawdziwego człowieka. Gdy kiedyś w czasie wizyty Polowego w moim domu zapytałem go jak mógł scenę w sypialni siostry szpitalnej — seksualizm i miłość — zredukować do poziomu taniej nowelki dla pensjonarek, uśmiechnął się głupio i odparł: „Radzieccy ludzie lubią ten typ opisu”.

Równocześnie jednak opowiadania Sobolewa, pisane w czasie działań wojennych i w dużej mierze oparte na jego osobistych przeżyciach, są (zwłaszcza niektóre z nich) małymi arcydziełami.

Lecz to wszystko dotyczy świetności literatury rosyjskiej minionej dekady. Trzeba by długo szukać i sądzę, że w całej Ameryce by się nie znalazło równie złej powieści jak Sobka „Gwarancja pokoju”. A przecież był to sowiecki „bestseller”.

Czytelnik amerykański może zacytowałby w tym miejscu obrzydliwe i niemoralne książki Mickey Spillane’a. Istotnie, trzeba powiedzieć, że takie książki nie ukazują się w Rosji. Książki Spillane’a należą do tych plag, które demokratyczne społeczeństwo musi znosić. Lecz w Ameryce nie brak ludzi, którzy bez obsłonek mówią czym te książki są de facto. W Rosji nikt nie śmiałby szczerze i prawdziwie nazwać „po imieniu” powieści Sobka.

„Gwarancja pokoju” nastrojona jest na najwyższy ton moralny. Wszyscy ludzie występujący w tej książce zachowują się jak wzorowe panienki z pensji znanej z pruderii i bigoterii. Lecz w sumie książka od pierwszej do ostatniej strony jest obrzydliwym kłamstwem. Tematem jej są okupowane Niemcy. Istota kłamstwa tej książki i fałszowania rzeczywistości jest tego samego gatunku jaki stosowano opisując sytuację na Węgrzech przed rewolucją.

Od czasu natrafienia na ową „perłę” — Sobka, kolekcjonowałem wszystkie przekłady z literatury rosyjskiej. Cała ta literatura jest identycznego pokroju. Wiktorianańska pruderia i zakłamanie. Wyjątek od tej reguły stanowią w mojej kolekcji trzy pozycje. Dwie z nich to utwory przełożone na język angielski zagranicą wbrew woli władz sowieckich.

By jednak w pełni ocenić poziom i wyraz współczesnej literatury rosyjskiej trzeba zadać sobie trud i czytać sowieckie książki. Nigdy dotąd w dziejach ludzkości nie płodzono i nie wydawano równie niewiarygodnie nudnych tomów. W tych powieściach nie ma ani dreszczu emocji, ani konfliktu, ani wewnętrznych zmagani bohaterów, ani walki. Zawsze chodzi tylko o wyrobienie „normy”.

Bohater pozytywny czy zbrodniarz stanowią niezmienny stereotyp bez względu na tło, akcję czy sytuację. Postacie te są wycięte dokładnie według wzorca, który w Ameryce doprowadzili do szczytów doskonałości Horatio Alger i Nick Carter. Wystarczy tylko zamienić „osiągnięcia partyjne” na „bogactwo i sukces”, bo wszystko inne jest identyczne.

Literatura ta stanowi paradę wiktoriańskiej „moralności”, której twórcą i inicjatorem był Stalin. Każda stronica roi się od podręcznikowych „złoty myśli” i dobrych rad na wszystkie życiowe okazje. Czytelnicy z mojej generacji pamiętają zapewne „Rover Boys”. W opowieściach tych każdy łotr i łajdak pod zbawiennym wpływem nieskazitelnych „Rovers” wstępował zawsze na ścieżkę cnoty i rozpoczynał nowe życie. Trzeba tylko kryształowych „Rovers” zastąpić kryształowymi komisarzami i obraz będzie kompletny.

Czy można się dziwić, że w takiej sytuacji pisarze rosyjscy, analizując swoje dozwolone perspektywy, doszli do wniosku, że tworzenie dobrej literatury nie jest w Rosji możliwe, ponieważ doskonałość sowieckiego ustroju usunęła wszelkie konflikty.

Czytelnik może zauważyć, że Hitler również zlikwidował wszystkie konflikty wewnątrz Niemiec z wiadomymi konsekwencjami. Ale nawet gdyby tego rodzaju analogie trafiły pisarzy rosyjskich nie miałoby możliwości by je wypowiedzieć.

Wyjątki o których wspominałem powyżej to przede wszystkim „Odwilż” Erenburga. Książka słabo napisana lecz niemniej stanowiąca próbę analizy rzeczywistości. Drugą pozycję stanowi „Nie samym chlebem”. Powieść ta jest przedmiotem nieustannych oficjalnych ataków w Związku Sowieckim. I wreszcie wymienić tu należy czarującą książkę Jefremowa. Są to nowele typu „fantas-

tyczno-naukowego". Z wyżej wymienionych jedynie ta książka otrzymała oficjalny „imprimatur” sowieckich władz na publikację w obcych językach.

„Odwilż” i „Nie samym chlebem” stanowią przebliski sytuacji jaka powstała w Rosji w wyniku XX Kongresu. Nie są to może dzieła wybitne, lecz przecież „inne” i zostały entuzjastycznie powitane przez wyposzczoną publiczność rosyjską. Oficjalni komisarze partyjni wyjaśnili jednak jasno i dobitnie, że tego rodzaju „zamazywanie” rzeczywistości nie będzie tolerowane. Pisarze rosyjscy pamiętają dobrze jaki los spotkał ich kolegów za podobne „przewiny” w stosunkowo niedawnej przeszłości.

Wszystkich pisarzy rosyjskich, których spotykałem, wypytywałem o Jefremowa. Jest rzeczą charakterystyczną, że nie umieli, względnie może nie chcieli o nim niczego powiedzieć. Tak czy inaczej Jefremow wygrał los, gdyż Politbiuro jest najwyraźniej zdezorientowane i nie ma gotowej odpowiedzi na ten typ literatury odmalowującej wizję przyszłości.

Narody wschodnio-europejskie — sądząc po braku przekładów — nie dały nic wartościowego, co raczej nie jest dziwne po dziesięciu latach uprawiania „socjalistycznej” kultury. Być może, że istnieją jedna lub dwie dobre książki na które się natknąłem. Jeżeli tak jest — gotów jestem przeprosić autorów. Lecz dyplomaci krajów wschodnio-europejskich, interesujący się literaturą, w rozmowach ze mną wyrażali opinię, że w ich krajach powstaje tak mało rzeczy godnych druku, iż nie należy oczekiwać przekładów. Jest to zresztą całkowicie zrozumiałe w świetle wydarzeń na Węgrzech i w Polsce.

Tak oto zaczynamy rozumieć dlaczego pisarz znalazł się w celi śmierci. W ramach swego rzemiosła wypracował matematyczny dowód, że doktryna, którą kiedyś wielbił, mieści w sobie piekło i fakt posiadania owego dowodu czyni go niebezpiecznym. Być może iż ku większej chwale pięknego pisarskiego powołania pisarz okaże się dość niebezpieczny, by pomóc w obaleniu tego ustroju.

Czy jest w tym coś dziwnego, że ja sam będąc pisarzem z losu pisarzy uczyniłem główny problem mojej książki? Sądzę że jest to naturalne. Ostatnio, gdy już skończyłem pierwszą część niniejszej pracy, władze sowieckie zdecydowały się przerwać długotrwałe milczenie w sto-

sunku do mojej osoby. Nie wiem jakie motywy kryją się za tą decyzją, w każdym razie nie jestem już „człowiekiem, którego nigdy nie było”. Jestem Howardem Fastem — ostatnim nazwiskiem na długiej liście renegatów. Oskarżono mnie o zapożyczanie fałszywych argumentów z światowej centrali propagandy antykomunistycznej. Wedle moich oskarżycieli powtarzam również fałsze i oszczerstwa wynalezione... przez reakcyjnych agentów syjonizmu.

Według sowieckiej nomenklatury „reakcyjnym syjonistą” jest ten, kto popiera istnienie państwa Izraela a więc kraju, gdzie mogą znaleźć schronienie Żydzi cierpiący prześladowanie. Ponieważ Rosja jest czynnie zaangażowana w wielkiej grze o naftę Środkowego Wschodu państwo Izraela uważa za groźbę dla swych własnych interesów. Dlatego powrót Żydów z innych krajów do ich ojczyzny nie jest sprawą prostą. Sowiecka opinia w kwestii żydowskiej jest mieszaniną ignorancji, uprzedzeń i tajnego antysemityzmu.

Do tej pory władze sowieckie nie dały żadnych wyjaśnień ani w sprawie likwidacji dzieł kulturalnych w yidisz na obszarach Związku Sowieckiego, ani w sprawie wymordowania najwybitniejszych żydowskich pisarzy i krytyków. Mimo, że zarówno partie komunistyczne brytyjska jak i kanadyjska wysłały w tej sprawie do Rosji specjalne delegacje, władze sowieckie jak dotąd nie uznały za stosowne udzielić na ten temat jakichkolwiek wyjaśnień.

Gdy na łamach „Daily Worker” omawiałem fakt odmowy przez władze sowieckie wiz wyjazdowych Żydom, obywatelom sowieckim, nazwałem tego rodzaju politykę nałożeniem masowego aresztu. Z powstaniem państwa Izraela ów problem nabrał nowego znaczenia.

Kłątwa rzucona na mnie przez władze sowieckie jest przejrzyście antysemitka. Bo termin syjonista oznacza Żyda. Ale istnieją dobrzy i źli Żydzi. Tylko dla Hitlera-rasisty wszyscy Żydzi byli źli. Źli Żydzi, obecnie, to są Żydzi żydowscy, ponieważ tym Żydom, którzy zachowują się „poprawnie” wybacza się ich przodków.

Przez dwadzieścia lat słuchałem wieści, które komuniści określają jako „oszczerstwa” rzucone na Związek Sowiecki. Słuchałem i nie wierzyłem. Jeżeli wielka bywa czasem potęga wiary, to mogę zapewnić mych czytelników, że potęga niewiary jest niemniejsza.

Nigdy nie czekałem na sowiecką odpowiedź lecz ilekroć natknąłem się na tego typu oszczerstwa, nie raz ale tysiące razy głosiłem: „to są kłamstwa, potwarze i oszczerstwa rzucane przez tych, którzy pragną zagłady sowieckiej republiki robotniczej”.

Lecz gdy dziś sam doszedłem do przekonania, mając przed oczami dowody, że owe kłamstwa są prawdą, odmawiam Sowietom prawa wskazywania na mnie palcem jako na zdrajcę. Nie jestem im nic winien i niczego im nie zawdzięczam i dlatego w stosunku do nich nie mogłem popełnić zdrady. Winienem natomiast wiele odwiecznej ludzkiej idei wolności i równości i tę ideę zdradziłem służąc im. Usprawiedliwić mnie może tylko moja ignorancja, która była równie straszliwa jak straszliwa jest prawda o komunizmie.

Ignazio Silone w liście do redaktora rosyjskiej „Gazety Literackiej” napisał niedawno, że gdyby poeta został zamordowany z polecenia rządu włoskiego, krzyk gniewu narodu włoskiego sięgnąłby niebios. Nie znam Włoch, lecz w kraju w którym poetę czy pisarza można bezkarnie torturować, bić a następnie rozstrzelać w poniżeniu, w takim kraju wolność jest czymś obcym i nieznanym.

Szukałem informacji o pewnym rosyjskim poecie. Wszyscy pisarze w pewnym stopniu są poetami. Lecz może właściwiej byłoby powiedzieć, że poeci stanowią specjalny rodzaj pisarzy. Poezje pióra wielkiego poety wyrażają pełniej niż jakiegokolwiek inne dzieło sztuki, istotę życia, dążeń i przeznaczenia człowieka.

Poeta, o którym wspomniałem, nazywał się Itzik Feffer. Wielu z nas poznało go tutaj w Ameryce w czasie jego bytności z misją sowiecką na początku wojny. Wysoki, przystojny, w mundurze pułkownika Czerwonej Armii, wydawał się symbolizować wykorzenienie antysemityzmu w Związku Sowieckim. Ponieważ Feffer był Żydem a równocześnie cenionym poetą i oficerem Armii Czerwonej wszystko co mówił owiane było umiłowaniem ojczyzny.

Jednak tuż przed XX. Kongresem sowieckiej partii komunistycznej nadeszła wiadomość, że Feffer nie żyje i że zmarł w dziwnych okolicznościach.

Pytanie: „co się stało z Fefferem?” kierowaliśmy pod adresem Rosjan setki razy i za każdym razem pytanie to pozostawiano bez odpowiedzi. Ci, którzy na to pytanie

odpowiedzieć nie chcieli, patrzyli na nas jak na ignorantów, niezorientowanych w politycznych subtelnościach mordowania poetów. Na kilka dni przed moim ostatecznym zerwaniem z Partią — zapytałem o Feffera nowojorskiego korespondenta „Prawdy”. Byłem już jednak niemiłe widzianym gościem w pięknym gmachu przy Park Avenue, ponieważ w „Daily Worker” i w „Mainstream” ukazały się moje pierwsze krytyczne artykuły.

Było to w czasie rojnego dyplomatycznego przyjęcia. Korespondent „Prawdy”, z którym rozmawiałem po angielsku, zwrócił się w pewnej chwili do mnie podrażnionym tonem: „dlaczego, Howard, mówicie ciągle o Żydach? Żydzi, Żydzi, Żydzi — to jest wszystko, co macie do powiedzenia. Czy sądzicie, że Stalin nikogo innego nie mordował tylko Żydów?”

Mogę przysiąc, że cytuje jego słowa dosłownie i wiernie. Pewne słowa ulatniają się jak dym, ale te wryły mi się w pamięć głęboko. Albowiem w ustach tego Rosjanina słowo „Żydzi” urosło nagle w mojej wyobraźni do symbolu epoki: brunatne koszule hitlerowców, komory gazowe, rzeźnie ludzkie, gdzie trupy pomordowanych Żydów przerabiano na mydło. Jednak nie odpowiedziałem wówczas korespondentowi „Prawdy”, bo obrazy i wspomnienia z przeszłości muszą być nieistotne dla kogoś komu trzeba je przypominać.

Po XX. Kongresie pytanie: „Gdzie jest Feffer i co się z nim dzieje?” — ze strony sowieckiej kwitowano w dalszym ciągu pogardliwym milczeniem.

Lecz śmierć wybitnego poety nie jest drobiazgiem, jak to sobie wyobrażają partyjni dygnitarze. Pewien Polak ze łzami w oczach opowiedział mi, że kursuje szereg wieści o losach Feffera. I tak, szczególnie po szczególnie zrekonstruowaliśmy historię poety. Po XX. Kongresie wielu zagranicznych komunistów odwiedziło Rosję i wielu komunistów z Rosji powróciło do swych krajów. Większość z nich знаła jeden lub dwa szczegóły z historii Feffera. Niektórzy z nich wiedzieli wiele. Być może moja rekonstrukcja nie jest idealnie dokładna, lecz ujmuje cały materiał jaki zdołałem zebrać.

Historia Feffera zaczyna się w chwili aresztowania Dawida Bergelsona — żydowskiego pisarza o światowym rozgłosie. Dlaczego go aresztowano tego nikt nie wie.

Tylko Rosjanie znają odpowiedź na to pytanie. Prawdopodobnie chodziło o syjonizm. Tak czy inaczej aresztowano go dlatego, że był Żydem.

Bergelsona osadzono w więzieniu i systematycznie bito, by wymusić na nim podpisanie z góry przygotowanych zeznań. Nie stosowano „prania mózgu” ani tajemniczych narkotyków. Używano wyłącznie pałki gumowej zgodnie z klasycznym zleceniem Stalina: „Bić, bić, bić — i jeszcze raz bić!”

Zanim jeszcze Bergelson umarł, Feffer zdołał dowiedzieć się o jego aresztowaniu i torturach. Będąc jego przyjacielem postanowił zrobić wszystko by go ocalić. Lecz wszyscy pisarze, do których zwracał się o pomoc, odmówili swego poparcia. Bali się i oświadczyli Fefferowi, że jeżeli nie zrezygnuje, jego starania skończą się tym, że sam zostanie aresztowany.

Wedle pogłosek Feffer zwrócił się do Erenburga, lecz i on odmówił. Erenburg cieszył się wówczas łaską Stalina i był wpływową osobistością. Wtedy Feffer miał powiedzieć Erenburgowi:

— Wobec waszej odmowy podejmę sam próbę ratowania Bergelsona. Jeżeli mnie zaaresztują i zabiją, moja śmierć obciąży do końca życia wasze sumienie.

I tak się stało. Działając wedle nakazu ludzkiego sumienia Feffer poniósł śmierć wraz z Bergelsonem.

Gdzież wówczas był Fadejew, który zastrzelił się po XX. Kongresie? Gdzie był Polowy, którego lubiłem i szanowałem jak niewielu spośród moich przyjaciół? Gdzie był Simonow? Gdzie był Szołochow? Gdzież byli ci wszyscy, którzy pouczają narody o honorze i uczciwości, gdzież byli wówczas ci apostołowie „socjalizmu”? Gdzież byli kaznodzieje i „sprawiedliwi mężowie” z „Gazety Literackiej”? Gdzież byli ci sowieccy pisarze, którym słowa „honor” i „kultura” nie schodzą z ust i dla których Ameryka jest krajem barbarzyńców bez kulturalnego dziedzictwa?

Prawda, zabiliśmy Sacco i Vanzetti — lecz nasz własny amerykański głos oburzenia i protestu wstrząsnął światem. A czyż ja milczałem kiedykolwiek w obliczu niesprawiedliwości popełnianych w moim kraju? A gdzież wyście byli, moi rosyjscy koledzy, gdy mordowano pisarzy w waszej ojczyźnie?

Opisując te wydarzenia, nie osłaniam ani nie zrzucam z siebie mojej winy. Z faktu, że podnosiłem tu zawsze protest przeciwko aktom niesprawiedliwości nie czynię drogi ucieczki, Joseph Clark, wówczas redaktor polityczny „Daily Worker'a”, a uprzednio jego korespondent w Rosji, w czasie jednej ze swych wizyt u nas, w styczniu 1957 roku, zwrócił się do mnie nagle głosem, który zdradzał gorycz i poczucie winy :

— „Gdybyś ty i Paul Robeson podnieśli głos protestu w roku 1949 — Feffer żyłby do dzisiaj”.

Nie mogę też zasłonić się wymówką, że w 1940 roku nie wiedziałem — przynajmniej w tym stopniu w jakim było to możliwe dla człowieka spoza Rosji — że Feffer stanął przed plutonem egzekucyjnym, a więc w pewnym sensie oskarżenie Clarka było uzasadnione. Lecz moi rosyjscy koledzy zarzucają mi bynajmniej nie to, że nie wiedziałem, czy że wiedząc, nie chciałem w to uwierzyć, przeciwnie, ich absurdalny zarzut brzmi, że zdradziłem ich, gdyż nie umiałem na ten temat dochować milczenia.

O, jakże łatwe są początki kariery pisarskiej. Kochamy się w muzyce słów i marzymy o książkach, które projektujemy w wyobraźni. Lecz nikt nam wówczas nie powie, że przyjdzie chwila gdy marzenia przerodzą się w namiętność a namiętność w przekleństwo. Niektórzy z nas uczą się w bólu i w męce. W końcu dochodzimy do przekonania, że wcześniej czy później musimy zniszczyć fałszywy obraz. Przeżywamy niejako odwrotność faustowskiej legendy, bo jeżeli nie zdobędziemy się na to by pluć w twarz szatanowi, kończymy naszą karierę sprzedając własne dusze.

Nie wydaję sądów o pisarstwie w ogóle — pragnę tylko wyjaśnić dlaczego jako pisarz musiałem opuścić szeregi partii komunistycznej. Mój zawód przestał być dla mnie źródłem radości. Napęlił mnie goryczą i przysporzył bolesnych wspomnień. Lecz nie proszę nikogo by ronił łzy nad pisarzami. Nasz zawód — niegdyś piękny i wzniosły — znowu odzyska pełnię blasku.

Nie mogę kochać Partii za to co nam uczyniła. Los tych, którzy umarli może nie był najgorszy. Nie tylko umarli zostali odarci ze wszystkiego — my żywi jesteśmy również nadzy.

Ja żyję, i Borys Polowy żyje. Byliśmy kolegami i towarzyszami w ruchu politycznym, któremu oddałem całe serce

i duszę. Polowy był przewodniczącym sowieckiego Związku Pisarzy a ja komunistycznym pisarzem w Stanach Zjednoczonych. Poznaliśmy się i zbliżyli wzajemnie drogą korespondencji. Z wymiany naszych listów wyrosła przyjaźń i wzajemny szacunek. Gdy wreszcie Polowy przyjechał do Nowego Jorku jako przewodniczący delegacji sowieckich pisarzy — padliśmy sobie w ramiona jak starzy, znający się od dawna przyjaciele.

Polowy był ogromnym mężczyzną o miłym, serdecznym uśmiechu. Moja żona zaprosiła go do nas do domu. „Nie boicie się gościć mnie u siebie w domu?” — zapytał. Nie baliśmy się i jakże cieszyliśmy się z tych odwiedzin. Obaj jako pisarze żyliśmy bujnie i dużo mieliśmy sobie do powiedzenia. Dyskutowaliśmy o polityce, o sztuce, o literaturze — w ciepłej atmosferze koleżeństwa. Cóż to był za wspaniały wieczór serdeczności, idei i wina.

Następnego dnia spotkaliśmy się ponownie na przyjęciu, wydanym dla delegacji sowieckich pisarzy. Polowy — podobnie jak poprzedniego dnia u nas — był serdeczny, szczery, otwarty.

Na przyjęciu było kilkanaście osób — Rosjan i Amerykanów. Nastrój jaki panował można by określić zdaniem: do diabła z polityką i z politykami! Zeszliśmy się by się lepiej poznać w atmosferze przyjaźni i koleżeństwa.

W czasie tego wieczoru nie odstępowałem Polowego. Zebrała się wokół niego grupa pisarzy i mówiliśmy o rosyjskiej literaturze i o naszych rosyjskich znajomych dostrzegając się co obecnie robią i nad czym pracują.

Ponieważ Polowy nie mówi po angielsku za tłumacza służył nam mój dawny przyjaciel — świetny specjalista sławista — mówiący doskonale po rosyjsku. Ten szczegół jest ważny, bo historię, którą zamierzam opowiedzieć, sprawdzałem — zwłaszcza wypowiedzi po rosyjsku Polowego.

Któs z obecnych zapytał Polowego czy mógłby nas poinformować o losach żydowskiego pisarza nazwiskiem Kwitko. Wyjaśniliśmy również, że według, od dłuższego czasu krążących pogłosek, Kwitko został rzekomo aresztowany wraz z innymi żydowskimi pisarzami i zgłodzony. Padły głosy by Polowy zechciał wyjaśnić nam tę sprawę i położyć kres pogłoskom.

Polowy oświadczył, że oczywiście te wszystkie pogłoski są zwyczajnymi antysowieckimi oszczerstwami. Może niezmiernie łatwo zaprzeczyć tym pogłoskom, ponieważ Kwitko od dłuższego czasu mieszka w tym samym domu co on. „Czy można wyobrazić sobie lepszy dowód, że te kalumnie są jednym wielkim oszczerstwem i kłamstwem?” — oświadczył zebranym Polowy.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

W czasie wieczoru ktoś zapytał Polowego co Kwitko obecnie robi? Polowy odpowiedział, że kończy przekład powieści i planuje nową książkę. Dodał również, że widział się z Kwitko tuż przed swym wyjazdem do Stanów Zjednoczonych i Kwitko, żegnając się z nim, prosił by pozdroził w Ameryce jego przyjaciół.

Oto co miał Polowy do powiedzenia w sprawie Kwitko. Słuchało jego oświadczenia zbyt wielu ludzi, by można kwestionować autentyczność tej relacji.

Po XX Kongresie, gdy Polowy już dawno był w Rosji, dowiedzieliśmy się z żydowskiego komunistycznego pisma, wydawanego w Polsce, że Kwitko był tak samo bity, torturowany i zgładzony w poniżeniu jak Feffer i Bergelson.

Sprawiedliwość dziejowa winna osiągnąć nie tylko tych, którzy mordują artystów i pisarzy, lecz również i tych, którzy deprawują dusze takich ludzi jak Borys Polowy. Nie chodzi w tym wypadku o to, że popełnił tragiczne i groteskowe kłamstwo. Kłamstwo to streszcza bowiem w sobie to wszystko, co Partia Komunistyczna czyni z pisarza.

19.

Dla mnie, po XX Kongresie zamknęła się pewna epoka mojego życia. Długi cykl wydarzeń dobiegł kresu.

Byłoby z mojej strony śmiesznie i kłamliwie, gdybym twierdził, że w czasie owych tygodni i miesięcy, kiedy rozważałem kłamstwo Borysa Polowego, nie zadawałem sobie pytania czy na jego miejscu nie postąpiłbym podobnie. I uczciwie stwierdzam, że nie umiem odpowiedzieć na to pytanie ponieważ, podobnie jak Polowy, poddany byłem partyjnemu „procesowi”.

Umysł ludzki jest cudownym instrumentem i rekompensuje zniekształcenia rzeczywistości. Od pierwszej chwili mojego pobytu w Partii — od pierwszych doświadczeń — zacząłem podobnie jak wielu innych gromadzić w sobie nienawiść. Twierdzą, że nie ma komunisty o pewnym charakterze i inteligencji, który by nie akumulował w sobie nienawiści w ciągu lat partyjnego życia. Buntowników nie łatwo przymusza się do posłuszeństwa. Można to uczynić tylko batem, a razy pozostawiają blizny.

Nie zamierzam w ramach niniejszego rozdziału opisywać historii moich osobistych doświadczeń w partii komunistycznej. Chciałem tylko naszkicować kilka epizodów, które w konsekwencji doprowadziły mnie do istotnych wniosków. Bohaterem tych wszystkich epizodów był zawsze komisarz — niezależnie kto w danej sytuacji tę funkcję sprawował. Komisarz był władcą mojego umysłu i reżyserem moich marzeń. Był kontrolerem i „sumieniem”, w które partia wyposaża swoich członków. W miejsce mojego prymitywnego rozeznania co należy uważać za słuszne, a co za niesłuszne — komisarz dostarczył mi niezawodnej busoli, która pozwala ocenić co jest słuszne a co niesłuszne wedle wyższych kryteriów partyjnych. W języku partyjnym stale powtarza się termin „na wyższym poziomie”. Te „poziomy” myślenia politycznego pięły się wzwyż niczym drabina Jakubowa, aż w umyśle Józefa Stalina znajdowały swój szczyt i kres. Lecz ów najwyższy „poziom” można było tylko podziwiać, gdyż takie szczyty duchowe nie były na miarę zwykłego śmiertelnika.

Mój własny „poziom” był raczej mierny i nie wiele się poprawił przez trzynaście lat, które spędziłem w Partii. Ówczesna opinia partyjna głosiła, że... Fast jest dobry „na froncie”, dobrze przemawia na wiecach publicznych, lecz jest słabo „politycznie uświadomiony”. Początkowo przyjmowałem tę opinię. Pierwsze partyjne zebrania, szybka i sprytna orientacja, biegłość w cytowaniu klasyków marksizmu — wszystko to przerażało i wywierało wrażenie.

Pierwszym komisarzem jakiego spotkałem po wstąpieniu do Partii był płatny funkcjonariusz partyjny na stanowisku organizatora sekcji. Był to szczupły mężczyzna około lat czterdziestu, o wyglądzie typowego inteligenta. W pierwszej naszej rozmowie podkreślił skromnie, że w świecie nie-komunistycznym ja niewątpliwie góruję nad

nim wiedzą i osiągnięciami. Lecz istnieją dwa światy i w tym drugim świecie komunistycznym on na pewno góruje nade mną. Wyjaśnił mi również rzeczowo, że w tym nowym dla mnie świecie będę potrzebował zarówno pomocy jak i oparcia. I na tym będzie polegać jego rola w stosunku do mnie. Dodał jeszcze, że przede wszystkim potrzeba mi „precyzji” i „jasności”. Przyjmował bowiem za absolutny pewnik, że do tej pory żyłem w nieustannym chaosie i w świecie pomieszanych pojęć. Oświadczył z naciskiem, że z chaotycznym myśleniem muszę zerwać, gdyż „precyzja” zadecyduje o stopniu mojego „uświadomienia partyjnego” i przyszłego politycznego rozwoju. Zaznaczył wreszcie, że będzie to dla niego przyjemnością i spełnieniem partyjnego obowiązku pomóc mi w tych sprawach.

Czytelnik łatwo zauważy, jak wyżej opisana postać komisarza idealnie harmonizuje z przedstawionym w poprzednich rozdziałach obrazem Partii jako świątyni: z dogmatami, świętymi tekstami i kastą kapłanów. Człowiek świecki nie potrafi ani odczytać prawidłowo świętych tekstów, ani żyć wedle reguł w nich zawartych. Musi być prowadzony przez kapłana.

Lecz tego typu refleksje nie przychodziły mi na myśl w tamtym czasie. Znajdowałem się bowiem na początku mojej drogi a nie u jej kresu. Mój komisarz wydawał mi się wtedy człowiekiem, który — choć skromny — posiada ogromną wiedzę dotyczącą organizacji, której stałem się członkiem. Osobiście o tej organizacji nie wiedziałem nic — poza jej powszechnie znanymi celami. Miało upłynąć jeszcze wiele lat zanim zacząłem rozumieć skomplikowany mechanizm Partii.

W okresie czasu, o którym mówimy, moja powieść pt. „Droga Wolności”, była skończona, wydrukowana, oprawiona i w najbliższym czasie miała ukazać się na półkach księgarskich. Jeden z egzemplarzy tej książki ofiarowałem mojemu sekcyjnemu organizatorowi. Po kilku dniach zażądał on ode mnie jeszcze dodatkowych sześciu egzemplarzy. Na moje zapytanie w tej sprawie komisarz oświadczył, że „Droga Wolności” przedstawia pewien problem... Wprawdzie napisałem tę książkę przed wstąpieniem do Partii, niemniej jednak stwarza ona poważne zagadnienie. Mój komisarz dodał, że nie chciałby, żeby prasa partyjna zaatakowała moją książkę oraz mnie —

zupelnego nowicjusza, ale Partia i prasa partyjna moga taka akcje podjac.

Bylem zmartwiony i oburzony wysluchawszy tych slow. To bylo pierwsze gorzkie doswiadczenie, ktore miało w przyszlosci towarzyszyć narodziom kazdej mojej ksiazki. Na razie jednak poprosilem organizatora, by mi wyjasnil jaki popelnilem blad w mojej powiesci. Komisarz poprawil mnie natychmiast, ze w tym wypadku chodzi nie o blad lecz o pomylke. Partia nie zna bladów tylko pomyłki, a wiec „mylne polityczne opinie”, „mylne sady” itd.

— Chodzi zapewne o mylna interpretacje historyczna? — zauwazyłem.

— Nie — odparl komisarz — pomyłka w tym wypadku nie dotyczy interpretacji historycznej. Pomyłka jest niestety znacznie powazniejszej natury. W calej ksiazce powtarza się slowo „Negr” (woryginale „nigger”) zamiast Murzyn. Juz ten fakt moze stanowic podstawe do wydalenia z Partii. Jezeli wziac w dodatku pod uwage, ze Mike Gold, omawiajac na lamach „Daily Worker’a” wasza poprzednia ksiazke pt. „Obywatel Tom Payne” dopatrzył się w niej pewnych tendencji trockistowskich — to obie te sprawy zsumowane moga wytworzyć bardzo powazna sytuacje.

Komisarz oswiadczył jednak, ze osobiście nie podziela opinii Mike Golda i dal mi do zrozumienia, ze o ile siebie uważa za wzór „jasności mysłowej” i zdrowego rozsądku, o tyle Golda w sprawach polityczno-partyjnych uważa za skonzonego glupca.

Tak oto zarysowal się problem.

Staralem się wyjasnić i uzasadnić dlaczego uzylem slowa „Negr”. Zapewnilem komisarza, ze okieslenie to uważam za wstrętne i nikczemne. Skoro jednak slowo to znajdowalo się w uzyciu w okresie czasu, który odmalowuje w mojej powiesci — nie bylo dla mnie, jako dla autora, rzeczą mozliwa unikniecie tego terminu. Chodzi przeciez w tym wypadku o sprawe autentyzmu tak niezmiernie istotnego dla kazdego pisarza. Jakiez bylyby moje szanse zdobycia zainteresowania czytelnika i jego zaufania, gdybym zaczal operowac zmyslaniami i anachronizmami. Niezaleznie od powyższych racji ksiazke wydrukowano w bardzo duzym nakladzie i oswiadcylem,

że w tej chwili nie wydaje mi się by można było cokolwiek przedsięwziąć.

Partia zezwalała w wypadkach kiedy chodziło o przytoczenie cytatu, na użycie skrótu „n-r” (zamiast słowa „Nigger”). Zacytowanie słowa w pełnym brzmieniu było jednak niemożliwe.

Sytuacja nie była przecież beznadziejna. Mój komisarz poinformował mnie po kilku dniach, że ma bardzo rozsądnych i wpływowych przyjaciół w kierownictwie Partii. Każdemu z tych przyjaciół wręczył egzemplarz mojej książki z prośbą by wpłynął na załagodzenie całej sprawy.

Muszę przyznać, że przyjaciele komisarza okazali się istotnie wpływowymi ludźmi, gdyż „Drogę Wolności”, choć bardzo powściągliwie to jednak pozytywnie omówiono w prasie partyjnej.

Tak oto przeskoczyłem pierwszą przeszkodę.

„Droga Wolności” rozeszła się w nakładzie niemal dwóch milionów egzemplarzy i u Murzynów znalazła większy oddźwięk niż jakakolwiek inna z współczesnych powieści. Choć przekroczyłem w tej książce pewne bezsensowne partyjne zakazy — w niczym nie umniejszyło to dumy i radości z jaką Murzyni amerykańscy przyjęli tę książkę.

W swojej szaleńczej walce przeciwko tak zwanemu „białemu szowinizmowi” partia komunistyczna Stanów Zjednoczonych podjęła szereg zdumiewających i niezrozumiałych akcji. Podjęto „polowanie na czarownice”, koncentrując się wyłącznie na prześladowaniu tych, którzy przekraczają granice „tabu” — pisząc na przykład „Negr” zamiast Murzyn. Ten typ magicznej walki tak pochłonął wszystkie siły, że Partia zrezygnowała z konkretnej walki o realne prawa Murzynów. Nie miała już na to czasu. W rezultacie tej polityki komuniści stracili masowe poparcie ludności murzyńskiej. To obłąkane podejście do zagadnienia znalazło swój punkt szczytowy w fakcie, że nawet terenowych działaczy komunistycznych, którzy przez lata walczyli o prawa Murzynów, magicy partyjni nie wahali się przyrównywać do członków Ku-Klux-Klanu. Jeden z moich przyjaciół, który pełen poświęcenia spędził w południowych stanach sześć lat jako partyjny organizator i w stosunku do któ-

regu sama myśl, iż mógłby skrzywdzić Murzyna byłaby absurdem. opowiadał mi, że Pettis Perry nazwał go „rasistą”.

Wykluczano ludzi z Partii za użycie określenia „czarna dziewczyna” lub „czarna” — względnie słów „czarny” czy „czarni”. Fakt, że słowa te stały się dosłownie magicznym „tabu” zdają się wskazywać, że ci, którzy owe „tabu” ustanowili mieli w sobie ukryte pokłady rasizmu.

Doszło w końcu do tego, że dziesiątki komunistów, których znałem — zaczęło unikać towarzystwa Murzynów bojąc się przekroczyć jakiegoś zakazu związanego z „kwestią murzyńską”. W rezultacie prasa partyjna wśród Murzynów całkowicie upadła i William Z. Foster musiał wkroczyć w tę sprawę, która zaczęła dosłownie zagrażać Partii.

Należy również powiedzieć kilka słów o używaniu skrótu „n-r” w partyjnych publikacjach. Nie ulega wątpliwości, że angielskie słowo nigger” jest obrzydliwe i obraźliwe ale równie obrzydliwych i obraźliwych słów w użyciu jest mnóstwo i stanowią one fragment naszej społeczno-historycznej rzeczywistości. Co się zyskuje na pruderyjnym wypuszczaniu środkowych liter i zastępowaniu ich kreską? To jest typowy przykład „poziomu” moralności produkowanej przez magików komunistycznych.

Teraz, gdy „specyfika” sytuacji została odmalowana, czytelnik z całą pewnością zada mi pytanie: „na miłość Boską, jak to było możliwe, że pan, pisarz o pewnej inteligencji, pozwolił się wplątać w tego rodzaju kabałę?” „Dlaczego pan nie wyszedł tymi samymi drzwiami którymi pan wszedł?”.

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Wówczas powiedziałem sobie po raz pierwszy to co później powtarzałem w analogicznych okazjach przez lat trzynaście: „Wstąpiłem do partii komunistycznej ponieważ jestem antyfaszystą i ponieważ wierzę w pokój i w socjalizm. Jeżeli chodzi o sprawę pisania sędzę, że postępowanie Partii jest błędne. Ale dla jednego nonsensu nie opuszczę szeregów ruchu”.

Z upływem lat powtarzałem sobie dziesiątki i setki razy. Wreszcie — podobnie jak wielu innych komunistów

zacząłem odczuwać pewną perwersyjną dumę z tego, że Partia nie zdołała mnie złamać, że zachowałem zdrowy i normalny sąd o świecie i że uniknąłem wydalenia z Partii. Komisarze z upływem lat zmieniali się, ale komunizm był zawsze ten sam. Siła jaką wykazałem nie jest w gruncie rzeczy żadnym powodem do dumy. Natomiast fakt, że z mikroskopijną dokładnością badałem każdy manuskrypt w nadziei, iż udaremnię ataki krytyki partyjnej napędza mnie dziś niesmakiem. Moja jedyna cnota polegała więc na tym, że ustawałem w grzechu.

W owym czasie niekomunistyczna prasa amerykańska atakowała mnie jako „narzędzie propagandy komunistycznej”. Prasa partyjna oskarżała mnie za „odchYLENIA”. Byłem wzięty w dwa ognie i to był los każdego pisarza o pewnym talencie, który był członkiem partii komunistycznej.

W imię prawdy należy powiedzieć, że w gruncie rzeczy cierpiałem mniej niż inni pisarze, ponieważ miałem od dawna ugruntowaną pozycję w świecie niekomunistycznym i reputację międzynarodową, szczególnie w Rosji. Ten ostatni szczegół jest ważny gdyż omówienie książki w periodykach rosyjskich miało wielką wagę. Wielu komunistycznych pisarzy, którzy nie mieli takich „protekcji” zostało zniszczonych przez ich własne partie. O tych ludziach nie wiele mogę powiedzieć, gdyż trzeba by wymienić nazwiska autorów i tytuły książek. Wolę tego uniknąć ze zrozumiałych względów.

W niekomunistycznym świecie szeroko rozpowszechnione jest mniemanie, że władze partyjne dyktują pisarzowi co ma pisać. Zarówno ten pogląd, jak i większość popularnych sądów składających się na legendę o partii komunistycznej, nie zawiera w sobie ziarn prawdy. Rzekome dyktowanie pisarzowi co ma pisać jest niemożliwe z dwóch przyczyn. Po pierwsze, przywódcy partyjni nie mają ani dostatecznej inteligencji ani twórczej wyobraźni, by móc występować z sugestiami w stosunku do pisarzy. Po drugie, nawet bonzowie partyjni zdają sobie sprawę, że tego rodzaju praktyki odsunęłyby większość pisarzy od Partii.

Według innego, mniej szeroko rozpowszechnionego mniemania, pisarze komunistyczni zobowiązani są przedkładać swe rękopisy do cenzury władzom partyjnym.

Uczciwie muszę stwierdzić, że żaden z członków kierownictwa Partii nigdy nie zdradził najmniejszego zainteresowania tym co piszę i nie wyraził nigdy chęci przeczytania jakiegokolwiek z moich rękopisów. Jedyne wyjątek od tej reguły stanowił Steve Nelson, wspaniały naprawdę człowiek, który zresztą nigdy nie wchodził w skład kierownictwa partyjnego.

Interesowano się tym co piszę dopiero wówczas, gdy specjalista partyjny doszukał się w moich tekstach jakiegoś „burżuazyjnego odchylenia” i złożył przywództwu Partii odpowiedni raport.

Znałem jednak pisarzy komunistycznych, którzy z własnej woli i z poczucia dyscypliny partyjnej przedkładali swe rękopisy tak zwanym „kulturalnym” rzeczoznawcom kierownictwa Partii. Widziałem również rękopisy po przejściu takiej „oczyszczającej operacji”, pocięte, pokreślane, obrabowane z wszelkiej żywej myśli, udogmatyzowane i przykrojone do wymogów aktualnej „linii partyjnej”.

Drogą czystego przypadku i jeden z moich rękopisów dostał się w ręce małego „aparaczyka”. Był to tekst sztuki pt. „Trzydzieści Srebrników” (Thirty Pieces of Silver). Tekst wręczyła wspomnianemu funkcjonariuszowi partyjnemu pewna aktorka. Przeczytawszy tę sztukę „aparaczyk” zatelefonował do mnie i zażądał kategorycznie bym przyszedł na spotkanie na umówione miejsce. W czasie rozmowy, w najostrejszych słowach skrytykował moją sztukę i polecił mi przerobić trzeci akt. Dodał również, że łączą go bardzo bliskie stosunki z Pettis Perry — w owym okresie generalnym sekretarzem Partii — i zagroził, że jeżeli nie zmienię trzeciego aktu — użyje swoich wpływów by wydalono mnie z Partii. Dał mi przy tym do zrozumienia, że Pettis Perry w gruncie rzeczy będzie bardzo zadowolony, gdy zdobędzie pretekst dla pozbycia się mnie z Partii. Zmieniłem trzeci akt.

Przeróbki tego rodzaju są zarówno upakarzające jak i nudne. Lecz mimo tych upokorzeń, które pozostawiają osad goryczy, gdy dziś patrzę wstecz na drogę przebytą, sądzę, że postępowiałem słusznie nie dopuszczając przez te trzynaście lat do wydalenia mnie z Partii. Gdybym wówczas pozwolił się wydalic nie miałbym dziś możliwości przemawiania do setek tysięcy ludzi, którzy w spo-

sób podobny jak ja oceniają swoją własną pozycję. Odszedłem, bo zrozumiałem — nikt mnie nie wydalili.

Lecz nie były to łatwe sprawy. Gdy ogłosiłem nowelę pt. „Clarkton” — zostałem oskarżony o działalność antypartyjną, ponieważ w cytowanym opowiadaniu przedstawiłem irlandzkiego robotnika, komunistę, którego przeżył jego własne życiowe problemy. Oczywiście nic nie może być ponad siły i możliwości komunisty.

Gdy ukazała się opowieść pt. „Moi Wspaniali Bracia” (My Glorious Brothers) zostałem powołany przed trybunał sekretariatu partyjnego i oskarżony o żydowski burżuazyjny nacjonalizm. W kołach partyjnych kursował wówczas ironiczny dowcip, że nacjonalizm może być wspaniały i postępowy i może stanowić krok na drodze rozwoju społecznego danego narodu, z wyjątkiem nacjonalizmu żydowskiego. Nacjonalizm żydowski jest antypartyjny, anty-sowiecki, anty-postępowy. Irlandzcy nacjonałiści są bohaterami, lecz żydowscy nacjonałiści to „wściekle psy imperializmu”. Arabscy nacjonałiści to są oczywiście patrioci, walczący przeciwko uciskowi i obcej przemocy. Żydowscy nacjonałiści są narzędziem naftowych kapitalistycznych imperialistów — mimo, że w Izraelu nafty nie ma, natomiast płynie rzeką w krajach arabskich.

Ponieważ „Moi Wspaniali Bracia” jest opowieścią o wielkiej wojnie między Żydami a Machabeuszami, niewątpliwie brzmi w niej nuta żydowskiego nacjonalizmu.

Rosjanie załatwili tę sprawę po prostu a skutecznie. Nie przyjęli w ogóle do wiadomości, że ja napisałem tę książkę. Nie tłumaczono jej w Związku Sowieckim, nie omówiono, ani nigdzie nie odnotowano. Rosyjska bibliografia moich dzieł, opracowana pedantycznie i fachowo, w której znaleźć można odnotowane moje artykuły, drukowane w periodykach amerykańskich, które już dawno przestały się ukazywać, przemilcza również „Moich Wspaniałych Braci”.

Po ukazaniu się mojej powieści pt. „Dumni i Wolni” (The Proud and the Free), zostałem wezwany przed specjalną komisją sekretariatu Partii. W skład tej komisji wchodził Betty Gannett, Pettis Perry i V.J. Jerome — ten ostatni w charakterze literackiego rzeczoznawcy. Tym razem oskarżono mnie o biały szowinizm i jeszcze przed

rozpoczęciem przesłuchania dano mi jasno do zrozumienia, że jeżeli nie ogłoszę drukiem samokrytyki, zostanę wydalony z Partii.

Mam szczególny sentyment dla powieści „Dumni i Wolni”. Była to ostatnia moja książka przed opuszczeniem Partii, wydana przez wielką i znaną firmę księgarską. Ukazała się w jesieni 1950 roku nakładem Little Brown. W początkowym okresie książka nie skupiła na sobie zainteresowania, co było zrozumiałe zarówno z uwagi na szczytową fazę wojny koreańskiej jak i mccarthyizm. Nawet jeżeli miano by mnie posądzić o wielką zarozumiałość, nie waham się twierdzić, że jest to jedna z najlepszych powieści historycznych o rewolucji amerykańskiej, jakie ukazały się w ostatnich latach. Niewątpliwie książka ta góruje nad wszystkimi innymi moimi utworami, napisanymi w tym okresie czasu. W powieści tej starałem się literacko wykrystalizować istotę rewolucji i stworzyć panoramę epoki usymbolizowanej w postaciach wspaniałych żołnierzy Anthony Wayne’a w Pensylwanii. Chciałem stworzyć moją własną pieśń o Ameryce. W oparciu o wyniki wieloletnich studiów w terenie, przez długie okresy czasu przebywając wśród ludzi, którzy do dziś dnia mówią językiem naszych przodków, wsłuchując się w ich mowę, starałem się odtworzyć język epoki historycznej i osiągnąć w przybliżeniu to, co z współcześnie żyjących naszych pisarzy powiodło się zrealizować jedynie Conradowi Richterowi.

Rezultaty moich wysiłków i zamierzeń oceniam kiedyś, mam nadzieję, bezstronni krytycy. Lecz trzech moich sędziów, tworzących komisję sekretariatu Partii, nie interesowały ani moje zamierzenia ani osiągnięcia. Sędziów interesował wyłącznie fakt, że po raz drugi popełniłem grzech kardynalny — ten sam grzech, który zachmurzył dzień mojego wstąpienia do Partii. Użyłem bowiem osiemnastowiecznego archaizmu wkładając w usta żołnierza kolonialnego słowo „nayer” zamiast „Negro”. To słowo w osiemnastym wieku i w tamtym miejscu było w powszechnym użyciu.

Za popełnienie powyższej zbrodni polecono mi napisać samokrytykę, która miała się ukazać w partyjnym periodyku „Political Affairs”. Niezależnie od tego, na łamach tegoż pisma miałem wyrazić skruchę za to, że

przedstawieni przeze mnie osiemnastowieczni żołnierze pogwałcili zasady „marksistowskiej teorii rewolucyjnej”. Powiniennem był to skomponować inaczej.

Lecz tego było już trochę za wiele. Działo się to w siedem lat od pierwszego epizodu ze słowem „nigger” i przez te lata rozumiałem i doświadczyłem dużo. Czy byłbym wówczas wybrał wydalenie z Partii trudno mi dziś na to pytanie odpowiedzieć. Z biegiem wydarzeń, niepozabawionych ironii — wybawiła mnie z dylematu akcja rządu. Władze wytoczyły sprawę wydawnictwu „Political Affairs” i redaktorowi tego periodyku. Uznano wówczas, że byłoby taktycznie niewskazane, by w takiej kryzysowej sytuacji na łamach „Political Affairs” ukazywała się moja samokrytyka w tak szczególnej sprawie.

W półtora roku później, kiedy było można wznowić tę kwestię, pojawił się nowy winowajca a mianowicie moja powieść pt. „Spartacus”.

20.

Myślę, że tylko pisarz mógłby w pełni zrozumieć ile z siebie samego włożyłem w „Spartacusa”, marząc przez lata o napisaniu tej książki. Skomponowałem ją i obmyśliłem całą jej strukturę w czasie mego pobytu w więzieniu federalnym.

Gdy znalazłem się na wolności zasiadłem do pisania. Po półtora roku miałem 559 stron rękopisu i poczuć — pierwszy raz w moim życiu — że w pełni opanowałem materiał i stworzyłem dzieło o trwałej wartości. Gdy przeczytałem ukończony rękopis wszystko co przez ubiegłe dwadzieścia lat napisałem wydało mi się nagle niedokończone i niedojrzałe. Nie wypowiadam sądu o tej książce. Pragnę tylko odmalować mój ówczesny stan duchowy. Byłem przepojony radością i wdzięcznością, że dane mi było ukończyć to najtrudniejsze w całej mojej literackiej karierze dzieło i stworzyć coś istotnie trwałego.

Książkę przedłożyłem siedmiu handlowym firmom wydawniczym. Wszystkich siedmiu wydawców odmówiło

jej wydania. Nie mając już sił znosić dalszych upokorzeń postanowiłem „Spartacusa” wydać własnym nakładem. I tak to się zaczęło. Adiustowanie, korekty, druk, pakowanie, dystrybucja i wreszcie... cud. Książka wydana własnym nakładem stała się „bestsellerem”. W przeciągu kilku miesięcy rozeszło się 35 tysięcy egzemplarzy.

Komisarz jednak wiedział, że zgrzeszyłem i muszę ponieść zasłużoną karę. Tym razem w roli komisarza występował partyjny rzeczoznawca „kulturalny” z zachodniego wybrzeża, czasowo przebywający w Nowym Jorku. Mój „Spartacus” napenił go po brzegi odrazą i nienawiścią.

Moja własna głupota była niewyczerpana. Moja nieumiejętność wyciągania wniosków z popełnionych błędów była czymś przerażającym. Przez dwa lata pracowałem bez tchu nad stworzeniem dzieła, które byłoby epopeją uciskanych, hymnem wolności i krzykiem sumienia Człowieka. Pracowałem w tym głębokim przeświadczeniu, że dzieło to będzie najpełniejszym wyrazem tych wartości i ideałów, którym poświęciłem moje życie. Lecz komisarz był innego zdania.

„Napisaliście studium o „brutalizmie” i „sadyzmie” — syczał zajadle mój aparatczyk — powtarzając te dwa terminy z dzikim uporem. Po chwili dodał: „w mojej opinii jest to książka szkodliwa, zła i zgniła”.

W cytowanej rozmowie brał również udział V.J. Jerome. Aparatczyk w pewnej chwili zwrócił się do Jerome, który dotąd przysłuchiwał się milcząco, i wykrzyknął: „uważam, Jerry, że naszym obowiązkiem jest zaatakować i zadenuncjować tę książkę! W tej sprawie nie możemy sobie pozwolić na żadne pobleżanie. To jest zgnilizna!”

Jestem pewien, że Jerome pamięta do dziś ten incydent. Nie było żadnej dyskusji, krytyki czy omówienia. Uznano mnie winnym w sprzeczności z elementarnymi zasadami sprawiedliwości. Nie dano mi bowiem nawet możliwości podjęcia próby wykazania, że jestem niewinny.

Inny zarzut, wysunięty pod moim adresem, dotyczył faktu, że w „Spartacusie” użyłem kilku terminów „psychoanalitycznych”. Ten zarzut wysunęła pewna funkcjonariuszka sekretariatu partyjnego, pełniąca urząd jedno-

osobowego literackiego NKWD. Jej zadaniem było wyłuskiwanie z książek pisarzy komunistycznych „odchyleń” bardziej subtelnej natury. Określenie „walka wewnętrzna” zostało uznane za „psychoanalizę” i oczywisty destrukcyjny wpływ Freuda. Zakwestionowano również serię innych słów i określeń.

Lecz w rezultacie okazało się, że komisarze nie są w stanie zniszczyć „Spartacusa”. Periodyki partyjne odrzucały zamówione recenzje, ponieważ krytycy chwalili książkę. Czytelnicy komunistyczni przyjęli „Spartacusa” entuzjastycznie, czego najlepszym dowodem był fakt rozsprzedaży nakładów jednego za drugim. Komisarze posiadali niewątpliwie władzę, ale ta władza ograniczała się do organizacyjnej struktury Partii. A na tym gmachu zaczęły się już pojawiać pierwsze rysy.

Lecz owej nocy, kiedy odbyło się cytowane wyżej spotkanie z aparaczką i V.J. Jerome, myślałem tylko o jednym, że moje życie, praca i talent upostaciowane w „Spartacusie”, mają ulec zniszczeniu. Tworzyłem, pisałem w przekonaniu, że piszę tak jak powinienem pisać. A teraz okazało się, że to było zbrodnią.

Niekomunistyczni księgarze amerykańscy, gdy zwracałem się do nich z propozycją wydania „Spartacusa”, pokazali mi drzwi, ponieważ byłem komunistą. Władze partii komunistycznej uznały „Spartacusa” za książkę złą i zgniłą. Wyznaję — płakałem tej nocy, bo wiedziałem, że to był koniec.

Lecz mimo, że wtedy moja klęska jako pisarza, twórcy i artysty wydawała mi się całkowita, w gruncie rzeczy był to dopiero pierwszy łyk z kubka gorzkości, który dla mnie przygotowano.

Wydawało się, że aparaczką w sekretariacie zdecydowali ze sprawy „Spartacusa” uczynić generalną i rozstrzygającą kampanię przeciwko mnie. Prawdziwy dzień sądu i obrachunku. Aparaczką nie znają się na literaturze i subtelności literackich problemów nie są dziedziną ich zainteresowań. Lecz w tym wypadku nawet oni wyczuli, że w życiu każdego pisarza istnieje dzieło, w którym zamyka całą swoją pasję twórczą, doświadczenie całego życia i wszystkie dążenia. Dla mnie „Spartacus” jest taką właśnie książką. Wydaje mi się, że żadne inne dzieło nie jest w tym stopniu książką mojego życia.

Może nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o samej książce. Ułatwi to czytelnikowi, który nie zna „Spartacusa”, zrozumienie całej kampanii podjętej przez Partię przeciwko tej książce.

Spartacus — jak pamiętamy — był niewolnikiem i gladiatorem w starożytnym Rzymie, oraz przywódcą buntu niewolników, który dosłownie zagroził samemu Rzymowi. Bardzo mało wiemy o Spartacusie poza tym, że pochodził z Tracji. Nie wiemy również nic o armii niewolników którą dowodził. Wskutek tego fabułę powieści musiałem skomponować opierając się na tych kilku faktach, które są znane.

Postacią historyczną obok Spartacusa jest również Varinia, kochająca i oddana żona wodza niewolników. Varinia była branką porwaną za młodu. Pochodziła z jednego z germańskich szczepów. Szczep ten znajdował się wtedy na szczeblu rozwoju naszych amerykańskich północno-wschodnich Indian, w chwili odkrycia Ameryki.

Chociaż „Spartacus” stanowi połączenie symbolizmu i realizmu to jednak poświęciłem wiele uwagi, by wiernie odmalować tło historyczne, usiłując osiągnąć najwyższy stopień prawdopodobieństwa toku akcji i wydarzeń.

Nikt nie wie co się stało z Varinią po śmierci Spartacusa. W mojej książce wypełniłem tę lukę tworząc dramatyczną sytuację psychologiczną. Dla dwóch głównych rzymskich postaci powieści Varinia stała się tajemniczym symbolem tych wartości, których obu tym Rzymianom nie dostawało.

Jednym z nich jest Crassus — arystokrata i wódz, który zadaje w końcu miażdżącą klęskę Spartacusowi. Lecz zwycięstwo wydaje mu się niepełne i puste dopóki nie zdobędzie Varinii — dopóki ona sama nie zgodzi się być jego. Zabiera ją do swego domu w Rzymie.

Drugą postacią rzymską w powieści jest Gracchus — przywódca rzymskiego proletariatu — zdolny i bezwzględny, pochodzący z dołów społecznych. Gracchus prowadził polityczną walkę przeciwko Spartacusowi. Tych dwóch mężów, Crassus i Gracchus, pokonało Spartacusa lecz wzajemnie się nienawidziło. Gracchus pragnie za wszelką cenę odebrać Crassusowi Varinię — nawet za cenę obdarowania Varinii wolnością • ułatwienia jej

ucieczki na północ. Gracchus jest dumny i inteligentny — równocześnie świadomy swej olbrzymiej budowy i przesadnej tuszy. Sama myśl, że Varinii mógłby być fizycznie wstrętny wystarczyła, by zdusił w sobie wszelkie pożądanie. Prosił tylko Varinię by spędziła z nim kilka godzin i w dłuższej rozmowie wyjaśniła mu tajemnicę, której poświęcił życie — tajemnicę Spartacusa.

W czasie rozmowy Varinia uległa ogromnemu, zniewalającemu osobistemu urokowi Gracchusa, nie w sensie fizycznym lecz duchowym. Pierwszy raz zetknęła się z człowiekiem tak różnym od jej zmarłego męża, a tak ludzkim i wspaniałym, mimo, że był on śmiertelnym wrogiem Spartacusa. Zdając sobie sprawę, że Gracchusowi grozi niechybna śmierć z rąk Crassusa, jeżeli pozostanie w Rzymie — Varinia zaklinała go by uciekł z nią razem, by wspólnie dzielili wolność, którą ją obdarzył. Gracchus odmówił. Varinia ucałowała go ofiarując mu pocałunek, którym żegnamy tych, którzy wybrali śmierć, by móc dać nam wolność. Varinia odeszła pozostawiając Gracchusa losowi, który wybrał świadomie.

Dla mnie osobiście, jako dla autora, powyżej opisana scena była niezmierniej wagi i bez niej książka straciłaby swój kompozycyjny sens. Postawa Gracchusa w tym epizodzie ilustruje męskie cnoty starożytnego Rzymu z jego różnorodnym i wspaniałym kulturalnym bogactwem. W czasie długich miesięcy pracy nad tą książką pokochałem Gracchusa i nauczyłem się go szanować. Cóż to był za wspaniały mąż! Cóż za odwaga, godność i siła oraz umiłowanie prawdy cechowały tego człowieka o olbrzymiej postaci. Nawet jego imię było w równej mierze symboliczne jak i prawdziwe ponieważ Gracchowie symbolizowali rzymską cnotę i dzielność.

Wreszcie — w innym aspekcie — Gracchus personifikuje również polityka z amerykańskiej sceny, polityka który mimo wszystkich swych wad nigdy nie zerwał więzów łączących go z ludem.

To wszystko musi być jasne i oczywiste dla każdego czytelnika „Spartacusa”.

To wszystko jest zrozumiałe dla czytelnika, ale nie dla komisarza. W opinii Partii, opisując scenę między Gracchusem a Varinią, popełniłem grzech przewyższający swą potwornością wszystkie moje dotychczasowe

błędy i przewiny. Wywyższyłem i wywindowałem na piedestał „kapitalistyczną bestię” Gracchusa! Natomiast poniżyłem czystą „komunistyczną kobietę, kobietę uciskanych niewolników”, Warinię.

Nie przesadzam ani nie komponuję humoreski. Opisuję rzeczowo i wiernie cykl wydarzeń. Oto fragment recenzji z mojej książki w „Daily Worker” z dnia 7 lutego 1952 roku:

„Do czego zmierza autor? Czy chodzi w tym wypadku o idealistyczną wizję Goethego „wiecznej kobiety”, która wiedzie nas — zarówno wyzyskiwaczy jak i wyzyskiwanych ku wyżynom?... Konkluzja Fasta jest niewiarygodna i fałszywa, zarówno w sensie czystej sztuki jak i filozofii. Jest prawdą, że pewne indywidualności, przynależące do klas dekadentkich są zdolne w rzadkich wypadkach wyjść poza ramy swojej klasy i przejść do klasy społeczno-postępowej... Lecz jest rzeczą niewiarygodną i sprzeczną z sensem historycznym, odmalowanie tego rodzaju procesów jako pogoni za nasyceniem seksualnych instynktów dwóch ludzi symbolizujących moralny upadek Rzymu. Jeden — morderca Spartacusa, drugi — gangster-polityk. Mamy w tym wypadku do czynienia z odwrotnością klasowo opracowanego tematu..

Czy możemy sobie wyobrazić hitlerowca błagającego o wzajemną miłość rosyjską kobietę?... Jesteśmy tu bardzo bliscy idei seksualnego pojednania pomiędzy klasami społecznymi... wyczuwa się tu destrukcyjny wpływ mistyfikacji Freuda z położeniem nacisku na element seksualny a nie socjalny jako formatywną podstawę charakteru”.

Nie należy się z tego wszystkiego śmiać. Komizm jest w powyższej recenzji identyczny z ohydą. Wyciąłem tę recenzję i umieściłem w moim archiwum, obok recenzji z pism antykomunistycznych w których ośmieszano mój „marksistowski Rzym”. Lecz pisząc „Spartacusa” nie liczyłem na pochwały z tej strony barykady. Cóż jednak powiedzieć o moich towarzyszach? Przecież książkę tę pisałem w imię naszej wspólnej walki i sprawy. Kryty-

cyzm...? Tak — potrzebowałem niezmiernie rady i krytyki. Lecz przez wszystkie owe lata pobytu w partii komunistycznej o mojej prozie nie napisano jednej linii krytyki godnej tego miana. Niszczono mnie w „żargonie” partyjnym, jak na przykład w recenzji w „Daily Worker”, lub odwrotnie, obsypywano mnie żenującymi pochwałami w rodzaju „największy”, „najznakomitszy” itp.

Pragnę oszczędzić autora recenzji w „Daily Worker” i nie przytaczam jego nazwiska. Zdaję bowiem sobie sprawę, że jego los nie jest dzisiaj godny pozazdroszczenia. Nie wspomnę również nazwiska redaktora pewnego periodyku komunistycznego, który odrzucił zamówioną przez siebie recenzję, ponieważ autor recenzji nie atakował mnie osobiście, a mojej książki nie mieszał z błotem.

Inny redaktor — mój osobisty przyjaciel — nie zamieścił o „Spartacusie” żadnej w ogóle recenzji ponieważ bał się zamieścić dobrą. Przez długie kwadransy błagałem mnie abym zechciał zrozumieć jego sytuację. Och, jakże ją dobrze rozumiałem! Rozumiałem nawet fakt, że w swym piśmie drukował artykuły atakujące psychoanalizę, podczas gdy prywatnie uwielbiał Freuda i w pełni był świadom wspaniałych osiągnięć nowoczesnej psychiatrii. Lecz w końcu i on zamieścił recenzję, która w oskarżeniach „Spartacusa” szła jeszcze dalej niż „Daily Worker”. Dowiedziałem się z niej, że... zbeszcześciłem kobiety murzyńskie, bo czyż Murzynki nie są najbardziej uciskane? Czyż którakolwiek z naszych komunistek zachowałaby się jak Varinia?

W tym tonie utrzymana była cała recenzja. Lecz nie opuściłem Partii. Zbierałem to, co zasiałem. Jednak siła, która była we mnie i sprawiała, że książki moje dawały ludziom radość — dobiegła kresu.

Po opisanych wyżej wypadkach napisałem kilka innych książek, które również wydałem własnym kosztem. Straciłem dużo pieniędzy. Utopiłem w tym przedsięwzięciu

wszystkie oszczędności, dzieląc smutne doświadczenie tych wszystkich pisarzy, którzy zdecydowali się być swoimi wydawcami.

To były dobrze napisane książki, wyszły z warsztatu zawodowego pisarza, uprawiającego swój fach od dwudziestu lat. I były to książki „bezpieczne”. Nie było w nich iskry życia ani płomienia pasji lecz były poprawnie skomponowane i wolne od „pomyłek”. Nie było w nich może wdzięku i fantazji, ale ich treść harmonizowała z „pismem” i wskazaniem „arcykapłanów”. Przywództwo Partii było zadowolone, choć żaden z bonzów nie zadał sobie trudu by przekartkować którąkolwiek w tych książek.

Byłoby całkowicie błędnie wnioskować z tego co do tej pory powiedziałem, że Partia uważa pisarzy za kłopotliwych i uciążliwych szkodników. Wprost przeciwnie — partia komunistyczna posiada żywą, historyczną świadomość doniosłości roli pisarza i uważa go równocześnie za nieodzowny instrument i za potencjonalnego wroga. Pisarz partyjny przyjmuje sam taką postawę i gdy z tej pozycji przyjdzie mu rozpatrywać współczesne zagadnienia, w pewnych chwilach nie ufa sobie samemu. Jak uzdolnione i utalentowane dziecko pisarz jest raz przesadnie karcony, innym razem przesadnie chwalony.

Pierwsze wskazanie jakie pisarz otrzymuje od przywódców partyjnych ujęte jest w słowa rzekomo wypowiedziane przez Stalina. Tym samym formuła ta wyposażona jest w moc magicznej mądrości. Mistrz powiedział, że „pisarz jest inżynierem duszy ludzkiej”.

Osobiście nie wierzę by powyższą frazę napisał czy wypowiedział Stalin. Bóg jeden raczy wiedzieć jaki procent z pism Stalina napisał sam Stalin — choć nie jest to problem istotny. Ważne jest, że „credo” obowiązuje. Fakt, że ta fraza jest nonsensem wypowiedzianym przez człowieka, który przeczył istnieniu duszy ludzkiej, jest oczywiście przemilczany. Pocięliśmy się natomiast tym, że maksyma dotyczy i niejako wywyższa pisarza.

Nie można zaprzeczyć, że jest miłą rzeczą myśleć o sobie jako o inżynierze duszy ludzkiej, ale w tym powiedzeniu tkwi również element maniackalny. A jednak właśnie przez nadawanie magicznej mocy słowu pisanemu Partia zdołała podporządkować sobie pisarzy. W świecie normalnych wydarzeń — innymi słowy w świecie niekomunis-

tycznym — zawodowy pisarz nie przypisuje specjalnej wagi do inżynierii, czy to duszy ludzkiej czy jakiegokolwiek innej. Pracuje w pewnym stopniu jak rzemieślnik tworząc dobre lub złe dzieła, w zależności od sytuacji i mocy własnego talentu.

Jeżeli pisarz żyje w systemie tyranii jego praca i możliwości są ograniczone a wszelki opozycjonizm karany. Natomiast w partii komunistycznej nad twórczością pisarza unosi się aureola mistycznego znaczenia. Przestaje być zwyczajnym zawodowym pisarzem i przemienia się w inżyniera duszy ludzkiej. Jest albo ramieniem władzy albo wrogiem władzy. Śmiech i bezpośredniość nie są już dłużej jego udziałem. Radość pisania dla rozrywki — dla przyjemności tworzenia — jest mu wzbroniona.

Nigdzie na świecie poza partią komunistyczną proces twórczy nie jest tak sondowany i analizowany i nigdzie rezultaty nie są bardziej jałowe.

Nie byłem świadomym obserwatorem tego procesu i nie twierdzę, że moja pozycja i reakcja były lepsze czy inne. Gdybym sam nie uległ temu procesowi nie wiele miałbym w tej chwili do powiedzenia na ten temat. Krytyczna ocena tego co pisałem w owym okresie ujawnia tę samą ciasnotę i brak tolerancji, a więc cechy typowe dla wszystkich innych materiałów partyjnych.

Tylko głęboka osobista sympatia dla H.L. Menckena powstrzymała mnie od głupich napaści i wycieczek pod jego adresem, w których celował Mike Gold. To samo dotyczy Eugene O'Neila i innych pisarzy wybitnego talentu i wyobraźni, którzy byli wyszydzani i ośmieszani przez Mike Gold'a, Johna Howarda Lawsons, V.J. Jerome i tylu innych.

Powstrzymałem się o! bezsensownych ataków na wyżej wymienionych pisarzy, atakowałem jednak innych szukając w ten sposób rekompensaty za cięgi, które sam otrzymywałem.

Chciałbym opowiedzieć pewien epizod, rzucający charakterystyczne światło na moją ówczesną sytuację. W roku 1949 odczuwałem już wyraźnie i boleśnie skutki „czarnej listy” na której się znalazłem. Postanowiłem przeto zarobić na życie napisaniem powieści pod pseudonimem. Napisałem powieść w rodzaju, który Graham Greene nazywa „powieścią rozrywkową”. Pisanie tej powieści sprawiło mi

dużą satysfakcję. Utwór utrzymany był w lekkim tonie, lecz nie był bez pointy. Powieść nosiła tytuł „Upadły Anioł” (The Fallen Angel). Pierwsza firma wydawnicza, której tę powieść przedłożyłem, przyjęła ją natychmiast do druku. Lecz po pewnym czasie wydawcy w jakiś sposób rozszyfrowali mój pseudonim. W konsekwencji tak przerażili się ewentualnych napaści, w wypadku gdyby wydrukowali moją powieść pod pseudonimem a ktoś odkrył że ją napisałem, że zdecydowali się umieścić moje pełne nazwisko na wewnętrznej stronie obwoluty książki.

Książce zaszkodziło to nie tylko w sensie handlowym. Komisarze z sekretariatu Partii wytoczyli natychmiast przeciwko mnie cały arsenał zarzutów i oskarżeń. Ponieważ w tej powieści — pisanej w sekrecie i pod pseudonimem — wypłynęły na powierzchnię wszystkie moje skryte i tajone „burżuazyjne” tendencje i zamiłowania.

Groteskowy komizm tej sytuacji dostępny jest tylko dla obserwatora z zewnątrz. Dla pisarza, jego rozkład umysłowy i moralny nie jest komiczny. **A u mety** — jak w moim wypadku — pisarz musi wyznać, że ów proces partyjny transformacji był w gruncie rzeczy jego własnym dziełem.

22.

Tak się to wszystko stało. To nie jest pełna historia mojego życia i mych doświadczeń w partii komunistycznej. Wątpię czy kiedykolwiek napiszę pełną historię tego okresu i wątpię bym kiedykolwiek zapragnął powracać do tego tematu. To są sprawy o których mówi się z trudem i niechętnie.

Czytelnicy, którzy sięgnęli po tę książkę w nadziei, że znajdą w niej sensacyjne ujawnienie jakichś sekretów zawiodą się, gdyż nie odkrywam żadnych tajemnic i nie mam nic do powiedzenia na temat tak zwanego „komunistycznego spisku”. W oparciu o wiedzę, za którą zapłaciłem dobrą cenę, twierdzą, że nie istnieje żaden komunistyczny

spisek w sensie jaki słowom tym nadają łowcy sensacji i zawodowi antykomuniści. Bezsensowna bajeczka wymyślona przez fabrykantów propagandy przysyłania prawdę bardziej straszliwą i groźną niż wszystkie sny propagandystów. Tą prawdą i tą rzeczywistością jest partia komunistyczna.

My, pisarze, zdobyliśmy jedyne i szczególnie ważne doświadczenia w czasie naszego pobytu w Partii. W niniejszej książce przedstawiłem krótki zarys moich własnych przeżyć. Czytelnik był świadkiem zdumiewającego procesu, który tym, którzy posiadają wyobraźnię mógł się nawet wydawać przerażający.

Jedną z kardynalnych zdobyczy protestanckiej Reformacji było odkrycie i rozwinięcie do nowych wyżyn starodawnej wiary judejskich proroków — wiary głoszącej zasadę indywidualnej odpowiedzialności człowieka za swoją duszę i czyny. Żydzi, rozwijając monoteizm swoich proroków — mam tu na myśli raczej rozwój socjalny niż czysto religijny — wysunęli koncepcję „kontraktu” między człowiekiem a jego Bogiem. To pojęcie kontraktu, czy umowy jest punktem centralnym Judaizmu. Wedle tej doktryny człowiek ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za swoje czyny. Musi sam decydować o sprawach mających charakter społeczny i musi dbać, by jego decyzje były zgodne z prawem ustanowionym przez Boga.

Rozwinięcie tej idei przez wojujący protestantyzm stanowiło wielki krok naprzód w rozwoju kultury Zachodu, ponieważ oznaczało podniesienie pewnych wartości etycznych i moralnych, zrodzonych z walk uciemiężowych przeciw tyranii, do rangi stałych norm moralności i sumienia. Żaden człowiek nie rodzi się z sumieniem czy z moralnością. Sumienie jest owocem wpływu narodu, grupy społecznej, rodziny. A gdy ten kapitał etyczny formujący sumienie jednostki wypływa z wiekowych zmagania z krzywdą, z niewolnictwem, z uciskiem — wówczas etyka wywodząca się z tych źródeł i doświadczeń jest humanistyczna, tolerancyjna, związana z życiem i z wolnością.

Mamy za sobą długą i wspaniałą historię rewolucji, którą — jak słupy milowe — znaczą dzieje ludzkiego postępu. Do czasu rewolucji bolszewickiej każda z tych rewolucji przynosiła w rezultacie poszerzenie sfery wol-

ności jednostki. Dotyczy to rewolucji, które marksiści określają mianem „rewolucji burżuazyjnej”. Natomiast rewolucja bolszewicka wyróżnia się tym, że ograniczenia wolności jednostki stosuje jako środek mający służyć urzeczywistnieniu celu zasadniczego to jest pełnej i całkowitej wolności. Powyższa przesłanka stanowi podstawę teorii dyktatury proletariatu.

Na łamach tej książki zastanawiałem się nad zagadnieniem czy może istnieć sprzeczność tego typu między istotą środków a istotą celów. W moim przekonaniu — nie.

Komisarz jest „Wielkim Bratem” i jego misją i rolą w najistotniejszym znaczeniu tych słów jest to, że zastępuje odpowiedzialność ludzkiego sumienia. „Wielki Brat” naucza, że w obecnej sytuacji istota pojęć „słuszne” i „niesłuszne” uległa zmianie i wskutek tego jednostka nie jest zdolna w oparciu o indywidualne sumienie wyrokować co jest słuszne a co niesłuszne. W ostatecznej fazie rozwoju idącego po tych liniach, komisarz zastępuje sumienie ludzkie „świętym pismem”, które tylko on w swej arcykapłańskiej funkcji władny jest interpretować.

Upiorne piekło — będące nieuchronną konsekwencją tej ewolucji — wyziera z każdego słowa tajnego referatu Chruszczowa, wygłoszonego na zamkniętej sesji Dwudziestego Kongresu Sowieckiej Partii Komunistycznej. Jeżeli bowiem jednostka zostaje obrabowana z sumienia to społeczeństwo, którego jednostka jest członkiem, pozbawiona zostaje zarówno etyki jak i moralności. Zanikają wszelkie kryteria i normy a pojęcie zła i dobra zatracą swój sens.

Ten sam ruch komunistyczny który kiedyś, w okresie prześladowań i walki, poprzysiągł zniesienie kary śmierci i wymazanie jej z ludzkiej pamięci, dziś, słowami swych przywódców, szydzi z dawnych postanowień.

Morderstwo nie jest dziś słuszne czy niesłuszne, sprawiedliwe czy niesprawiedliwe. Morderstwo jest tylko potrzebne lub niepotrzebne, politycznie wskazane lub niewskazane. To samo dotyczy tortur, wolności słowa i wszystkich form społecznej sprawiedliwości.

Jedną z istotnych definicji Karola Marksa dotyczy wolności, którą określa on jako uznanie konieczności. Uznanie konieczności zmusza ludzi do szukania poprawy

warunków bytu tak w sferze materialnej jak i społecznej. Zarówno w referacie Chruszczowa jak i w serii wypowiedzi, których intencją była obrona tego referatu, przewija się myśl, że wszystkie mordy i zbrodnie wyliczone w referacie można wyjaśnić nad-gorliwym „uznaniem konieczności” obrony Związku Sowieckiego przed imperialistyczną agresją i penetracją. To jest typowy przykład zniekształcania marksizmu który, w udogmatyzowanej formie, prowadzić musi do wymierania wolności.. w imię wolności.

Lecz ta lekcja przeznaczona jest nie tylko dla nich, lecz i dla nas, bo my — w innym sensie — uważamy się również za „mężów sprawiedliwych”.

Na Zachodzie ustanowiliśmy pewne instytucje w ramach, których dokonywuje się rozwój demokracji. W Rosji nie istnieją takie możliwości. Pijani władzą przywódcy sowieckiej partii komunistycznej odejdą i porzucą swą wschodnią świątynię udogmatyzowanej doktryny tylko wówczas, gdy naród nie będzie już zdolny znosić dłużej ich rządów. Chwila ta nadejdzie z pewnością. Tylko nasza własna głupota może ją opóźnić.

To wszystko stanowi część wniosków, do których doszli w oparciu o swe doświadczenie pisarze komunistyczni. A raczej pisarze, którzy byli komunistami. Pociągała nas legenda wolności, braterstwa między ludźmi i społecznej sprawiedliwości. Pociągała nas nadzieja pokoju. Gdy odkryliśmy prawdziwe oblicze komunizmu — nie pozostało nam nic prócz walki. Moi koledzy i towarzysze w różnych krajach ponieśli śmierć. Przypieczętowali śmiercią umiłowanie ideału prawdziwej wolności i sprawiedliwości i przyjdzie chwila, że ich ofiara nie wyda się próżna i bezsensowna.

Moja własna historia, którą starałem się tu krótko naskikować, choć stanowi tylko cząstkę obrazu, posiada jednak pewną obiektywną wartość. Ilustruje bowiem metody, którymi posługuje się komisarz w strategii zmierzającej do zniszczenia pisarza.

Ale przecież im się to nie powiodło! Nie zdołali zniszczyć ani jednego pisarza posiadającego talent i charakter. Jeżeli — tak jak na przykład w Stanach Zjednoczonych — nie mają do swojej dyspozycji plutonów egzeku-

cyjnych i pałek, ich magia zawodzi. A i w krajach ujarzmionych pisarze nie byli ulegli.

Sumienie pisarza jest kuźnią jego sztuki. Gdy rezygnuje ze swego sumienia — rezygnuje ze wszystkiego. Cena jego kapitulacji jest ceną najwyższą.

Musimy jednak zrozumieć, że pisarz komunistyczny płaci nie tylko za swój upadek, lecz płaci również za swoje zmartwychwstanie. Tak oto płaci dwa razy i za każdym razem płaci swym życiem.

Myszę w tej chwili o pewnym wieczorze w roku 1946, który wraz z moją żoną spędziliśmy wspólnie z Alfredem Kantorowiczem, w przeddzień jego wyjazdu z Ameryki i powrotu do Niemiec Wschodnich okupowanych przez Sowiety. Na to spotkanie cieszyliśmy się wraz z żoną od dawna. Planowane spotkanie długo nie dochodziło do skutku, w ostatniej chwili zawsze coś krzyżowało nasze projekty. A to był wieczór ostatni przed powrotem Kantorowicza do domu.

Było w tym coś symbolicznego i wspaniałego. Oto niemiecki antyfaszysta, pisarz, historyk i intelektualista, weteran hiszpańskiej wojny domowej, wygnaniec, który nareszcie po długiej, zbyt długiej, tułaczce wraca do siebie do domu. Zmęczony, szczupły mężczyzna, z twarzą znaczoną głębokimi bruzdami i płomieniem nadziei w oczach, płomieniem, który nigdy nie gasł. Patrząc na niego myślałem, że ten dziwny, zmęczony, samotny i szlachetny człowiek jest bohaterem-symbolem naszej epoki. To jego zawołaniem była pieśń, znana dziś na całym świecie, „my się nigdy nie poddamy!”. Nie poddał się nigdy i oto dziś wraca do domu.

Spędziliśmy wieczór na wielogodzinnej rozmowie. W słowach Kantorowicza brzmiała nuta współczucia, bo w Ameryce odzywały się już pierwsze fanfary zwiastujące represje w stosunku do komunistów, podczas gdy on wracał (w co wówczas wierzył niezachwianie) do domu, do triumfującego socjalizmu, do równości, sprawiedliwości społecznej i demokracji. A nas, swoich przyjaciół, pozostawiał tutaj niepewnej przyszłości.

W ten wieczór wierzyliśmy, podobnie jak Kantorowicz, że nasze nadzieje oparte są na solidnym fundamencie. Lecz z upływem czasu nadzieje zaczęły gasnąć i blednąć.

Staralem się w tej książce uwypuklić punkty, które znaczyły drogę odpływu moich nadziei i mojej wiary. Nie znam dróg Kantorowicza i mało wiem o jego losie od chwili gdy pożegnaliśmy się owego wieczoru w Nowym Jorku w 1946 roku. Początkowo korespondowaliśmy z sobą żywo, ale po pewnym czasie jego listy stawały się coraz rzadsze a treść ich coraz bardziej lakoniczna. Aż nagle, któregoś dnia, otrzymałem od niego wiadomość z Niemiec Zachodnich. Pisał do mnie: „straciłem wszystkie nadzieje!”.

„Rewolucja literacka” — pomyślałem. Ale to nie jest gest literacki, ale krzyk z samej głębi zrozpaczonego serca. Sartre w swym wybuchu gniewu i nienawiści spowodowanym sowiecką interwencją na Węgrzech wypowiedział znamienne słowa: trzeba sobie zasłużyć na prawo potępienia komunizmu. Czy to jest wszystko czegośmy się dosłużyli przez te lata znaczone utraconymi nadziejami i storturowanymi ciałami?

Gdy Kantorowicz znalazł się poza zasięgiem władzy komunistów oświadczył: „Opuściłem kraj gdzie rządzi terror Ulbrichta”.

Jeżeli ktoś chce pojąć dramat dwudziestego wieku niech stara się wniknąć w splot życia takich ludzi jak Kantorowicz. Jego wspaniała, samotna godność i męczeński trup towarzysza Kedrowa — to dwa bieguny wytyczające wymiar tragedii komunizmu.

Nie głupie, propagandowe programy telewizyjne; nie nonsensy na temat „spisku” dążącego do obalenia przez mocą rządu Stanów Zjednoczonych; nie obłąkane improwizacje płynące z chorych mózgów zawodowych świadków: chodzi tu o coś niepomierne bardziej głębokiego, straszliwszego, bardziej ludzkiego i bardziej dla ludzkości istotnego.

Co porzucił Kantorowicz na pastwę losu uciekając spod władzy komunistycznego terroru? W swoim oświadczeniu dla prasy wspomniął o tysiącach książek, manuskryptach, listach, notatkach, o tych dla każdego pisarza bezcennych materiałach, które stanowią istotną część jego pisarskiego warsztatu. Najbiedniejszy człowiek posiada garść przedmiotów, trochę sentymentalnych pamiątek, bucik pierwszego dzickeka, kawałek wstążki, fotografie, kilka

książek. Tak wygląda bieda, lecz nie nagość. Uchodźca, emigrant polityczny, nie ma nic — jest nagi.

Nie znam Ulbrichta a równocześnie wydaje mi się, że znam go dobrze. Ulbricht nie jest anty-ludzki jak Hitler lecz nieludzki jak Stalin. To jest różnica. Hitler zwrócił się z furią przeciw wolności, moralności, bogactwu kultury i piękna i niezaprzeczanym prawom, które człowiek dla siebie wywalczył. Stalin nie przeciwstawiał się, ale po prostu wszystko to odsunął na bok. Ulbricht jest „mężem sprawiedliwym”, bo w swych szatach arcykapłańskich pełni służbę przed ołtarzem nagiego bożka. Gdzieś, na samym dnie swej zeschniętej duszy, wyczuwa, że bożek jest nagi. Ulbricht wie, że bożek jest nagi, lecz przekroczył już punkt w którym wiedza mogła go wyzwolić. Utracił wszelki kontakt z człowiekiem. Dla niego nie istnieją już ani nadzieje, ani wizje, ani wielkie marzenia. Wszystko co mu pozostało to troski związane z utrzymaniem się przy władzy. Byłoby bezcelowe zastanawiać się czy Ulbricht jest normalny, czy pomyłony. Ważne jest tylko, że należy do innego świata. Jeszcze ważniejsze zaś, że Kantorowicz jest z nami.

Któż, czytając te słowa Kantorowicza, zdoła oprzeć się wzruszeniu:

„.... żegnam na długo, a kto wie czy nie na zawsze, przyjaciół-robotników, towarzyszy walk przeciw krwawemu terrorowi hitlerowskiemu; żegnam tych, którzy w przekonaniu, że walczą o słuszną sprawę narażali wraz ze mną życie w brygadzie międzynarodowej na frontach Madrytu, Prozo Blanco, Teruelu. Żegnam tych spośród nich, którzy później dopełnili swego losu w obozach koncentracyjnych i więzieniach.

Winiem również słowa pożegnania moim godnym szacunku kolegom z wydziału filozoficznego uniwersytetu Humboldta, moim asystentom i studentom, którym tak wiele zawdzięczałem w mojej pracy naukowej i literackiej. Oni wszyscy, bez wyjątku, będą obecnie zmuszani opluwać mnie i oczerniać, nazywać zdrajcą i renegatem tylko dla tego, że usiłowałem pozostać wiernym samemu sobie”.

Zastanówmy się przez chwilę nad słowami Kantoro-
wicza. Sartre ujął ten problem w słowach: „Człowiek
skazany jest na wolność”. Skazany — ponieważ nie stwo-
rzył samego siebie, lecz we wszystkich innych dziedzinach
jest wolny. Z chwilą gdy człowiek jawi się na tym świe-
cie ponosi odpowiedzialność za wszystkie swoje czyny.

Nie wiem czy powyższe ujęcie wyraża ostateczną
prawdę i nie wiem czy ostateczna prawda jest nam
w ogóle dostępna. Wydaje mi się jednak, że w przytoco-
nych słowach Sartre'a mieści się więcej prawdy o pisarzu
niż w jakichkolwiek innych, do tej pory wypowiedzianych.
Na pisarzach spoczywa ciężar współtworzenia. Tworzymy
stronice naszych dzieł nie jak bogowie, lecz jako zaangażo-
wani obserwatorzy. Jesteśmy przykuci do ideału ludz-
kiego braterstwa i w chwili gdy bierzemy pióro do ręki
nie sprzedajemy duszy szatanowi lecz wypełniamy misję
nałożoną na nas przez Człowieka. Jeżeli tej misji nie zdra-
dzimy czeka nas nagroda odpowiadająca naszym osiągnię-
ciom.

Sądzę, że dotyczy to wszystkich pisarzy. Jak w innych
zawodach tak i w rzemiośle pisarskim skala sięga od par-
tactwa po geniusz. Lecz nie może być inaczej. Wszystko
co piszemy staramy się pisać jak najlepiej. Jeżeli jednak
uchylamy się od odpowiedzialności wypływającej z istoty
naszej twórczości, wówczas klęska nasza jest straszliwsza
niż kogokolwiek innego w analogicznej sytuacji.

W sumie jednak sądzę, że ci z nas, którzy przeszli
przez to wszystko i zerwali, odcięli się od przeszłości i pod-
jęli nowe życie, nie wylądowali po drugiej stronie z pusty-
mi rękami bez żadnej korzyści. Zdobyliśmy istotną wiedzę
dotyczącą rytmu naszej epoki. Jak wiemy, nie ma postępu
bez nauki. Naukę zdobywa się doświadczeniem a doświadcze-
nia bywają bolesne.

Tym bolesniejsza musi być udręka tych, którzy nie
zerwali i zerwać nie mogli. Mamy za sobą podróż dziwną
i niełatwą, ale przecież osiągnęliśmy metę.

I wreszcie, na samym końcu, jest lęk. Lęk, który nie byłby możliwy, gdyby partia komunistyczna była tylko organizacją. Jest to głęboki i straszliwy lęk znany tylko tym, którzy zaprzękali się ciałem i duszą fałszywemu bogu.

Gdy komunista opuszcza Partię musi przejść przez szczególniejszy czyściec, którego nikt nie zna i nikt pojąć nie jest w stanie prócz tych, którzy mają to przeżycie za sobą.

Prostak zauważy w tym miejscu: „przecież my od samego początku znaliśmy prawdę o partii komunistycznej. Dla czegoż ty potrzebowałeś tak długiego czasu, by dojść do tej prawdy?”

Do jakiej prawdy? Nawet w tej krótkiej książce przytoczyłem sytuację i zagadnienia, które poza ramami ruchu komunistycznego bardzo mało ludzi rozumiało.

W jednym z wstępnych rozdziałów tej pracy przytoczyłem słowa, które cytuję powtórnie:

„My komuniści pouczaliśmy narody świata jak należy umierać z godnością i odwagą, lecz gdy na nas przyszła kolej umierać z rąk tych morderców, odebrano nam nawet pociechę umierania z godnością...”

W tych słowach zawarta jest całość istoty zagadnienia. Ten kto uważa, że komunista nie może być człowiekiem godnym i szlachetnym, nigdy nie zrozumie i nie pojmie ponurych zbrodni popełnionych przez Partię. Życie nie jest takie proste jak się to prostakom wydaje. Młody Amerykanin z przedmieść Nowego Jorku czy Chicago, który wstąpił do partii komunistycznej a następnie zgłosił się na ochotnika, by walczyć w Hiszpanii przeciwko ciemnym siłom faszyzmu, nie był potworem. Wylądował w piekle doliny Jarana i musiał nauczyć się umierać wpieryw nim nauczycieli go strzelać. Ten młodzieniec nie był potworem lecz najdzielniejszym i najprawdziwiej ludzkim typem człowieka naszych czasów.

Proszę czytelnika, by starał się wniknąć i zrozumieć ten problem, bo jest on ważniejszy niż wszystko inne. Sięgnijmy po inny przykład.

Nie wiem czy w Stanach Zjednoczonych ukazała się w druku udokumentowana historia trzech tysięcy polskich

komunistów, którzy zostali wymordowani przez sowiecką tajną policję z rozkazu Stalina. Lecz co najmniej sześciu godnych zaufania i znanych Polaków opowiadało mi tę historię i każdy z nich podkreślał fakt, że zamordowani — by użyć słów mych informatorów — „stanowili śmietankę polskiego ruchu komunistycznego i byli najlepsi i najdzielniejsi”.

Tak oto potwór wymordował „najlepszych i najdzielniejszych” ze swojej Partii. To również nie jest proste. Cokolwiek Partia niszczy, niszczy sama siebie, wewnątrz siebie — czy to mordem, czy lękiem, czy duchową kastracją. Partia wyznaje racjonalizm i rozum, lecz jest wrogiem racjonalizmu i rozumu. Głosi postęp, a doprowadza wszystko do stagnacji. Zgłasza pretensje do nieśmiertelnego, wiecznego trwania, mimo że jej dzieje splamione są niehumanitarnymi zbrodniami, jakich żaden inny ruch polityczny nie ma na swoim sumieniu.

Podstawę marksizmu stanowi twierdzenie, że pewne są tylko zmiany i skutek tego tylko zmiany są wieczne. Obowiązkiem komunistów jest odrzucić precz mitologię, arcykapłanów, świątynie i magiczny rytuał. Jest to ich obowiązkiem nie w stosunku do Partii, lecz w stosunku do ludzkości. Natomiast obowiązkiem nie-komunistów jest starać się zrozumieć historyczny rozwój partii komunistycznej.

Zadna siła na tej ziemi nie zniszczy partii komunistycznej, ale pod naporem prawdy komunizm zginie jak śnieg pod promieniami wiosennego słońca.

Czas komunizmu minął. Narody rosyjski i chiński znajdują się w przededniu takiego rozkwitu i rozwoju, o jakim nikt nawet nie ośmielał się marzyć w pierwszych dziesięcioleciach bieżącego stulecia. Z drugiej strony należy stwierdzić, że cały świat znajduje się u progu międzynarodowej cywilizacji, która władna będzie zlikwidować raz na zawsze koszmar wojny i nędzy. Tylko głupiec mógłby sądzić, że klika pomyleńców, która według świadectwa Chruszczowa omal nie doprowadziła od klęski w okresie wojny z hitlerowskimi Niemcami — przyczyniła się pozytywnie do budowy rosyjskiej cywilizacji. Nie ma żadnego problemu czy zadania w Związku Sowieckim, którego nie byłoby w możliwości rozwiązać twórczo robotnicy, inżynierowie, uczeni, nauczyciele, artyści. Uwolnione od paso-

żytniczego ciężaru partii komunistycznej — posiadając rząd demokratycznie wyłoniony przez społeczeństwo — narody Związku Sowieckiego w krótkim przeciągu czasu przemieniłyby swój bogaty kraj w ogród obfitości.

Tylko naród rosyjski może rozwiązać problem sowieckiej partii komunistycznej, podobnie, jak każdy inny naród sam musi rozwiązać problem swego ruchu komunistycznego. Partia komunistyczna zniknie zniszczywszy monstrualną, monolityczną strukturę swej świątyni tylko wówczas, gdy poważny procent członków Partii zrozumie istotę komunizmu.

Wpierw trzeba przewyciężyć lęk, ponieważ lęk przed tajemniczym nienazwanym bożkiem jest żywotnym nerwem każdej partii komunistycznej. I my w Stanach Zjednoczonych nie stanowiliśmy wyjątku od tej reguły. Pod naciskiem „zawodowych patriotów” przemieniliśmy chwiejący się gmach świątyni magii i komunistycznego rytuału w olbrzyma pożerającego ludzi.

Siła Partii i jej słabość wywodzą się z identycznych źródeł — stanowią jedno. Żadna organizacja, oparta o pseudo-religijny żargon, scementowana neurotycznym strachem a racjonalne rozumowanie zastępująca magicznym rytuałem — nie ma szans przetrwania w drugiej połowie dwudziestego wieku. Tylko zachodnie narody mogą komunistom pomóc w przetrwaniu. Chruszczow z całą pewnością doskonale wie, że wojna jest jedną z niewielu, jeżeli nie jedyną, szansą zjednoczenia całego narodu rosyjskiego, który w wypadku konfliktu stanąłby za nim. Jeżeli więc narody zachodnie ulegną psychozie wojennej i dążyć będą do zaostrzenia sytuacji — lub dozwolą konfliktowi dojrzeć do punktu, w którym wojna stanie się nieuchronna, wówczas katastrofę przeżyłaby prawdopodobnie tylko partia komunistyczna jako jedyna funkcjonująca organizacja, zdolna do rządzenia.

Niech Bóg nas ma w swojej opiece jeżeliby do tego dojść miało! Przeżywamy jeden z tych szczególnych momentów historycznych, kiedy zasadnicze tendencje ewolucji społecznej są w trakcie krystalizacji. Powinniśmy wzmóc w sobie wiarę w to co jest na progu, to znaczy w światową, międzynarodową cywilizację. Winniśmy być cierpliwi. Wydaje się, że historia wydała już swój wyrok

na partię komunistyczną i być może świt demokratycznego, humanistycznego socjalizmu jest już bliski.

Znajdujemy się pomiędzy kontrastowymi biegunowymi możliwościami — aktów mądrości i przezorności — a grozą totalnego zniszczenia. Jeżeli działac będziemy mądrze, z tolerancją, ze zrozumieniem, a przede wszystkim z dobrą wolą w stosunku do narodów Wschodu — to być może jeszcze własnymi oczami oglądać będziemy pokojową współpracę demokratycznego socjalizmu z demokratycznym kapitalizmem — współpracę zmierzającą do budowy lepszego świata dla naszych dzieci.

24.

W przeciwieństwie do innych moich prac, książkę tę pisałem w ustawicznym ruchu, w akcji. Na tych stroncach uwieczniona jest historia. Rozpocząłem prace nad tą książką od napisania dłuższego artykułu do pewnego magazynu. Nim artykuł ukazał się w druku był już cytowany i atakowany. I tak oto skrzyżowałem szpady z ludźmi, z którymi niegdyś współpracowałem. Książka powstała w miarę narastania walki. Rodziła się w furii i w męce i tym różni się od wszystkich swoich poprzedniczek.

W chwili gdy przystępowałem do napisania tej pracy, w Związku Sowieckim odmawiano mi prawa zarówno do życia jak i do śmierci. W Rosji nikt jeszcze nie wiedział (z wyjątkiem góry partyjnej), że definitywnie zerwałem z partią komunistyczną. Dopiero w kilka tygodni później pewien student amerykański, przebywający czasowo w Rosji, wyjawił tajemnicę i wiadomość — niczym iskra elektryczna — obiegła natychmiast cały Związek Sowiecki. W tej sytuacji władze sowieckie przerwały milczenie i podjęto przeciwko mnie ostry atak na łamach „Gazety Literackiej”. To pismo bowiem ustala zawsze „literacką” linię partyjną.

A dziś, gdy piszę ostatnie strony tej książki, nadeszła niesprawdzona wiadomość, że Ilia Erenburg zerwał z ko-

munizmem. Czy to możliwe? — zapytuję samego siebie. Czy to możliwe, że nawet Erenburg, który w strachu o własną skórę milczał, gdy mordowano jego towarzyszy, kolegów i współ-rodaków Żydów — że nawet on zdobył się na odwagę i poniósł głos protestu? Tak oto — gdy piszę tę opowieść o terrorze, męce, koszmarze, odwadze i strachu — wypadki na scenie historycznej biegną równoległe do toku akcji książki. Lecz jakże wiele kwestii pozostało nierozwiązanych.

Czy partię komunistyczną opuszcza się tak, jak się do niej wstępuje? Czy jest rzeczą możliwą wyjaśnić komuś z zewnątrz ów dziwny proces?

Dziesięć lat temu, w 1947 roku, skierowałem do dwóch moich przyjaciół, którzy byli komunistami znacznie dłużej ode mnie, następujące pytanie: „Czy jest możliwe wytrwać w ruchu komunistycznym? Jak to się robi?”

Żaden z moich przyjaciół nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Faktem jest jednak, że zarówno oni jak i ja wytrwaliśmy w ruchu komunistycznym przez wiele następnych lat.

Czytelnika może zainteresuje jak doszło do owych dziwnych pytań. By to wyjaśnić, muszę opowiedzieć pewien charakterystyczny epizod.

Działo się to w Waszyngtonie, w czasie przesłuchiwań prowadzonych przez tak zwany Komitet dla Badań Anty-amerykańskiej Działalności. Przedmiotem przesłuchiwań była działalność amerykańskiej partii komunistycznej. Jeden z wspomnianych wyżej moich przyjaciół był w tym czasie kierownikiem waszyngtońskiego biura „Daily Worker'a”; drugi mój przyjaciel był redaktorem tego pisma. Ja występowałem jako literacki współpracownik „Daily Worker'a”. Sprawa była jednak na tyle ważna, że kierownictwo Partii zdecydowało wysłać na przesłuchanie trzech ludzi.

W pewnym punkcie przesłuchiwań wystąpił w charakterze dobrowolnego świadka Eugene Dennis. Nie był on wówczas wezwany urzędowo i ofiarował swe usługi jako gest „szczeroci” ze strony Partii. Lecz szczeroci i otwartosci nigdy nie stanowiły mocnej strony Dennisa i jego zeznania upadły na pierwszym pytaniu. Zapytano go o nazwisko. Dennis odpowiedział: „Nazywam się Gene Dennis”. Wówczas jeden z kongresmanów zapytał

go, czy nigdy nie używał innego nazwiska. Na to Dennis wstał i oświadczył, że w świetle obowiązujących ustaw amerykańskich nazwisko, które podał jest jego nazwiskiem legalnym i wskutek tego nie jest zobowiązany składać w tej sprawie jakichkolwiek dodatkowych wyjaśnień. Sytuacja zaogniła się i po chwili przewodniczący Dennisa zwolnił. Gdy opuszczał salę podążył za nim tłum reporterów zarzucając go pytaniami.

W gruncie rzeczy Dennis wygrał, podkreślając niezaprzeczalne prawo do nazwiska, którego używał w swojej pracy i działalności. Podeszedłem wówczas do niego i powiedziałem mu, że w mojej opinii w tej sprawie miał moralne poparcie wszystkich reporterów i korespondentów obecnych na sali. Jego reakcją na moje słowa było zdumione i podejrzliwe spojrzenie, jakby nie rozumiał co mu zakomunikowałem. Dennisa nie cechowała subtelność, i opinia, że reporterzy bez względu na sytuację, mogą być czymś innym niż jego śmiertelnymi wrogami po prostu nie mieściła mu się w głowie.

Dennis nie rozmawiał wówczas z reporterami, lecz John Gates, który towarzyszył mu jako reprezentant prasy partyjnej, oświadczył zgromadzonym tłumnie dziennikarzom, że za godzinę w pokoju Dennisa odbędzie się konferencja prasowa. Gates podkreślił, że w czasie tej konferencji Dennis złoży oświadczenie o wadze ogólnonarodowej.

Do dziś nie jestem pewien czy Gates, mówiąc wówczas do reporterów, znał treść tego oświadczenia. Ani ja, ani dwóch moich przyjaciół, nie znaleźmy owego „historycznego” tekstu. Dennis sądził, że byłoby to poniżej jego godności gdyby poinformował nas w tej sprawie. Nigdy nie pozwalał sobie na „fraternizowanie” się z towarzyszami, którzy stali niżej od niego w hierarchii partyjnej.

W chwili gdy konferencja miała się zacząć, pokój wypełniony był już po brzegi przedstawicielami prasy waszyngtońskiej. Zdaje sobie sprawę ile zarzutów i ataków posypie się na tę książkę gdy ujrzy światło dzienne. By jednak uniknąć jakichkolwiek nieporozumień w sprawie owej konferencji wyjaśniam, że obecny był na niej Bert Andrews z „New Herald Tribune”, który stenografował osobiście i swój stenogram następnego dnia opu-

blikował drukiem. Jeżeli więc kogoś interesują szczegóły tego nieprawdopodobnego zebrania — odsyłam go do pełnego tekstu ogłoszonego na łamach „New York Herald Tribune”. Tutaj ograniczam się jedynie do punktów zasadniczych.

Po wstępnych banalnych frazesach wypowiedzianych przez Dennisa reporterzy zaczęli domagać się owego zapowiadanego oświadczenia o znaczeniu ogólnonarodowym. Wówczas Dennis uroczystym tonem obwieszczył zebranym, że kilka lat spędził w Chinach.

Dziennikarze oniemieli. Po chwili jednak padły głosy że nikogo to absolutnie nie obchodzi czy Dennis był czy nie był w Chinach. Domagano się coraz natarczywiej „deklaracji” o ogólnonarodowym znaczeniu. Dennis oświadczył, że swój pobyt w Chinach uważa za fakt o doniosłości ogólnonarodowej. Na to reporterzy odpowiedzieli, że najwidoczniej ich wzajemne wyobrażenie o wiadomościach wagi ogólnonarodowej nie pokrywają się ze sobą. W tym momencie Dennis przeszedł do ofensywy i zaczął być po prostu nieuprzejmy w stosunku do zgromadzonych reporterów.

Wreszcie Bert Andrews, szukając wyjścia z sytuacji, zapytał Dennisa, kto właściwie wysłał go do Chin. Na to Dennis odpowiedział, że misję wyjazdu do Chin powierzył mu naród amerykański.

Po tym nieprawdopodobnym nonsensem zapadło grobowe milczenie. „Pan chyba nie mówi tego poważnie?” — odezwał się wreszcie któryś z dziennikarzy. Bert Andrews zapytał z kolei Dennisa w jaki sposób naród amerykański powierzył mu tę misję — czy drogą ogólnonarodowego referendum, czy też może wysłano go jako dyplomatę? Dennis zamiast odpowiedzieć zaatakował Andrews'a nazywając go „płatnym skrybą burżuazyjnej prasy” itd. Zebrani dziennikarze powstali na to ze swych miejsc i nie ukrywając oburzenia i niesmaku opuścili salę. Pozostali tylko dziennikarze partyjni, lecz Dennis nie zdradził żadnej ochoty oświecenia nas na temat swej narodowej misji w Chinach. Wobec tego i my opuściliśmy pokój konferencyjny.

Zarówno ja jak i dwóch moich przyjaciół byliśmy dosłownie złamani i przerażeni sceną, której byliśmy przed

chwila ̄wiadkami. Jako członkowie Partii, mieliśmy obo-
wiązek niesienia pomocy naszemu przywódcy partyjnemu,
ale byliśmy tak przytłoczeni tym co zaszło, że nie mieli-
śmy nawet ochoty ze sobą rozmawiać. Pamiętam dobrze
jak szliśmy ulicami Waszyngtonu ponurzy i milczący.
I właśnie wówczas zadałem moim przyjaciołom owo py-
tanie : „Czy jest możliwe wytrwanie w ruchu komunisty-
cznym ?” Nie umieli na to odpowiedzieć. Zastanawiałem
się wtedy czy zbliżając się do Partii, poznając ją bliżej,
nie oddalam się od niej równocześnie ? Nie wiem. Po
chwili zapytałem moich dwóch przyjaciół raczej retory-
cznie :

— „Co powinien robić członek organizacji, której
przywódca jest albo idiotą albo wariatem ?”

Chociaż powyższe powiedzenie powtarzano sobie
w kołach partyjnych przez wiele lat, — jest rzeczą strasz-
ną tę historię ujawnić w druku. Jestem w pełni tego świa-
dom.

Groza tych lat ciążyła nad nami wszystkimi, lecz
nie jest łatwo wyodrębnić konsekwencje tego procesu
w stosunku do jednostki. Patrzyliśmy na naszych przywó-
dów partyjnych z pogardą i gniewem i mówiliśmy sobie :
„oni nie tworzą Partii — Partię tworzymy my !” Tegoż
wieczoru w Waszyngtonie jeden ze wspomnianych przy-
jaciół pocieszał nas : „gdy historyczny moment będzie te-
go wymagał — pojawią się przywódcy partyjni na wyso-
kości zadania”.

Lecz na razie żyliśmy w strasznym okresie. Z takim
przywództwem jakieśmy wówczas mieli. Któżby dziś mógł
powiedzieć cośmy wówczas naprawdę myśleli ? Nie było
łatwo przyznać się przed samym sobą, że w gruncie rze-
czy chcieliśmy wydobyć się z tego koszmaru i odejść. Czy
zaczyna się opuszczać Partię w chwili gdy się do niej
wstępuje ?

Co myśleli Węgrzy — komuniści i niekomuniści, gdy
referat Chruszczowa zdetonował ich uczucia w wybuch
czynu ? Co stałoby się w Rosji, gdyby „Prawda” wydru-
kowała pełny tekst tajnego referatu Chruszczowa ?

Pamiętam, że kiedyś, przed laty napisałem broszurę.
Uprosiłem jednego z najwybitniejszych artystów i naryso-
wał do niej kilka ilustracji. Jeden z tych rysunków przed-
stawiał grupę robotników. Artysta sportretował białych

robotników i w tej sprawie nikt nie mógł mieć żadnej wątpliwości. Lecz gdy broszurę wydrukowano w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy — Betty Gannett, członek sekretariatu Partii, oświadczyła, że ponieważ na jednym z rysunków spódnica młodej robotnicy uniesiona jest do kolan — stanowi to obrazę narodu murzyńskiego. Na rysunku spódnicę i bujne włosy młodej robotnicy podwiewał wiatr. Staraliśmy się wyjaśnić, że robotnica na rysunku nie jest Murzynką. Betty Gannett obstawała przy swoim, twierdząc, że sam fakt, iż czytelnik może tę robotnicę wziąć za Murzynkę stanowi obrazę dla całej klasy robotniczej Stanów Zjednoczonych.

W rezultacie cały nakład broszury, który kosztował pięć tysięcy dolarów zniszczono. A przecież te pieniądze pochodziły ze składek i opłat biednych pracujących ludzi.

Zarówno ja, jak i wszyscy znający tę sprawę, wiedzieliśmy, że to było czyste szaleństwo, i nie tylko szaleństwo ale przerażająca głupota. Czytelnik łatwo sobie może wyobrazić co się w nas działo. Twierdzą, że z latami te same uczucia gromadzą się w duszach wszystkich uczciwych komunistów na całym świecie. Każda bowiem partia ma swoich Dennisów i swoje Betty Gannett.

Twierdzą również, że w duszach wszystkich uczciwych komunistów od dnia wstąpienia do Partii gromadzi się poczucie krzywdy, udreki, gniewu.

W moim wypadku, i w wypadku tych co odeszli w tym samym okresie, wyładowanie nastąpiło po długim przeciągu czasu — po wielu latach spędzonych w Partii. Sądzę, że proces ten ulegnie obecnie znacznemu przyspieszeniu. Chory bożek był nagi od samego początku. Trzeba było tylko, by ktoś ten fakt stwierdził.

Pisząc poprzednie rozdziały trapiony byłem wielu wątpliwościami. Jest rzeczą niezmiernie trudną przedstawić daną sytuację w jej historycznym rozwoju i równolegle poddać ją analizie — tak, by wypływające wnioski

były jasne i zrozumiałe. Nie wiem w jakim stopniu mi się to powiodło i jedynym uprawnionym sędzią w tej materii jest czytelnik.

Moi dawni przyjaciele, którzy pozostali w Partii i są jej członkami do dzisiaj, byli gotowi wybaczyć mi wszystko co miałem do powiedzenia, pod warunkiem bym moich myśli i wniosków nie przelewał na papier. Uważali bowiem, że Dwudziesty Kongres a w szczególności przedstawiony na nim tajny referat Chruszczowa — stanowiły zapowiedź dalekosiężnych zmian w świecie komunistycznym. (Nawiasem należy stwierdzić co następuje: Dwudziesty Kongres Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego odbył się dnia 24 lutego 1956 r. Jednakże pierwsze wiadomości o Kongresie dotarły do Stanów Zjednoczonych dopiero w marcu zaś pełniejszymi informacjami nie dysponowaliśmy przed majem. Pełny tekst referatu, który Chruszczow wygłosił w lutym ukazał się w prasie amerykańskiej dopiero w czerwcu 1956 r.).

Przez pełny rok — to jest od lutego 1956 do lutego 1957 r. — oczekiwałem i milczałem nie wypowiadając publicznie moich krytycznych opinii. Przez te dwanaście miesięcy obserwowałem „wspinaczkę” na szczyty Kremla Nikity Chruszczowa przywódcy „nowego typu”. Nawet Stalin, przy całej swej dzikości i zimnym okrucieństwie, nie dawał takich publicznych popisów pijaństwa, grubiaństwa i pyszałkowatości. To było niewątpliwie coś nowego.

Jednakże w innych dziedzinach Chruszczow pozostał wierny stalinowskiej tradycji. Narzucił na ramiona płaszcz arcykapłana stając się z urzędu studnią wszechwiedzy i wszechmądrości. To jego rolą „nowego przywódcy” — było pokierowanie rewolucją pisarzy w Rosji, — rewolucją, która zaczęła nieśmiało kiełkować po Dwudziestym Kongresie. Rolą Chruszczowa było także wypowiedzenie decydującej opinii o sztuce i o kontroli nad sztuką i literaturą w ramach państwa komunistycznego. Wypełniając tę misję nowy przywódca pozbawił mnie ostatnich iluzji i skutecznie rozwił resztki moich wątpliwości.

O ile Fadejew, ówczesny przewodniczący Związku Pisarzy Sowieckich, wysłuchawszy rewelacji Chruszczowa popełnił samobójstwo — o tyle inni pisarze rosyjscy podjęli ochoczo ten sam taniec „wyzwolenia”, jaki i my przeżyliśmy w „Daily Worker”.

W jednym z poprzednich rozdziałów wspomniałem o książce pt. „Nie samym chlebem”. Fakt ukazania się tej książki zmusił zarówno mnie, jak i wielu innych, do zadania sobie pytania — czy książka ta nie jest zwiastunem poważniejszych przemian w życiu literackim Rosji.

W rzeczywistości jednak nie tylko krytycy zaatakowali Dudincewa. Okazało się to niewystarczające. Głowa państwa i przywódca Partii uznał za stosowne zabrać głos w tej sprawie :

„...W książce pt. „Nie samym Chlebem”, którą to powieść zagraniczna prasa reakcyjna starała się wygrać przeciwko nam, autor przedstawił tendencyjnie skomponowany zbiór ujemnych faktów z naszego życia i rozpatruje je w nieżyczliwej atmosferze. W książce Dudincewa są strony prawdziwe i dobrze napisane, lecz ogólna tendencja dzieła jest fałszywa u podstaw. Czytelnik donosi wrażenie, że autorowi nie chodzi o usunięcie z naszego życia owych ujemnych faktów, które opisuje — lecz przeciwnie wydać się, iż autor znajduje złośliwą radość w odmalowywaniu ich w możliwie jak najbardziej jaskrawych tonach. Tego rodzaju podejście do przedstawiania rzeczywistości w dziele literackim jest w gruncie rzeczy fałszowaniem rzeczywistości, którą ukazuje się czytelnikowi jak w krzywym zwierciadle”.

Powyższe słowa Chruszczowa są groźniejsze od analogicznych wypowiedzi przywódców partyjnych, utrzymanych w znanym tonie i przy akompaniamencie wyświechtanej frazeologii. Słowa Chruszczowa sprowadzają się do jednego zdania :

„Nie będziemy tolerować tego rodzaju książek”.

Czy to stanowi istotę tragedii ? Słyszałem od pewnych ludzi następujące opinie wypowiedziane z wielką troską : „Założmy, że pan jako pisarz musi zrezygnować z części swojej cennej wolności. Założmy, że czasowo będziemy musieli zrezygnować nawet z tzw. Wielkiej Literatury. Lecz czyż nie jest to doprawdy drobna ofiara w zestawieniu z olbrzymim krokiem naprzód ludzkości ku socjalizmowi ?”.

Sofistyka jest najniebezpieczniejszym typem rozumowania. Bo w tym wypadku nie tylko wóz postawiony jest przed koniem — jak mówi przysłowie angielskie — ale wóz postawiony jest do góry kołami, a koń do góry nogami. Odległy, nieistniejący cel, zrozumiały dla tych, którzy są zwolennikami socjalizmu — służy za usprawiedliwienia najbardziej tyrańskich środków, stosowanych wobec wszystkich. Lecz ta metoda nie jest nowa. Już Adolf Hitler zerował na tym monumentalnym kłamstwie. Nikita Chruszczow w cytowanym powyżej przemówieniu do pisarzy powiedział :

„Siła społeczeństwa sowieckiego polega na tym, że Partia i naród stanowią jedność”.

Wielu ludziom powyższe oświadczenie wyda się wątpliwe — ale tylko ten, kto spędził najlepsze lata swojego życia w Partii Komunistycznej — może w pełni zrozumieć jak potwornie i niewiarygodnie fałszywe jest oświadczenie Chruszczowa. Partia Komunistyczna i naród nie stanowią jedności i miliony komunistów na świecie widzą, że Chruszczow kłamie. Sądzę, że w tej książce przytoczyłem dostateczną ilość dowodów, uprawniających do twierdzenia, że Partia Komunistyczna nie stanowi jedności. Przeciwnie, Partia jest areną zaciętych i bezwzględnych walk, a jedność utrzymywana jest czystkami i krwawymi represjami. Istnieje w organizmie Partii stały antagonizm między masą członków a przywództwem i jego aparatem. O ileż większy musi więc istnieć antagonizm pomiędzy społeczeństwem a Partią w krajach, gdzie Partia Komunistyczna sprawuje władzę. Dopiero w tym świetle widać jak bezwstydnym kłamstwem są słowa Chruszczowa.

W cytowanym przemówieniu — Partia Komunistyczna ustami Chruszczowa zdefiniowała jasno, i w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości, swoje stanowisko w stosunku do pisarzy. Oto słowa Nikity Chruszczowa :

„Niestety pomiędzy pisarzami i artystami nie brak ludzi, którzy propagują tzw. „wolność twórczości”. Ci pisarze chcą byśmy przestali krytykować dzieła przedstawiające wypaczony obraz życia w Związku Sowieckim. Dla tych pisarzy i artystów

kierownicza rola Partii w sprawach literatury i sztuki jest czymś nie do zniesienia. Pisarze ci przeciwstawiają się przywództwu Partii, czasem bezpośrednio, częściej w formie pośredniej, krytykując rzekome tłumienie przez Partię inicjatywy twórczej, zbytnią opiekę nad sztuką itd. Jasno i wyraźnie stwierdzamy, że tego rodzaju poglądy są sprzeczne z lenińskimi zasadami Partii oraz stanowiskiem Partii i rządu w stosunku do literatury i sztuki”.

Tak oto wygląda oficjalna deklaracja wygłoszona w półtora roku po tajnym referacie i po Dwudziestym Kongresie. I tak oto wyglądają nowe wolności przyznane rosyjskim pisarzom.

Jakże mało rzeczy uległo zmianie! W roku 1954 dyplomaci sowieccy zapewniali mnie gorąco, że już nigdy Rosją nie będzie rządził jeden człowiek. Ale przez ubiegłe miesiące obserwowaliśmy w Sowietach powrót do jedynowładztwa. Cały świat przypatrywał się temu brutalnemu pięciu się na szczyt Kremla w stylu czysto stalinowskim. W obawie przed opinią międzynarodową Chruszczow powstrzymał się od zgladzenia swoich rywali co było w modzie w epoce wcześniejszej. Nowością był groteskowo ponury humor pewnych wypowiedzi Chruszczowa, o ile w ogóle humorem można to nazwać.

Wzorem rzymskich cesarów, którzy swych wrogów zsyłali do barbarzyńskich, kresowych prowincji imperium. Mołotowa, Malenkowa i Szepiłowa skazano na hańbiące wygnanie, a roześmiany i paplający pan Nikita Chruszczow reklamował przed światem swoje zwycięstwo i samego siebie jako symbol „nadziei międzynarodowego proletariatu”.

Ciekawy jestem co dziś czują ci współpracownicy „Prawdy”, którzy mówili z takim podziwem i sympatią o Szepiłowie wówczas, kiedy był redaktorem „Prawdy”. W sowieckim świecie ich myśli i uczucia pozostaną nieujawnione. Otrzymali świeże rozkazy i instrukcje, wzięli pióro do ręki i zaczęli tworzyć nowe ody na cześć sowieckich ludów. Ciekawy jestem co by pisali, gdyby i pan Chruszczow znalazł się pod kluczem.

Znam wielu pisarzy rosyjskich zarówno osobiście jak i poprzez korespondencję. Są to przeważnie ludzie mili

i bezpośredni i zgadzam się z Chruszczowem, że mogą być niebezpieczni. Prawdopodobnie Chruszczow nie zdaje sobie sprawy w jakim stopniu są oni niebezpieczni już dzisiaj. Jest rzeczą charakterystyczną dla tego męża stanu, iż zdradza więcej niż ubogą znajomość ludzi. Kaci na ogół nie są zainteresowani potrzebami i nadziejami ludzi. To nie należy do zakresu ich rzemiosła. Lecz z czasem kaci zaczynają odczuwać lęk przed ludźmi.

Pewien amerykański poeta napisał kiedyś, że młyny zboże miały wolno, ale niezmiernie dokładnie.

Ta przestroga dotyczy i nas. Niebezpiecznie jest słuchać wszystkich, ale stokroć bardziej niebezpiecznie jest zmusić do milczenia choćby jednego. Jakąż cenę zapłaciła ludzkość by się tego nauczyć!

W naszym wieku konformizmu musimy szczególnie o tym pamiętać. Trzeba zdawać sobie sprawę, że pisarz nie „zdarza się” po prostu by kłopotać, dręczyć i bzyścić jak moskity w północnym Jersey. Pisarz nie jest również płatnym organizatorem rozrywki i nie jest jego jedyną misją tkąć z przędzy ludzkich marzeń i snów „latające dywany”. Pisarz stanowi część i instrument — nieodzowny instrument — procesu społecznego rozwoju. Pisarz jest krytykiem i społecznym nauczycielem, a jego współudział w rozwoju cywilizacji jest jedyny w swoim rodzaju.

Nakaz czy nacisk w kierunku konformizmu jest upadający i reakcyjny tak po tej jak i po tamtej stronie kurtyny. Wulgarny nonsens zawarty w „dobrych radach” Chruszczowa dla pisarzy rosyjskich nie wiąże się z samymi ograniczeniami słowa pisanego. Szkodliwość tych „rad” polega na tym, że reprezentują totalne spaczenie myślenia, które jest główną klęską pisarza w orbicie ruchu komunistycznego.

Wszystko co napisałem w tej książce stanowi sumę moich osobistych przeżyć i doświadczeń w chwili, gdy postanowiłem opuścić partię komunistyczną. W oparciu o te doświadczenia i konkluzje napisałem do kilku moich przyjaciół w Związku Sowieckim informując ich o moim postanowieniu.

Większość moich rosyjskich przyjaciół stanowili pisarze, z którymi korespondowałem przez wiele lat. Miałem powody przypuszczać, że przynajmniej niektórzy z nich — wyznają te same przekonania i zasady, które stanowiły

busołą wszystkich moich poczynań. Mam tu na myśli również wiarę w wartość osobistej przyjaźni, która nie zna granic nakreślonych przez przynależność do Partii. Sądziłem, że dotyczy to w pierwszym rzędzie Borysa Polowego — mimo jego groteskowych i naiwnych kłamstw w sprawie Kwitko. W liście do niego pytałem czy stosunek, który nas łączy jest istotnie przyjaźnią dwojga ludzi głęboko zainteresowanych w niełatwej problematyce naszych czasów?

Było rzeczą wielkiej wagi sprowokować odpowiedź Polowego na powyższe problemy, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że Polowy, jako przewodniczący Sowieckiego Związku Pisarzy, nada swej odpowiedzi ton zarówno moralny jak i polityczny. Zwróciłem się do niego w moim liście nie tylko jako przyjaciel, lecz i jako pisarz, który był komunistą i przestał nim być. Równocześnie napisałem list do Borysa Isakowa, przewodniczącego Komisji Zagranicznej Sowieckiego Związku Pisarzy. W korespondencji tej napisałem — być może nie potrzebnie — iż mam nadzieję, że nie będzie się obawiał odpisać na mój list. Na tę uwagę, skierowaną do Isakowa, odpowiedział Polowy listem, którego tekst przytaczam poniżej. Cytuję go w całości, sądzę bowiem, że jest wysoce charakterystyczny dla problemów omawianych w tej książce. Otrzymałem go w marcu 1957 r., o ile dobrze pamiętam — 25 marca. Odpowiedziałem Polowemu tego samego dnia. Poniższy list otrzymałem w siedem tygodni od dnia, w którym powiadomiłem go o moim wystąpieniu z Partii Komunistycznej.

Drogi Howard,

Jak widzisz piszę do ciebie bez cienia jakiegokolwiek obawy, o której wspomniałeś w liście do naszego wspólnego przyjaciela Isakowa. Myślę, że Isakow nie zasłużył sobie na takie uwagi z twojej strony. Jako pisarz i artysta powinieneś zdawać sobie sprawę, że nie ma wiele sensu w przybieraniu takiego tonu w listach do przyjaciół.

Przyznaję, że się głęboko zmartwiłem dowiedziawszy się o twojej decyzji. Widzieliśmy się tylko raz w życiu, ale korespondowaliśmy przez długi okres czasu i, jeżeli o mnie chodzi, — wyznaję, że

niecierpliwie wyczekiwałem każdego twojego listu. Z listów i oczywiście z twoich książek wyrobiłem sobie przekonanie, że jesteś człowiekiem, który całe życie płynął przeciwko prądowi i wiele poświęcił dla swoich wzniosłych ideałów. W naszych literackich dyskusjach jakże często wskazywałem na ciebie, jako na przykład prawdziwej dzielności i niezachwianych przekonań.

Z tych przyczyn wiadomość ta spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Tym bardziej, że o tym co się stało nie dowiedziałem ani z przyjacielskiego listu od ciebie, ani z żadnej z tych odważnych broszur, które ogłaszałeś w ubiegłych latach — lecz z jednej z wielkich, bogatych i krzykliwych gazet. Dowiedziałem się z wywiadu, udzielonego dziennikarzowi, którego nie mogę považać. I z tego powodu wiadomość ta była dla mnie szczególnie gorzka.

Jestem starym żołnierzem i mam raczej silne nerwy. Lecz wierz mi — tej nocy nie mogłem zasnąć. Myślałem nieustannie o twoich książkach. Bohaterowie z twoich powieści otoczyli mnie kołem i zaczęliśmy wspólnie medytować nad całą sytuacją. Jestem pewien, że Gideon Jackson, który dla dobrej sprawy walczył do końca, do gorzkiego końca — nie byłby mniej zdumiony twoją decyzją niż ja jestem. Również Spartacus — choć żył w czasach kiedy nie było ani filozoficznej teorii, ani praktycznych, konkretnych doświadczeń, które dziś rozświetlają rozwojowe drogi ludzkości — czułby podobnie jak ja. A przecież wówczas nie było również wartości kulturalnych, które dziś są naszym udziałem, nie było postępowych intelektualistów, podtrzymujących sztandar pokoju — pokoju w każdych okolicznościach. Ty, oczywiście, znasz lepiej swojego Spartacusa niż ja — lecz jestem pewien, że gdyby Spartacus był tej nocy ze mną, byłby równie zatroskany jak ja. Lub Jerzy Washington, o którym wiele czytałem jako chłopiec, i którego ponownie odkryłem dzięki twoim książkom. W podobnej sytuacji Washington powiedziałby na pewno: „bez względu na to jak ciężka jest ta bitwa muszę przetrzymać dziś.

by móc zwyciężyć jutro !". Myślę, że Silas Timberman — choć w analogicznych okolicznościach byłoby mu równie ciężko jak tobie — niemniej na pewno kategorycznie by się sprzeciwił twojej decyzji.

Mówimy, że w każdym z powieściowych bohaterów jest cząstka samego autora. I choćby z tej racji bohaterzy twoich książek, którzy cieszą się miłością milionów czytelników, byliby zdruzgotani, gdyby usłyszeli ponury a dobrze znany głos w radio, obwieszczający w audycjach przeznaczonych dla Rosji twoją decyzję — rzekomo z twojego upoważnienia. Cel tych radiowych występów jest dla mnie jasny. Głos („Głos Ameryki” — „Voice of America” — przyp. tłum.) usiłuje zniszczyć zarówno popularność twoich książek, jak i twoją osobistą reputację wśród 900 milionów czytelników. Jednakże twoi czytelnicy-przyjaciele wiedzą dobrze co warte są brednie „Głosu”. My tu nie wierzymy, że usiłowałeś usprawiedliwić swój krok, który jest czysto prywatną sprawą, odzegnaniem się od wszystkiego co jeszcze wczoraj głosiłeś w listach, w książkach i w publicznych przemówieniach. Przecież jeszcze do wczoraj byłeś bojownikiem i obrońcą tych spraw.

Wczoraj był u mnie Vercors — przewodniczącym Francuskiego Narodowego Komitetu Pisarzy. Musisz go oczywiście znać, jeżeli nie osobiście to z jego artykułów i książek. Vercors odegrał bardzo wybitną rolę w francuskim ruchu oporu w czasie ubiegłej wojny. Jest bardzo utalentowanym pisarzem a jego poglądy polityczne są dalekie od komunizmu. Spędziliśmy cały wieczór i znaczną część nocy na rozmowie i wypiliśmy przy tym nieprawdopodobnie ilości kawy. Julia dała w końcu za wygraną i poszła spać, lecz my kontynuowaliśmy nieznużenie naszą dyskusję. Oczywiście nie zgadzaliśmy się z sobą w bardzo wielu kwestiach — jednak pozostaliśmy przyjaciółmi ponieważ obaj uważamy, że zasadniczą rzeczą w tej chwili jest wzmocnić więź między pisarzami Wschodu i Zachodu. Tego nie osiągnie się wykrętami i wzajemnymi oskarżeniami, ponieważ u zainteresowanych budzi to tylko gorycz, a pociechę mają z tego jedynie obserwatorzy z zewnątrz.

Jedyna droga wiodąca do zacieśnienia więzów między pisarzami Wschodu i Zachodu wiedzie poprzez spokojną i chłodną wymianę poglądów. Znaleźliśmy z Vercorsem wspólny grunt w kardynalnej sprawie Pokoju. Pokój w równej mierze jest nieodzowny dla Wschodu jak i Zachodu, dla lewicy jak i dla prawicy, dla katolików jak Vercors, i dla ateistów jak ja.

Mój drogi Howard, opisałem ci wizytę Vercorsa, ponieważ chciałbym ci powiedzieć rzecz następującą: wielu moich przyjaciół-pisarzy nie jest komunistami a niektórzy z nich należą do partii politycznych, które osobiście uważam za reakcyjne. Różnice w poglądach życiowych, różnice w zapatrywaniach na rozwój sytuacji w przyszłości, nie utrudniają nam wymiany korespondencji, wzajemnych odwiedzin i literackich dyskusji. Lecz między moimi przyjaciółmi nie ma ani jednego, który by dolewał oliwy do ognia „zimnej wojny”.

Ufam, że rozumiesz mnie i dzielisz moje poglądy w tej sprawie. Pamiętam z jaką miłością i dumą mówiłeś — w czasie mojej bytności u was — o twoich rodakach i jak oburzałeś się na pewnych dziennikarzy, którzy bezmyślnie i bezpodstawnie uwłaczali temu co twój naród otacza czcią, którzy pomniejszali amerykańskie zdobycze i osiągnięcia i obrażali waszą narodową dumę. W pełni rozumiem i podzielam twój sentyment i pewne twoje ówczesne wypowiedzi cytuję w moim „Dzienniku Amerykańskim”. Z mojej strony uczyniłem wszystko, by w tej książce nie urazić amerykańskiego czytelnika zbyt pośpiesznym sądem czy powierzchowną opinią. Na marginesie dodam, że egzemplarz tej książki wysłałem ci już dość dawno, tak, że możesz ją przejrzeć i wyrobić sobie o niej własne zdanie. W sumie sądzę, że przedstawivszy ci mój punkt widzenia na tę sprawę mogę liczyć na podobne ustosunkowanie się z twojej strony.

Jeżeli chodzi o twoje książki to wysiłki „Głosu” nie uczyniły im żadnej szkody. Nasze magazyny i wydawnictwa książkowe w dalszym ciągu zamieszczają twoją prozę. W szczególności Lola Gregg, która właśnie ukazała się w przekładzie rosyjskim

— o czym doniosłem ci w liście z 15 lutego — podbija serca czytelników.

Tak to — mój drogi Howard — przedstawiają się nasze sprawy. Będę, jak dawniej, niecierpliwie oczekiwał listów od ciebie, ponieważ niezachwianie wierzę, że my obaj, tak, my obaj — jestem tego pewien — mamy wiele wspólnie do zdziałania w najistotniejszej sprawie — sprawie walki o pokój i postęp. Wiążę z tym wielkie nadzieje i liczę na naszą wspólną pracę.

Obaj posiadamy rodziny. Ty masz dwoje dzieci, ja mam troje. Już ten fakt stanowi naszą wspólną platformę pracy dla pokoju. Pokoju dla nich.

Jakże dobrze byłoby — stary przyjacielu — spotkać się znowu z tobą i przy szklaneczce wódki czy whisky — nie robi to dla mnie różnicy — zgodnie ze starym zwyczajem inteligencji dyskutować późno w noc, nie zwracając uwagi na ziewanie naszych żon. Lecz mnie nie wpuszczono by do Stanów Zjednoczonych, a ciebie nie wypuszczono by z Ameryki.

Zagadałem się tym razem i trzeba mi kończyć tę pisaninę, bo inaczej list będzie zbyt ciężki do wysyłki pocztą lotniczą.

Dla drogiej Bette załączam serdeczne pozdrowienia ode mnie i od Julii. Przynajmniej w ich stosunku nic się nie zmieniło, choć do tej pory osobiście się nie poznały. Ot, żony zawsze mądrzejsze są od swych mężów.

Oddany Ci,

Borys Polowy

18 marca 1957.

P.S.

Myślę, że równocześnie z tym listem wyślę do ciebie telegram, gdyż poczta ostatnio jakoś ślamazarnie funkcjonuje i mój list wysłany w połowie lutego najwidoczniej jeszcze nie dotarł do twoich rąk.

Tak brzmiała odpowiedź Polowego na wszystkie zasadnicze pytania i sprawy, z którymi zwróciłem się do niego. W tym samym dniu, w którym otrzymałem jego list, odpowiedziałem mu w następujących słowach :

Drogi Borysie,

Otrzymać od ciebie wiadomość — to wielka radość — wierz mi. Twój list nadszedł dzisiaj i czytałem go chciwie. Usłyszałem znów ciepłą serdeczność twojego głosu — jak słyszę twój głos w każdym z twoich listów, Ciebie i Isakowa cenię jako przyjaciół. I Bette również. To nie może ulec zmianie.

Lecz gdybyś w twoim liście zechciał odpowiedzieć choćby na część pytań, które skierowałem do ciebie! Nie ma w tym nic ani ważnego, ani szczególniego, że Głos Ameryki stara się ukuć kapitał propagandowy z mojej decyzji. Mogę cię zapewnić, że Głos kuje daleko większy kapitał z „tajnego referatu” Chruszczowa. Nie jest rzeczą możliwą stłumienie krytycyzmu w tej — czy w jakiegokolwiek innej — sprawie argumentem, że w ten sposób dostarcza się broni Głosowi Ameryki.

Wysunąłem zagadnienia o wadze spraw życia i śmierci. Czy nie ma na nie odpowiedzi? Czy jesteśmy głupcami, lub dziećmi których prośby o wyjaśnienie pewnych rzeczy zbywa się zawsze retorycznym frazesem? Czy spowodowałyby to większą szkodę, od tej którą już uczyniono, gdyby nam wyjaśniono dlaczego twój rząd zamordował żydowskich pisarzy? Dlaczego Bułganin używa antysemityzmu jako instrumentu polityki zagranicznej, dlaczego w twojej ojczyźnie wymyślono obrzydliwą teorię antysemityzmu, której nadaje się idiotyczne miano kosmopolityzmu?

Czy leży poza zakresem możliwości twoich i twego rządu — dać nam bardziej rzeczowe wyjaśnienia dotyczące orgii morderstw Stalina, orgii nie mającej precedensu w dziejach? Czy nie macie w tej sprawie nic więcej do powiedzenia jak ów nonsens o „kulcie jednostki”? Mówiono nam, że Beria przeciwstawiał się Stalinowi i został zamordowany przez Chruszczowa i jego ludzi, ponieważ miał w rękach dane dotyczące ich zbrodni. Dlaczego temu nie zaprzeczono? Dlaczego nie zdementowano tych

pogłosek? Gdzie są protokoły z przewodu sądowego przeciw Berii?

Dlaczego ty, Isakow, i inni pisarze nie podnieśliście głosu w obronie książki „Nie samym Chlebem?” Być może książka jest bez wartości, ale czyż nie należy bronić autora? Dlaczego nikt nie powie-dział nam do tej pory jak zginął Itzik Feffer? Polacy poinformowali nas, że Chruszczow usiłował użyć antysemityzmu do wewnętrznych rozgrywek w Polsce. Dlaczego nikt nie zaprzeczy tym pogłoskom? Gdzież jest choćby jedno słowo krytyki i samo-krytyki, o której tak wiele mówiono?

Dlaczego „Prawda” usiłuje przechylić szalę w tutejszych walkach partyjnych popierając Fostera i ludzi zgrupowanych wokół niego? To nie są ani dobrzy ani wartościowi ludzie. Zwolennicy Fostera są całkowicie oderwani od rzeczywistej sytuacji w naszym kraju. Najlepsi i najdzielniejsi ludzie w Partii zwalczają Fostera i jego klikę.

A teraz o twoim liście, Borysie. Dlaczego uciekasz się do takich nonsensownych wykrętów i pieszszesz o „ślamazarnej pocztce?” W ubiegłych latach każdego niemal dnia otrzymywałem kilka listów z Rosji. Pisywali do mnie najrozmaitsi ludzie — dzieci szkolne, robotnicy, nauczyciele, redaktorzy, aktorzy — i oczywiście ty i twoi koledzy. Jak to się stało, że w trzy dni po ogłoszeniu w „New York Times” mojej decyzji o wystąpieniu z Partii Komunistycznej, cała moja korespondencja z Rosji nagle się urwała?

Wiesz o tym zarówno dobrze jak ja, że w prasie sowieckiej nie było najmniejszej wzmianki o mojej decyzji. A mimo to ani jeden list nie nadszedł stamtąd. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie listy do mnie zatrzymywano w urzędzie pocztowym, a między innymi zatrzymano również i twój ostatni list. Czy to jest wolność — czy to ma jakikolwiek sens? Mimo wszystkich zarzutów jakie wysuwasz pod adresem Stanów Zjednoczonych muszę stwierdzić, że przez wiele lat pisywałem regularnie do Rosji i otrzymywałem z Rosji korespondencję. Nigdy urzędy amerykańskie nie zatrzymały żadnego z moich

listów niezależnie od tego co w danym momencie pisałem czy mówiłem.

Do czego to wszystko prowadzi?

Czy nie można uczciwie i otwarcie wystąpić z Partii Komunistycznej — czy nie można uczciwie i otwarcie krytykować Związku Sowieckiego i mimo to być w dalszym ciągu uważanym za uczciwego człowieka? Ty sam w swoim liście piszesz, że uważasz mnie za przyjaciela — mimo mojej decyzji — którą, jak dajesz mi do zrozumienia, oceniasz za tragiczną i sprzeczną z honorem.

Lecz czyż jest sprzeczne z honorem postępowanie zgodne z nakazem sumienia? Są na świecie miliony ludzi uczciwych i ceniących honor, którzy myślą podobnie jak ja, i wysuwają te same pytania co ja. Czy sądzisz, że pozyskasz tych ludzi argumentami, które przytaczasz w swoim liście do mnie? Mówisz o Vercorsie. Cenię go bardzo wysoko, ale on nigdy nie był komunistą. Nie poręczał swoim życiem i honorem wszystkich posunięć Związku Sowieckiego. Ja poręczałem i to stanowi zasadniczą różnicę między nami.

Jeżeli cały ten problem rozpatrujesz jedynie jako „sprawę Fasta” — żadnej nauki i korzyści ani ty, ani twoi koledzy z tego nie wyciągniecie. Nie jestem pierwszym intelektualistą w Ameryce, który opuścił Partię Komunistyczną po ogłoszeniu „tajnego” referatu Chruszczowa. Takich jest wielu. A za ich przykładem poszły setki robotników i inteligentów. W większości są to ludzie uczciwi, dobrzy, myślący prosto, których cenię i szanuję.

W ubiegłym roku w lecie otrzymałem telegram z radia w Moskwie z prośbą o wyrażenie mojej opinii w sprawie bomby atomowej. Odpowiedziałem, że w moim przekonaniu wszystkie narody winny zaprzestać doświadczeń atomowych. Jednak Związek Sowiecki — jako państwo socjalistyczne — powinien dać tu przykład i przerwać doświadczenia bez względu na to czy inne państwa wstąpią w danej chwili w jego ślady czy nie. Być może, że się myliłem, lecz taka była moja opinia. Dlaczego radio Moskwa przemilczało moją wypowiedź i nie odpo-

wiedziało na moją depeszę? Czy nie jest dziecinnym poglądem, że każdą ideę niewygodną można traktować za nieistniejącą. Identycznie postąpiono z artykułem Gene Dennisa. „Prawda” przedrukowała cały jego artykuł opuszczając ustęp, w którym mówił o „zniszczeniu kultury żydowskiej”.

Powiedz dlaczego ty mówiłeś nam tu, w Nowym Jorku, że żydowski pisarz Kwitko żyje i mieszka z tobą w tej samej kamienicy, kiedy wówczas Kwitko już dawno nie żył. Dlaczego musiałeś wówczas kłamać? Dlaczego na nasze pytania nie odpowiedziałeś wymijająco — że nie wiesz nic o losach Kwitko, dlaczego okłamywałeś nas tak obrzydliwie i z przemyślaną?

Obecnie znasz już moją wypowiedź w „Mainstream”. Ogłoś ją u was. Ogłoś ten list. Odpowiedz na moje pytania. Obal moje argumenty. Napisz mi, że w Rosji nie ma już antysemityzmu, że ten koszmarny należy do przeszłości. Wystąp z żądaniem zniesienia kary śmierci — czego od tak dawna domagają się socjaliści. Powiedz nam prawdę i tylko prawdę. Być może byłem głupcem nie wiedząc przedtem o terrorze w Rosji — lecz istotnie nie wiedziałem. Czy chcesz bym czcił Partię Komunistyczną jak Ikonę? Wierz mi, jestem czcicielem czegoś znacznie wyższego. Czczę prawdę i wolność.

Ryzykowałem życie i los, by móc mówić prawdę tak jak ją rozumiem i widzę. Czy chcesz postępować podobnie? Wydrukuj ten list w „Gazecie Literackiej!” Otwórzcie na oścież drzwi! Tylko w ten sposób można by uzdrowić świat. Nie pozwólmy, by ktokolwiek cierpiał za swobodne i uczciwe wypowiedzianie swoich opinii.

Chciałbym pozostać twoim przyjacielem. Czy mogę mieć tę nadzieję? To w całości zależy od Ciebie.

Howard Fast

Sądzę, że czytelnik wyrobił sobie już jasny obraz pisarza żyjącego w kręgu partii komunistycznej. Ten obraz oczywiście nie jest pełny, ale żadna książka nie może

przedstawić wyczerpująco danego problemu, siłą rzeczy musi się ograniczyć zasadniczych zagadnień.

Zalecenie Nikity Chruszczowa skierowane do sowieckich pisarzy, „by odmalowywali przyszłość w jasnych barwach”, z Partią Komunistyczną jako gwiazdą przewodnią — zaciążyło ponuro na literaturze rosyjskiej.

Moja prośba o utrzymanie przyjaźni została pokwitowana milczeniem. Od chwili wysłania listu do Polowego nie otrzymałem od niego żadnej wiadomości. Czy go obraziłem? Jest wielu świadków — wszyscy komuniści — którzy potwierdzą historię z Kwitko. Czy jest obrazą stwierdzenie, że Kwitko już wówczas nie żył, kiedy Polowy mówił o nim w Nowym Jorku?

Nawet w okresie trudnych lat, które spędziłem w partii komunistycznej uważałem się za człowieka myślącego racjonalnie. Domagałem się faktów. I o ile trudno było mi uwierzyć w fakty podawane przez wrogów Związku Sowieckiego, o tyle byłem zmuszony w nie uwierzyć w chwili, gdy zostały potwierdzone przez partię komunistyczną ustami Nikity Chruszczowa. W zwrotnym punkcie mojego życia musiałem zdać sobie sprawę co oznacza przyjęcie tych faktów do wiadomości, zarówno przeze mnie jak i przez moich towarzyszy-komunistów. Wyciągnięcie wniosków było głównym moim zadaniem w tej książce.

Lecz byłoby fałszem z mojej strony, gdybym, wyciągnąwszy wnioski i przedstawiwszy mój sąd w tej sprawie utrzymywał nadal, że uważam partię komunistyczną za pożyteczną dla ludzkości. Czyż tu nie leży zasadnicza różnica między mną a Vercorsem — tak jak ją widział Polowy w swoim liście? Czy Partia nie stanowi alfy i omegi wszystkich myśli i czynów Polowego? Być może, że Polowy uważa się za „wolnego człowieka”. Jeżeli tak — to przyjmuję definicję „wolności” ograniczonej z zakazami i karami partii komunistycznej.

Nie da się zaprzeczyć, że istnieje i tego typu wolność. Gdy byłem więźniem korzystałem również z pewnego rodzaju wolności — choć była to tylko wolność przemierzania mojej celi. Gdy przeniesiono mnie do innego więzienia federalnego — korzystałem z wolności wyższego stopnia. Lecz żaden z moich strażników nie usiłował we mnie wmawiać, że wolność więzienna jest wolnością w najszer-

szym tego słowa znaczeniu, wolnością którą przyniosła ludzkości cywilizacja.

Mogę tylko przypuszczać dlaczego Polowy nie odpisał na mój list. Z ogólnego punktu widzenia oczywiście wiem dlaczego nie było odpowiedzi. Ale pisarze komunistyczni w Rosji i poza jej granicami, choć wysydzają moje słowa jako autora, którego ich obowiązkiem jest obrzucać błotem, także wiedzą doskonale, tak samo dobrze jak ja, dlaczego na mój list nie ma odpowiedzi. Nie ma odpowiedzi— ponieważ ja odzyskałem wolność, a oni nie. Stany Zjednoczone nie są idealną demokracją; analizą niedoskonałości naszej demokracji wypełniono już wiele książek, i wiele jeszcze ukaże się ich w przyszłości, ale mimo to Ameryka jest krajem, w którym jednostka, jej praca i prawa, są uznane i bronione. Czasem lepiej — czasem gorzej — lecz zawsze bronione.

Ani Nikita Chruszczow, ani Borys Polowy nie zasłużyli na prawo mówienia o „jasnej przyszłości” ludzkości. Bo jeżeli z historii można w ogóle wyciągnąć jakiś wniosek to na pewno tylko ten : — tam gdzie jednostka jest uciskana, ograniczona w swych prawach i poddana terrorowi strachu — obojętne w imię króla, kościoła czy Partii — tam nie ma „jasnej przyszłości” przed nikim.

Bez względu na to czym kiedyś była partia komunistyczna należy stwierdzić, że dziś jest więzieniem ludzkich nadziei i najlepszych, najśmielszych dążeń człowieka. Przyszłość należy do tych, którzy burzą mury, w których uwięziony jest duch człowieka, a nie do tych, którzy ten mur więzienny cementują. Poszerzanie duchowego horyzontu, poprzez coraz większą wolność jednostki, jest — i zawsze będzie — dla ludzi podstawą nadziei na lepsze jutro.

KONIEC

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 JUILLET 1958
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (18^e).**

Dépôt légal : 3^e trim. 1958.

**Dar
Biblioteka Polska
Paryż**

